

# Oldfirehand

Karol May



calibre 0.9.27



# May Karol - Opowiadania Oldfirehand

Tytuł oryginału: Old Firehand und andere Erzählungen

Wódz indiański Inn-nu-woh

Nadeszła pora roku, w której febra i czarna gorączka bagienna czyniły pobyt w Nowym Orleanie niebezpiecznym dla białych i każdy, kogo nie trzymała na miejscu żelazna konieczność, śpieszył się, by opuścić duszne, nasycone wyziewami powietrze okolic dolnego biegu Missisipi i zamienić nadrzeczne niziny na tereny położone wyżej.

Ostrożnej arystokracji x miasta już od dawna nie było widać, a tych kil-ku, którzy zostali jeszcze ze względu na interesy, także patrzyło, by jak naj-szybciej wynieść się z zagrożonego miejsca. Naokoło mówiło się już o licznych przypadkach nagłych zgonów, a więc i ja spakowałem swój skromny dobytek i udałem się na przy stań, aby wsiąść na parowiec, który miał mnie zabrać do San Louis, gdzie krewni oczekiwali mego przybycia.

Posługacz hotelowy Ned. stary siwowłosy Murzyn, który wyjątkowo mnie polubił i niósł do przystani moją walizkę, siał teraz oparty obok mnie o jeden ze stalowych dźwigów, służących do załadunku i wyładunku ogromnych ciężarów; i szczerząc zęby rzucał pocieszne uwagi o najróżniejszych postaciach, uwijających się naokoło. Wtem złapał mnie za ramię i ustawił inaczej, tak że musiałem spojrzeć w tył.

- Widzi mister tamtego Indianina?

- Którego? Masz na myśli tego ponurego faceta, idącego właśnie w naszym kierunku?

5

- Tak, tak, mister! Zna go mister?

-Nie.

- On być wielki wódz od Siuksów, a nazywa się Inn-nu-woh i jest naj-lepszym pływakiem w Stanach Zjednoczonych.

- Dobrych pływaków jest wielu.

- Słusznie, panie. Ale lak jest. naprawdę.

Nic nie odpowiedziałem, przyglądałem się za to bacznie mężczyźnie, który dumnie wyprostowany właśnie przechodził obok nas. Jego imię nie było mi nieznane, dość często mówiło się o nim. ale zawsze wątpiłem w prawdziwość krążących naokoło cudownych opowieści o jego wprawie i wytrzymałości. Nie był zbyt wysoki, ale krępa budowa jego ciała i niezwykła szerokość piersi zachwiały nieco mym niedowierzaniem, jakie objawiałem do tej pory.

W tym momencie nadjechał otwarty powóz, w którym siedział starszy mężczyzna i młoda zawoalowana dama. Stangret w liberii bogato zdobionej galonami z niespotykaną bezwzględnością rozpędzał tłum, strzelając z bata nad głowami zagradzających mu drogę. Przerażeni ludzie rozbiegali się, i tylko Indianin szedł spokojnie dalej, ani o włos nie zbaczając z obranego kierunku. Ostatecznie po bokach było sporo miejsca dla wielkopańskiego powozu, który równie dobrze mógł wybrać wybrukowaną kocimi łbami drogę po drugiej stronie, a niekoniecznie tę tutaj wyłożoną szerokimi kamieniami ciosowymi.

- Z drogi, psie indiański, a może jesteś głuchy? - zawołał woźnica, a gdy Indianin mimo głośnych, gburowatych nawoływań kontynuował swój marsz nie oglądając się. dorzucił wymachując batem: - Wynoś się, psie, albo mój bat pokaże ci drogę!

Chociaż to słowo oznaczało najwyższą obelgę dla Indianina, nagabywany nie zwrócił na nie uwagi i szedł powoli dalej. Wtedy stangret nie wytrzymał i zdzielił batem czerwonoskórego w twarz, na której z miejsca pojawiły się ślady po uderzeniu rzemienia. W tym samym momencie ugodzony znalazł się przy koźle powozu, zadał od dołu źle wychowanemu woźnicy solidny cios, trafiając w nos i wargi, po czym jak piórko podniósł go z siedzenia i z wściekłością rzucił na bruk. gdzie ten pozostał z rozpostartymi nogami i rękami, nie wydawszy jednego dźwięku.

6

To wszystko odbyło się tak szybko, że siedzący w powozie mężczyzna nie zdążył przyjść z pomocą swemu słudze. Teraz jednak wyszarpnął rewolwer z kieszeni i mierząc w Indianina zawołał:

- Poślę cię do diabła, kanalio, jeśli on w lej minucie nie usiądzie

z powrotem na koźle!

Z nieruchomą twarzą, nie drgnąwszy nawet powieką, Indianin zdjął strzelbę z ramienia i wycelował w jankcusa. Z pewnością doszłoby między nimi do brzemiennej w skutki czynów, gdyby co prędzej nie odciągnęło ich od siebie kilku konstablów, usilnie prosząc właściciela ekipażu, aby schował broń.

- Proszę, jedźcie dalej, sir - powiedział jeden z nich. - Pański stan-gret już się podniósł i, nie licząc obrażeń twarzy, nie odniósł żadnych szkód.

To była nieostrożność z jego strony, bo przecież musiał wiedzieć, że według indiańskich praw takie uderzenie może być odkupione jedynie śmiercią,

Tak jak to bywa wśród Amerykanów, którzy nigdy nie mieszają się w waśnie między drugimi, a swego zainteresowania sporem dowodzą tylko tym, że robią miejsce dla walczących stron, świadkowie wydarzenia otoczyli powóz, czekając, jak zakończy się podniecająca historia, ale że w tym momencie rozległ się ostry gwizd przybijającego do przysłani parowca, a siedzący już z powrotem na kozle stangret, ponaglony przez swego pana, skierował zaprzęg w stronę pomostu, krąg gapiów szybko się rozproszył. Każdy śpieszył się, aby zająć dobre miejsce na pokładzie.

Nie był to zwykły, komfortowo wyposażony parów icc. lecz jeden z owych wielkich statków pocztowych, które całkiem wyjątkowo wykorzystuje się do przewozu osób, i to tylko wtedy- gdy z początkiem niezdrowej pory trudno dać sobie radę z natłokiem pasażerów. Dlatego brakowało tu wszelkich wygod, które sprawiają, że podróżowanie nie jest tak uciążliwe, i pasażerowie musieli zajmować miejsca jak popadnie.

Pożegnawszy Murzyna, wspiąłem się na stos pak. który osłaniał rząd czwo-rokątnych skrzyń, ciągnących się niemal przez całą długość pokładu. Tu, na górze, miałem lepszy widok niż na dole: na twarzy czułem orzeźwiający powiew wiatru, a biorąc pod uwagę, że bez skrępowania mogłem się wyciągnąć. uznałem, że moje miejsce jest wspaniałe.

Kiedy rozejrzałem się naokoło, stwierdziłem, że zarówno właściciel pojazdu z towarzyszącą mu damą, jak i Indianin są wśród pasażerów. Biały bez wątpienia wywodził się z wyższych sfer i ze statku pocztowego korzystał

tylko dlatego, by jak najszybciej opuścić zagrożone tereny, a Indianin prawdopodobnie sprzedał przywieziony /e sobą do miasta zapas skór i tera/, wra-cał na prerię, aby poprowadzić swój szc/.ep na nowe polowanie i ku nowym przygodom. Także i jemu musiało być duszno na dole. a tłok wydawał się nie do zniesienia, skoro wdrapał się na górę i nie kwestionując prawa do zajętego przeze mnie miejsca usiadł na pierwszej z brzegu skrzyni.

Zaledwie usiadł, powietrzem wstrząsnął ryk, tak głęboki i dudniący- że pasażerowie aż podskoczyli z przerażenia i zaczęli się rozglądać w poszukiwaniu jego źródła. Tylko jeden Inn-nu-woh siedział spokojnie dalej, choć ów ryk wydobył się dokładnie spod niego. Żaden rys jego brązowej nieruchomej twarzy nie zdradzał śladu zaskoczenia czy lęku. a przestraszeni ludzie na pokładzie byli w jego mniemaniu najwyraźniej niewarci nawet przelotnego spojrzenia.

Wtem otworzył się luk i wydostał się z niego mężczyzna, na którego wi-dok natychmiast pojąłem, skąd pochodził ten ryk. Widziałem tego człowieka w Bostonie, Nowy m Jorku, a potem też w Charlestonie i nawet zawarłem z nim w miarę bliską znajomość. Był to Forster, słynny pogromca zwierząt. który objeżdżał wtedy ze swą menażerią większe miasta Stanów Zjednoczo-nych, a wszędzie, dokąd przybył, zdobywał największe uznanie dzięki wła-dz), jaką zdawał się mieć nawet nad najdzikszyimi bestiami.

Skrzynie należały do niego i kryły w swych wnętrzach klatki z jego czwo-ronożnym dobytkiem. Indianin usiadł na klatce lwa, spowodowany przy tym odgłos przerwał zwierzęciu sjęstę i skłonił go do gniewnego ryku, który usły-szał Forster i oczywiście pośpieszył wyjaśnić jego przyczynę.

W ostrożnej Europie wzdragano by się przed przyjęciem menażerii na pokład statku, którego przeznaczeniem jest przewóz pasażerów. Z Ameryka-ninemjednak nawet i w takich razach łatwiej dojść do porozumienia. Zamie-szkiwany przez niego kraj jest ojczyzną niebezpieczeństwa, tutaj jest się z nim zżyty, zna się jego różne oblicza, bierze sieje pod uwagę, ale się go nie lęka. a ponieważ jest się przyzwyczajonym śmiało i bez strachu stawiać czoło czworonożnym miesz-kańcom leśnych ostępów czy prerii, więc tym bardziej nie obawia się spotkania z nimi. gdy są ujarzmione.

Podróżni przerazili się jedynie dlatego, że stało się to tak niespodziewa-nie. Kiedy poznali zawartość owych licznych skrzyń, śmiali się złości, jaki nimi owładnął, i poprosili właściciela, aby zdjął obudowę klatek.

8

- Dobrze, nie mam nic przeciwko temu, jeśli tylko sprawi wam to przy-jemność. panie i panowie. Odrobina świeżego powietrza dobrze zrobi /wie-rzętom. Ale spytajcie wpierw kapitana; na własną rękę nie wolno mi tego uczynić! - odrzekł, po czym zwrócił się do Indianina: - Czy nie byłbyś łaskaw zejść jednak z tego tronu, człowieku? Lew jest królem i nie ścierpi nad sobą nikogo!

Zagadnięty nie otworzył ust. wykonał tylko lekki, zbywający gest ręką, dając w ten sposób do zrozumienia, że tam na górze mu się podoba i że nie ma zamiaru opuścić swego miejsca.

- Cóż. dobrze, mnie tam obojętne. Ale nie skarż się, jeśli spotka cię coś nieprzyjemnego,

Przyprowadzono kapitana, który wahał się chwilę, ale w końcu pozwolił odsłonić klatki z jednej strony. Z pomocą pogromcy zdjęcie drewnianych osłon odbyło się bardzo szybko, a ponieważ Forster chciał skorzystać z oka-zji i nakarmić zwierzęta, widzom zaoferowano w ten sposób interesujące i zabawne widowisko.

Menażeria składała się w przeważającej części z naprawdę wspaniałych okazów, a całkiem szczególnym wśród nich była bengalska tygrysica. która wzbudzała powszechną uwagę. Zwierzę zostało schwytane dopiero niedaw-no. przewiezione z Indii do Ameryki i kupione przez obecnego właściciela. Jeszcze nie poskromiona, zażywająca do niedawna wolności, sprawiała im-ponujące wrażenie, wzbudzając podziw budów ą swego potężnego ciała, pier-wotną sprężystością ruchów i mrozącym krew w żyłach rykiem.

- Wejdziecie do jej klatki, sir'7 - spytał jeden z otaczających pogrom-cę.

- Dlaczego nie"? Z zewnątrz taka bestia jest nie do opanowania; jeśli chce się wzbudzić w zwierzęciu respekt, trzeba wejść do środka.

- Ale za każdym razem r\, -zykujecie życie.

- Robiłem to już tysiące razy, a więc zdążyłem się przyzwyczaić. Zre-sztą nie idę nie uzbrojony; uderzenie pejcem zakończonym ołowianą kulą potrafi ogłuszyć nawet najsilniejsze zwierzę, jeśli zrobi się to z odpowiednią siłą i trafi we właściwe miejsce. Ale używam go rzadko, siła prawdziwego pogromcy leży gdzie indziej. Niekiedy wchodzę do klatek bez jakiegokolwiek broni.

- Ale do tej tutaj nie odważycie się wejść.

- Kto wam to powiedział?

9

- Nie. nie odważycie się - zauważył podchodząc bliżej właściciel ekwi-pażu, który do lej pory. trzymając się z dala od wszystkich, przyglądał się klatkom. Towarzysząca mu kobieta, lękając się ich zawartości, poszła na przedni pokład i poprzez olinowanie patrzyła na wodę pieniącą się wokół dzioba statku. - Założę się o ty siać dolarów!

Amerykanin ma słabość do zakładów i jeśli tylko nadarzy się po temu okazja, z pewnością jej nie

przepuści.

- Jesteście nieostrożni, sir! - odrzekł Forster. - Proszę zobaczyć Jak spokojnie i bez lęku ten Indianin siedzi na klatce numidyjskiego lwa. Na-prawdę sądzicie, że ja, właściciel tych wszystkich zwierząt, mam mniej odwa-gi?

- Pshaw! - Jankes zrobił pogardliwy nich ręką. - W przypadku lego człowieka to nie jest odwaga, lecz ignorancja i głupota. Gdyby zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, zaraz znalazłby się tu na dole między nami albo zaszyłby w jakimś kącie. On nigdy nie widział lwa. Te czerwone łotry umieją tylko podejść wroga i napaść go z tyłu zniemacka nocną porą, ale aby spojrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy, do tego są niezdolni.

Inn-nu-woh rozumiał każde słowo, lecz jego wyrazista, kanciasta twarz pozostała nieruchoma, a żadna część ciała nie wykonała najmniejszego ru-chu.

- Jesteście w błędzie, jeśli chodzi o tego Indianina, tak samo jak i o mnie. Kto poznał lud prerii tak jak ja, nauczył się go jednocześnie szano-wać.

- Nie bądźcie śmieszni! Wypuście choćby jeżozwierza, a jestem pe-wien, że natychmiast wskoczy ze strachu do rzeki, gdy zobaczy go na wol-ności. Te kanalie są tak tchórzliwe, jak potrafią być okrutne. Ale zapomnie-liśmy o zakładzie.

-Przyjmuję. Kapitanie, jest pan świadkiem!

- Jestem; ale nie zgodzę się. abyście weszli do klatki tygrysa, jako że na mnie spadnie odpowiedzialność, jeśli na pokładzie zdarzy się nieszczę-ście.

- Nie możecie zabronić wolnemu Amerykaninowi robić ze swą własno-ścią, co mu się podoba. A jeśli chodzi o wypadek, to może zdarzyć się tylko mnie. Chyba jestem w wystarczającym stopniu mężczyzną, aby samemu od-powiadać za siebie, a może uważacie inaczej?

10

Kapitan sam był jankcsem, trudno więc, żeby nie miał zainteresowania dla takiego zakładu. Przekonany, że wypowiedziawszy słowa ostrzeżenia dopełnił swego obowiązku, odparł:

- Jeśli weźmiecie na siebie ewentualne skutki, nie mam nic przeciwko temu. Róbcie, co chcecie.



- Odstąpcie na bok, ludzie! - rozkazał Forster.

Oddał kapitanowi zakończony ołowianą kulką pejcz, podszedł do klatki zdecydowanymi, pewnymi krokami i utkwivszy baczny w/rok w zwierzęciu odsunął rygiel.

Tygryś przycupnęła w tylnej części wąskiego pomieszczenia, z głową złożoną na przednich łapach, rozpostartym ogonem i zmrużonymi oczyma utkwionymi w podłogę. Kiedy pogromca zbliżył się do drzwiczek, otwarła jedno oko i spojrzała na niego. Jej źrenice zaczęły się zwężać, zgięła łapy i przyciągnęła do ciała, zad zwierzęcia uniósł się cicho i niemal mez-auwa-żalnie. W chwili gdy rozległ się odgłos odsuwanej rygieli, poprzez miękkie, pięknie pręgowane futro przebiegło krótkie drżenie i spomiędzy stało-wych prętów wydobył się budzący przerażenie ryk. W sekundę potem Forster leżał na ziemi z na wpół wyrwanym ramieniem brocząc obficie krwią, a uwolniona tygryś sadziła potężnymi susami po pokładzie.

Powietrzem wstrząsnął jeden wielki krzyk trwogi. Nastąpiła chwila śmiertelnego lęku i zamieszania. Każdy próbował się ratować. Ludzie jeden przez drugiego szturmowali luki, kąty, maszty, drabiny sznurowe, a zwierzęta robiły taki hałas, że zagłuszyły nawet pracę maszyn.

Wspiałem się z powrotem na paki, z których przedtem zszedłem, i rzucając okiem na przedni pokład skamieniałem ze zgrozy, gdyż dokładnie przed sobą zobaczyłem dziewczynę przy relingu, zgubioną bez ratunku. Tygryś pobięła właśnie w jej kierunku i teraz przywarła do ziemi, zaledwie jakieś siedem, osiem kroków od niej, sposobiąc się do ostatecznego skoku. Młoda dama stała z wyciągniętymi ramionami, niezdolna się ruszyć, z białą jak płótno, nieruchomą twarzą. W następnej sekundzie miała zginąć.

I wtedy z kocią zwinnością zeskoczyła przede mną ze spiętrzonych pak jakaś postać- kilkoma długimi, przypominającymi ruchy drapieżnika susami przemierzyła wolną środkową część pokładu obok tygrysy. chwyciła dziewczynę lewą ręką, prawą oparła się o reling i w następnej sekundzie zniknęła w brudnych, żółtych odmetach Missisipi. Był to Inn-uwah.

11

Powietrze rozdarł dobywający się ze wszystkich gardeł krzyk. Nikt nie wiedział, czy miał to być okrzyk radości, czy też przerażenia, jako że i tygryś w mgnieniu oka /eskoczyła z pokładu i zniknęła w falach. Wszyscy przypadli do relingu i patrzyli w dół. Kapitan wydał głośno komendę:

-Zatrzymać maszyny!

Minęła długa chwila. Wszyscy wstrzymali oddech. Drapieżnik, wyciągnąwszy łapy, unosił się na

wodzie i pałającymi oczyma szukał łupu. Wtem zaledwie dwadzieścia łokci dalej woda zakotłowała się pod silnym uderzeniem ramion i wyłoniła się x niej głowa Indianina. Wyraźnie można było zobaczyć, że bezwładna dziewczyna kurczowo uczepliła się obiema rękami jego szyi.

Ledwie zdążył zaczerpnąć powietrza, a już czujna tygryska rzuciła się w jego stronę. Na powrót zniknął w głębinie i wynurzył się kawałek dalej dla zaczerpnięcia tchu. Zwierzę nie zrezygnowało, błyskawicznie znalazło się przy nich. To przerażające polowanie trwało chyba z pięć minut, które w tych warunkach wydawały się pięcioma wiecznościami.

Wyrzucono mnóstwo lin. spuszczone drabinę sznurową, ale przezorny Indianin wiedział, że te przedsięwzięte środki na nic mu się nie dadzą, po-nieważ zanim zdążyłby postawić nogę na drabinie, tygrysicaby go dopadła. Istniała tylko jedna droga ratunku: musiał zanurkować pod dnem statku, a było to możliwe, gdyż maszyny nie pracowały. Gdyby chciał okrążyć statek, prześladowające ich zwierzę wyczułoby ten zamiar, i wdrapanie się na rufę byłoby równie niemożliwe jak próba wspięcia się na dziób statku.

Dlatego usiłował jak długo, jak to możliwe, przebywać na powierzchni, aby nabrać w płuca jak najwięcej powietrza. Ruchem ręki dał do zrozumienia, co chce zrobić, po czym zniknął.

- Liny za rufę! - rozkazał kapitan.

Wszyscy rzucili się w tamtą stronę i rzeczywiście po chwili nad wodą ukazał się Inn-nu-woh, wiosłując wolną ręką w kierunku najbliższej unoszącej się na wodzie liny.

- Cheer up, cheer up, come on\ - krzyknął kapitan, a w jego głosie wyraźnie dźwięczał strach i najwyższa obawa, tak że wszyscy obrócili się w jego stronę. Bez słowa wskazał wyciągniętą dłońią na żółte fale. Wszyst-kie spojrzenia podążyły w tym kierunku, a usta wykrzyknęły za nim słowa otuchy i zachęty.

# E

Tymczasem w niezbyt wielkiej odległości dało się zauważyć trzy bruzdy na wodzie, z wielką szybkością zbliżające się do statku.

- Na miłość boską, szybko, szybko! Aligatory! - rozległo się wołanie jak pokład długi i szeroki.
- Moje dziecko! Moje dziecko! Moje biedne dziecko! - lamentował ojciec dziewczyny i z szeroko otwartymi oczyma i skamieniałą ze zgrozy twarzą wychylił się poprzez reling.

Inn-nu-woh usłyszał krzyk. Jedno rzucone w tył spojrzenie uprzytomniło mu zbliżące się nowe niebezpieczeństwo. Silnymi uderzeniami ramion, z niemal herkulesową siłą rzucił się w kierunku liny. Ponieważ nie mógł trzymać dziewczyny, szczęściem było, że będąc w szoku zaciskała mu kurczowo ręce na szyi. Ledwie wspiał się na jedną trzecią wysokości dzielącej go od pokładu, usłyszał za sobą głuchy dźwięk, jak gdyby uderzały o siebie dwie belki. To pierwszy z aligatorów osiągnął burtę statku i próbował go dosięgnąć, lecz Inn-nu-woh, spokojnymi już ruchami, wspiał się jeszcze wyżej i ponad relingiem wydostał się na pokład.

Wszyscy obecni chcieli pospieszyć ku niemu, ale powstrzymał ich krzyk:

- Tygrys, tygrys, patrzcie, ludzie!

Tygrysica w poszukiwaniu zaginionych przepłynęła obok części dziobowej kierując się ku rufie. Natychmiast wszyscy znowu przypadli do relingu, tylko ojciec został ze swą słaniającą się córką.

Spokojne, pewne ruchy silnego zwierzęcia ofiarowały rzeczywiście wspaniały widok. Naraz tygrysica spróbowała się odwrócić, ale było już za późno:

trzy aligatory w mgnieniu oka dopadły miejsca, gdzie się znajdowała, a potem rozległ się ryk, tak przerażający, że słuchającym włosy zjeżyły się na głowie. Woda spieniła się i skotłowała, w górę trysnęły fontanny kropel, a potem nastąpiło głębokie, głuche bulgotanie i charkot, na powierzchni wody utworzył się lej i żółte odmęty przybrały barwę krwawoczerwonych, po czym nastąpiła cisza: aligatory wciągnęły tygrysicę w głębinę.

Wszyscy krzyknęli z ulgą, pozbywając się w ten sposób nieznośnego ciężaru, jaki kamieniem legł im na sercach, i zwrócili spojrzenia na tych dwoje, którzy ciasno objęci stali w pobliżu komina.

- Żyje, przysłała do siebie! - rozległo się ze wszystkich stron. Kapitan podszedł, aby wyczerpanej dziewczynie oddać do dyspozycji własną kajutę.

13

Gdy wszyscy zajęci byli tygrysem, stróż menażerii przygotował swemu panu posianie i opatrzył go jak umiał. Trzeba było go wysadzić w najbliższej przystani i poszukać pomocy lekarskiej.

Wreszcie zaczęto się rozglądać także za Inn-nu-woh, a ojciec uratowanej dziewczyny nie był ostatnim, który rozpytywał się o niego.

Poszukiwany stał wysoko między wantami i wyraźnie starał się dać znak komuś zdjętą z ramion skóra. Od przeciwległego brzegu oderwało się kanoe, w którym stali dwaj Indianie i silnymi uderzeniami wiosel zmierzali do pa-rowca. Przybywali, aby zabrać swego wodza. Syn prerii nie zna pojęcia przy-stanku: żegna się z cywilizacją tam, gdzie ma ochotę i gdzie spodziewa się spotkać swoich.

Wtem na jego ramieniu spoczęła jakaś dłoń i przemówił drżący głos:

- Nie możesz odejść; uratowałeś mą córkę i chcę ci okazać swoją wdzięczność!

Indianin odwrócił się i zmierzył wzrokiem mówiącego do stóp do głów:

Jego postać wyprostowała się. oczy błyszczały, a głos brzmiał ostro i jasno. gdy wypowiadał te słowa:

- Biały człowiek się myli. Nie chciałem uratować jego córki. Czerwony mężczyzna tylko dlatego rzucił się w fale świętego ojca, rzeki, ponieważ obawiał się jeżozwierza. którego wypuściliście!

Z dumnym skinieniem głowy odwrócił się, zsunął po spuszczonej drabini sznurowej i odpłynął z tamtymi. Z daleka widać było jego rozwiane wiatrem włosy i w uszach obecnych jeszcze długo dźwięczał jego głos. A ja jeszcze i dziś myślę o Inn-nu-woh, kiedy jest mowa o istocie ludzkiej, która zasłużyła na miano bohatera.

# Old Firehand

Kłła wiosna zmieniała się w zimę

I nawet wiem już, czemu;

Twe pocałunki, dziewczyno,

Stały się zimne i nieme.

Głos niósł się ponad równiną i Swallow, mój dzielny mustang, zastrzygł uszami, parsknął wesoło i z wdziękiem podniósł przednie smukłe nogi jak do menueta.

Nie wiem, dlaczego właśnie ta piosenka, którą słyszałem ostatni raz przed trzema miesiącami w Cincinnati w wykonaniu tyrolskiego zespołu, pojawiła się na mych ustach. Jeszcze nigdy nie całowały mnie żadne wargi, a moja wiosna miała się chyba dopiero zacząć, a me chyliła się ku końcowi. Życie, jakie wiodłem do tej pory, było nie kończącym się zmaganiem z przeciwno-ściami, samotnie podążałem swą drogą, nie zauważony, nie rozumiany i nie kochany. Owa samotność rozwinęła się we mnie w melancholię, do której doskonale pasowała smętna treść odśpiewanej dopiero co strofy.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kryjąc się za pasmo Gór Skalistych, stanowiące granicę między Nebraską i Oregonem. a usiana żółtymi kwiatami słonecznika równina ciągnęła się aż po horyzont. Koń potrzebował

15

wypoczynku, ja te/, bytem /męczony, wice tym bardziej tęskniłem do New Venango. gdzie chciałem przez jeden dzień wypocząć po długiej wędrówce i uzupełnić zapas amunicji.

Naraz Swallow odr/.ncii głowę w bok i wydal osobliwe prychnięcie. ja-kim prawdziwy koń preriowy sygnalizuje bliska obecność żywej istoty.

Staął z lekkim szarpnięciem, ja zaś obejrzałem się do tyłu. abv przesu-kać horyzont. Do miejsca, w którym stałem, zbliżał się jakiś jeździec, kieru-jąc się prosto na mnie. Puścił konia cwałem, a że odległość była jeszcze zbyt duża. by móc dokładnie określić, kto zacz. sięgnąłem po lornetkę j stwier-dziłem ku swemu zdumieniu, że owym jeźdźcem jest kobieta.

- Do diabła, dama tutaj, na Dalekim Zachodzie, w środku prerii, w dodatku w stroju do konnej jazdy i z powiewającym welonem - wyrwało mi się i pełen oczekiwania wsunąłem z powrotem do kabury rewolwer, który wyciągnąłem dla ostrożności. - A może jest to flats-ghost. duch równiny. który na ognistym rumaku przemierza leśne ostępy, aby przepędzić białych ludzi z terytoriów łowieckich „czerwonych braci”?

Zaskoczony spojrzałem po sobie. Mój wygląd zewnętrzny bynajmniej nie przypominał dworskiego galanta. Mokasyny z biegiem czasu rozdeptały się do cna, /cggin,\y błyszczały od tłuszczu, jako że miałem zwyczaj używać ich podczas posiłku zamiast serwetki, przypominająca worek, niekształtna skórzana kurtka zapewniała mi wygląd szacownego stracha na wróble zma-gającego się z wiatrem i deszczem, a bobrowa czapka, którą nakrywałem głowę, straciła okazałą część swego włosia, dowodząc swym wyglądem, że już nieraz wchodziła w bliski kontakt z najróżniejszymi ogniskami obozo-wymi.

Ale w końcu nie znajdowałem się na parkiecie opery, lecz między Black Hills i pasmem górskim, nie miałem więc czasu złościć się na siebie za swój wygląd, bo chociaż nie zakończyłem jeszcze inspekcji mej własnej osoby, a już amazonka zatrzymała się przede mną, podniosła w powitalnym geście do góry uchwyt pejsza i zawołała głębokim, czystym, dźwięcznym głosem:

- Good day. sir! Można wiedzieć, czego pan szuka na sobie?

- Uniżony sługa szanownej pani. Zapinałem właśnie kolczugę, aby nie ucieść pod przenikliwym spojrzeniem pani pięknych oczu.

- Nie wolno na pana patrzeć?

- Ależ tak, jeśli tylko otrzymam pozwolenie przyjrzenia się pani.

- Przecież pan to robi.

- Dziękuję. W takim razie możemy się sobie przyglądać do woli, na czym zresztą ja wyjdę lepiej niż pani.

Ściągnąłem wodze. Mustang wspiał się na tylne nogi i obrócił.

- Może mnie pani teraz oglądać ze wszystkich stron: na koniu i w naturalnej wielkości. No i jak się pani podobam?

- Niechże się lepiej przyjrzę! - odparła ze śmiechem, ściągnęła wodze klaczy i czyniąc śmiały zwrot zaprezentowała się w taki sposób jak ja. - Przedstawienie zakończone i pan powie pierwszy, czy się panu spodobałam.

- Hm. nieźle według mnie pasuje, pani do tego miejsca. A ja?

- O la la! Z całego jeźdźca najlepszy jest koń.

- Pani jest damą. zatem to pani ma rację. A zresztą pani obecność tu, w samym sercu prerii, lak mnie speszyła, że nie umiem znaleźć odpowiednich słów. aby dać pani lepsze wyobrażenie o mej urodzie.

- W samym sercu prerii? Jest pan tu obcy?

- Co za pytanie! W tej dziczy'7

- Proszę jechać za mną, a zobaczy pan, jak rozległe jest to pustkowie.

Zwróciła się w kierunku, w którym się udawałem. Jej koń z początku szedł stępa, a potem zaczął przyspieszać i wreszcie przeszedł w galop. Swallow z łatwością dotrzymywał mu kroku, choć od świtu byliśmy w drodze. Tak. dzielne zwierzę zdawało się rozumieć, że chodzi o małą próbę, i z własnej woli ruszył tak szybko, że kobieta nie mogła nadążyć i z okrzykiem podziwu zatrzymała swego wierzchowca.

- Wyjątkowo dobrze jeździecie konno, sir. Czy wasz ogier jest na sprzedaż?

- W żadnym wypadku, łaskawa pani.

- Podarujemy sobie to „łaskawa pani”.

- W takim razie panno, jeśli taka wasza wola. Ten koń wyniósł mnie już z tyłu niebezpieczeństw; że zawdzięczam mu więcej niż jedno życie, dla tego nie mógłbym go sprzedać.

- Otrzymał indiańską tresurę - rzekła taksując Swallowa okiem znawcy.

- Skąd go pan ma?

- Otrzymałem go w prezencie od Winnetou. wodza Apaczów, z którym spotkałem się nad Rio Suanca.

- Od Winnetou? Ależ to najślawniejszy, a zarazem najgroźniejszy In-dianin między Sonorą a Kolumbią! Nie wygląda pan na to, że ma takie znajomości, sir!

17

- Dlaczego, miss? - spytałem szczerząc zęby w uśmiechu.

- Uważałam pana za surwejora albo za kogoś w tym rodzaju. Ci ludzie są co prawda często dobrymi strzelcami, ale aby odważyć się wejść pomiędzy Apaczów, Nihora i Nawahów, trzeba czegoś więcej. Wasze błyszczące rewolwery, mały nóż u pasa, sakwa przy siodle i sposób dosiadanania konia nie zgadzają się z tym, co zwykle widzi się u prawdziwych traperów czy tutaj-szych osadników.

- Znowu ma pani rację. Przyznaję otwarcie, że jestem kiepskim strzelcem, ale broń, którą posiadam, nie jest taka zła. Kupiłem ją na Front Street w St. Louis, i jeśli czuje pani się tu jak u siebie w domu, a na to wygląda, musi pani wiedzieć, że otrzymuje się tam dobry towar za niemałe pieniądze.

- Ale ten towar pokazuje swoje zalety dopiero przy prawdziwym użyciu. Co by pan powiedział o tym pistolecie?

Z tymi słowy wyjęła z torby wiszącej przy siodle stare, zardzewiałe narzędzie do strzelania i wręczyła mi, abym je obejrzał.

- Hm, ta rzecz musi pamiętać czasy Pocahontas\*, ale może być niezła.

Widywałem Indian, którzy najmarniejszą bronią potrafili zdziałać cuda.

- To też pan potrafi?

Rzuciła konia na bok, objechała mnie w koło klusem, podniosła rękę

i pociągnęła za cyngiel, zanim zorientowałem się, co zamierza zrobić. Uczu-

łem, że czapka zsuwa mi się z głowy, i w tym samym momencie zauważyłem,



że kwiaty słonecznika, które zatknąłem za czapkę, upadły przede mną

na ziemię. Wyglądało to tak, jakby strzelająca o pewnej ręce chciała się dowiedzieć, co ma myśleć o tym, że przedstawiłem się jako kiepski strzelec, odpowiedziałem więc chłodno na zadane pytanie:

- Każdy to potrafi. A teraz upraszam, miss, aby zostawiła pani moją czapkę w spokoju, jako że przypadkiem tkwi w niej moja głowa.

Roześmiała się i stanęła znowu u mego boku. Całe zdarzenie przypominało sen. i gdybym coś podobnego przeczytał wcześniej w jakiejś powieści, to podejrzewałbym autora, że przedstawia rzeczy niemożliwe jako możliwe. W każdym razie, to było jasne, musiała tu być niedaleko jakaś osada, a że od dłuższego czasu żadne z dzikich plemion nie wstąpiło w tej okolicy na

- Córka wodza wirginijskich Indian, która jako dwunastoletnia dziewczynka miała

w roku 1612 uratować życie kapitanowi Johnowi Smithowi; przedstawiona później na dworze angielskim jako „indiańska księżniczka”.

18

wojenną ścieżkę, dlatego nawet dama mogła się odważyć wyjechać kawałek konno w prerię.

Niezbyt jasne za to było dla mnie, co właściwie mam sądzić o mej towarzyszce, Jej cała postać i ogłada wskazywały na salon, a przecież najwyraźniej znała Zachód i posiadała potrzebne tu umiejętności, które kazały wnioskować o całkiem szczególnych warunkach życia. Trudno więc się dziwić, że moje oczy spoczywały na niej z największym zainteresowaniem.

Wysunęła się teraz naprzód o pół długości konia i złote promienie słoneczne oblały jej nienaganną, doskonałą sylwetkę. Była „smagła i piękna”, jak mówi Biblia o Dawidzie, a jej rysy mimo dziewczęcej miękkości odznaczały się swoistą wyrazistością, która pozwalała wnioskować o duchowej dojrzałości i sile woli. W całej postaci, w każdym najmniejszym ruchu tej zdumiewającej istoty odbijały się niezależność i pewność siebie, które obok dobrowolnego podziwu żądają bezwarunkowego szacunku.

Przyznałem szczerze przed samym sobą, że jeszcze nigdy nie spotkałem dziewczyny o takiej urodzie, i

samego mnie dziwiło, że mimo mej zwykłej rezerwy w obchodzeniu się z istotami płci żeńskiej potrafiłem być taki... taki zuchwały przy pierwszym spotkaniu.

Często słyszałem o wpływie, jaki damski głos może wywrzeć nawet na najbardziej zamkniętego w sobie mężczyznę, lecz do tej pory nie miałem żadnych doświadczeń w tym względzie. A teraz raptem poczułem to działa-nie, i było mi tak, jak gdyby coś wtargnęło do mego samotnego serca, aby wypędzić melancholię i pustkę, i próbować mnie pogodzić z całą przeszło-ścią.

Naraz ściągnęła cugle.

- Jest pan Niemcem?

- Tak. Czyżbym mówił po angielsku z tak złym akcentem, że potrafi pani tak dokładnie określić moje pochodzenie?

-Nie, sir. Pański angielski jest czysty, ale pańskie zachowanie jest prawdziwie niemieckie. Z początku był pan głośny, rezolutny i bezpośredni, a teraz jest pan cichy, zamyślony i dociekliwy. Jeśli to panu odpowiada, możemy rozmawiać w naszej mowie ojczystej.

- Jak to"? A więc mamy wspólną ojczyznę?

- Mój ojciec jest Niemcem, lecz ja sama urodziłam się w Quincourt.

Moja matka była Indianką z plemienia Assiniboinów. Amerykanka zachowała się pewnie inaczej przy pierwszym spotkaniu.

19

Teraz stały się dla mnie jasne jej osobliwe rysy i smagły odcień skóry. A więc jej matka umarła, a ojciec żył. W każdym razie natknąłem się na wyjątkową osobę i to, co teraz dla niej czułem, było czymś więcej niż zwykłą ciekawością.

- Niech pan spojrzy! - wskazała podniesioną ręką. - Widzi pan ten dym, który zdaje się podnosić z ziemi?

- Ach, to jest wąwóz, którego szukam już od dawna i w którym leży New Yenango. Zna pani Emery Forstera, króla ropy naftowej?

- Trochę. Jest ojcem żony mego brata. Mieszkają w Omaha. Przyjechałam, żeby zobaczyć się z ojcem, i u niego się zatrzymałam. Miał pan do czynienia z Forsterem. sir?

-W sklepie, gdy chciałem się zaopatrzyć w naftę, a spytałem tylko dla-tego, że jest jednym z najbardziej liczących się potentatów naftowych.

- Nie jest to zbyt interesująca postać. Sam pan wie, jacy są ci ludzie. Ale jedźmy, niedługo zrobi się wieczór.

Po krótkim czasie zatrzymaliśmy się na skraju wąwozu i zobaczyliśmy małą osadę. Wyobrażałem sobie, że jest tu więcej domów. Leżąca przed nami kotlina tworzyła wąską nieckę, otoczoną stromymi skalami i przeciętą w środ-ku pokaźną rzeką, która szukała drogi miedz)' spiętrzonymi głazami.

Cały leżący pod nami teren był pokryty urządzeniami, jakich wymaga wydobywanie ropy; na górze, tuż nad wodą, zobaczyłem pracujący świder wiertniczy, a nieco z dala od pomieszczeń kopalnianych stał mimo całej swej prowizorki przyzwoicie wyglądający budynek mieszkalny. Jak okiem się-gnąć, widać było stosy klepek, den i gotowe baryłki, częściowo puste, w większości wszakże wypełnione wielce pożądanym płynnym paliwem.

- Po drugiej stronie widzi pan sklep, sir, zaraz obok jest zajazd i cała potrzebna reszta. Wiodąca tam droga opada dość stromo, musimy więc zejść pieszo, co nie stanowi zagrożenia dla życia. Chce pan iść ze mną?

Szybko zsunąłem się z siodła, zamierzając pomóc jej przy schodzeniu, ale spóźniłem się, jako że już stała przede mną unosząc brzeg sukni i wołając ze śmiechem:

- Dziękuję! Tutaj człowiek przyzwyczaja się nie żądać takich wzglę-dów. Niech pan weźmie konia za uzdę.

- Swallow pójdzie sam, miss; proszę mi pozwolić poprowadzić wasze-go konia.

20

Ująłem wodze klaczy, a że mój mustang podążał za nami bez specjalnej zachęty, miałem okazję podziwiać zręczność i pewny krok idącej przodem. Tej umiejętności z pewnością nie nabyła w żadnym zakładzie naukowym i moje zainteresowanie ową cudowną istotą rosło z minuty na minutę.

Gdy znaleźliśmy się na dole, dosiedliśmy z powrotem koni i w szybkim tempie podjechaliśmy do sklepu.

- Forster stoi za drzwiami i zaraz mnie zatrzyma.

Wymieniony miał długą, chudą sylwetkę i fizjonomię typowego jankesa.

- Zsiadaj z konia, Ellen. Z kim to się zadajesz!

W tonie jego głosu i wypowiedzianych słowach nie było cienia uprzejmości dla mnie. Nie troszcząc się w ogóle o dziewczynę, przystąpił natychmiast do mego konia.

- Hm, najwyraźniej z daleka, hm, trzeba kupić to zwierzę. Jak myślisz, Fenders?

Zagadnięty mężczyzna z zapijaczoną twarzą, z całą pewnością był Irlandczykiem. Przypuszczałem, że jest gospodarzem, poszedłem jednak, nie zwracając na obydwo uwagi, za dziewczyną, która weszła do gospody. Przyjęła mnie słowami:

- Jeśli chce pan sprzedać konia, to niechże pan sprzeda go mnie. Zapłać tyle samo co Forster.

- Jaki koń? - zawołało kilku ludzi stojących przy stole i rzuciwszy okiem przez okno wyszło na zewnątrz, gdzie nastąpiła ożywiona wymiana słów, po czym Forster spróbował dosiąść konia. Otworzyłem okno.

- Swallow!

Posłuszne zwierzę odskoczyło gwałtownie w bok strząsając ze swego grzbietu natręta i podeszło do mnie. Przywiązałem lejce do krzyża okiennego.

- Myśleliście, że chciałem ukraść wam konia? - zachnął się zrzucony.

-Kupuję go, mogę więc wsiąść na niego. Dajcie go tu!

- Wydaje mi się, że jeszcze go wam nie zaoferowałem, sir. Koń jest zmęczony, zostawcie go w

spokoju!

- Oho! Wyglądacie na rezolutnego chłopaka. Trzeba wam się przyjrzeć!

Skierował się do drzwi i na czele pozostałych wszedł do środka. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem i zauważył potrząsając lekceważąco głową:

- Z odrobiną grzeczności byłoby wam bardziej do twarzy! Wydaje mi się, że koniecznie trzeba wam okrągłej sumki.

21

- To nie was/a sprawa, człowieku.

- Gooi! liick. niezłe to zabrzmiało! Będę wyrozumiały i dam wam sto pięćdziesiąt dolarów.

- Koń nie jest na sprzedaż/..

- Sio siedemdziesiąt pięć.

- Nie jest na sprzedaż.

- Dwieście, i ani centa więcej.

- Mówię po raz trzeci, że nie jest na sprzedaż. Zostawcie mnie w spoko-ju!

- Ale z was grubi anin. Powinniście być zadowoleni, kiedy dżentelmen chce wam dopomóc, słyszycie?'

-Pah\

Zadowolilem się wydaniem tego jednego dźwięku, choć kto inny w takim wypadku sięgnąłby po broń. Moje pojęcie o pojedynku, obrazie i zadość-czynieniu nie było popularne w tym kraju, lecz kto ma w domu parę starych, biednych rodziców, którzy całą swą nadzieję upatrują tylko w swym synu. ryzykuje życie jedynie wtedy, gdy chodzi o coś godniejszego niż prawo pię-ści wyznawane przez jakiegoś nieokrzesanego typu. Oczywiście to samoo-panowanie mogło sprawić, że będą podejrzewać mnie o tchórzostwo, ale osąd tych ludzi był mi ze wszech miar obojętny.

Była wszakże istota, której opinia nie mogła pozostać mnie tak obojętnym: Ellen. jak ją nazwał Forster. Z napiętą uwagą przysłuchiwała się naszej krótkiej wymianie zdań. z całą pewnością oczekując, że wybuchnę gniewem. Kiedy to nie nastąpiło, zobaczyłem ślad rozczarowania na jej pięknej twarzy. a z jej wzroku dała się wyczytać wyraźna aprobata, gdy Forster rzeki wzruszając pogardliwie ramionami:

-To kojol, nic więcej. Chodźcie, chłopcy.

Mimo tej nowej, jeszcze większej zniewagi nie wybuchnąłem, i rzeczywiście, sposób, w jaki dziewczyna odwróciła się do swego krewniaka, zdradzał najwyższą pogardę.

Podążałem za nią wzrokiem do momentu, aż zniknęła ostatnia fałda jej sukni, i nagle zalała mnie gorączką, jakiej jeszcze nigdy nie zaznałem. Z całą pewnością ja sam byłem winien tego niesprawiedliwego osądu. Dlaczego zachowałem się tak rozważnie? Odrobina gniewu i lekkomyślności nie są od rzeczy w takich wypadkach.

22

Tak myślałem w swym zniechęceniu i ryszyłem się wreszcie, aby zapomniać o całym incydencie.

Kiedy zaopatrzyłem się w najpotrzebniejsze rzeczy i wypłaciłem właścicielowi sumę. jakiej zażądał, len spytał:

- Nie zostaniecie na noc? U mnie jest dobra obsługa.

- Dziękuję: nie mam specjalnego przekonania do tego miejsca.

- Ależ możecie zostać, człowieku, nie tylko na dzisiejszą noc. ale na jutro, pojutrze i na zawsze. Potrzebuję kogoś, kto nie skacze od razu do oczu po jednym kopniaku albo dwóch. W naszym fachu ambicja jest często rzeczą zbędną, a nawet szkodliwą. Jak już powiedziałem, możecie tu zostać. Wyda-jecie mi się odpowiednim człowiekiem do tego.

Właściwie powinienem był dać nauczkę temu wiejskiemu ważniakowi, pozwalając mu odczuć, jak bardzo się pomylił względem mnie. ale że jego oferta bardziej mnie rozśmieszyła, niż rozzłościła, zostawiłem go w spokoju i wyszedłem na zewnątrz, gdzie ciągle jeszcze czekał na mnie Swallow.

Tymczasem nad doliną zapadł wieczór i zrobiło się ciemno Początkowo miałem zamiar tu się zatrzymać, ale teraz przeszła mi ochota. Wierzchowiec i jeździec wypoczęli, można więc było ruszyć na prerię, gdzie na pewno spało się przyjemniej niż w tej zalatującej ropą naftową dziurze. Najpierw

jednak przebyłem krótki odcinek w dół do domu mieszkalnego, który po południu oglądałem z góry.

Droga wiodła wzdłuż rzeki. Natychmiast zauważyłem to, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi, zajęty bez reszty moją piękną towarzyszką: zapach ropy w pobliżu rzeki wyraźnie się nasilał, sama woda niosła jej wielką ilość.

Rysujący się przede mną kompleks budynków pogrążony był w ciemności, ale gdy zostawiłem za sobą zakręt i mogłem objąć wzrokiem dom właściciela, zauważyłem jasne światło padające z werandy, gdzie zebrało się małe towarzystwo. Zeskoczyłem z konia, przywiązałem wodze do palika w parkanie i podkradłem się chyłkiem, wykorzystując ciemne miejsca dziedzińca, do niskiego murku, w którym umocowane były słupy podtrzymujące lekkie daszenie.

Jeszcze nigdy w swym życiu nie podsłuchiwałem w takich okolicznościach. ale tym razem coś nieokreślonego i nie znanego do tej pory popychało mnie do tego. Z zadowoleniem stwierdziłem, że poszukiwana jest

23

tutaj. W lekkiej domowej sukni, która miękko opływała jej kształty, leżała w hamaku i sprzeczała się z siedzącym tuż obok Forstrem.

- To niepoirzene nikomu, wręcz haniebne przedsięwzięcie, drogi wuju.

Chyba nie rozważyłeś dobrze tej sprawy.

- Nie ucz. nas kalkulowania, dziewczyno. Ceny są dlatego takie niskie, że złoża oferują za wiele. Jeśli więc pozwolimy zgodnie wypływać przez jakiś czas ropie bezużytecznie, to znowu zdrożeje i zrobimy na tym interes, dobry interes, mówię ci. Przeprowadzimy to posunięcie, tak zostało postanowione, i każdy dotrzyma przyrzeczenia.

- Moim zdaniem nie bierzecie pod uwagę zasobów starego kraju. Wasze postępowanie zmusi tamtejszą konkurencję do najwyższego wysiłku. Sami dajecie drzemiacemu na razie przeciwnikowi broń do ręki. Zresztą tu w Stanach są tak bogate złoża, że wystarczą na długi czas.

- Nie wiesz, co oznacza popyt, a więc nie możesz mieć własnego sądu na ten temat. Zresztą wy, kobiety, w ogóle nie powinnyście myśleć. Ile razy to robicie, schodzicie na manowce.

-To trzeba by było dopiero udowodnić. Sądzę, że...

- Dowód jest pod ręką - przerwał jej. - Czy dopiero co nie przyzna-łaś, że rozczarował cię ten traper czy kim on tam jest? Nigdy bym nie pomy-ślał, że spodoba ci się jego towarzystwo!

Widziałem, jak się zaczerwieniła i odparła szybko:

- Nie ma tu mowy o rozczarowaniu. Powiedziałam tylko, że wydawał mi się inny. a mam zwyczaj rozróżniać między pozorem a dowiedzioną rze-czywistością.

Forster chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył, jako że w tym momencie rozległ się przerażający huk, jak gdyby ziemia pod nami pękła na pół. Ziemia z-adrżała i gdy zwróciłem w tamtą stronę oczy, ujrzałem w górnej części do-liny. tam gdzie pracował świder, wystrzelający w niebo na wysokość niemal pięćdziesięciu stóp słup ognia, który rozpryskiwał się w górze i rozżarzony-mi strumieniami opadał z powrotem na ziemię zalewając naokoło cały teren. Do tego dołączył się ostry, niemal kłujący odór gazu, a powietrze zda się przepełnił płynny, lotny ogień.

Znałem to przerażające zjawisko, jako że oglądałem je w całej jego gro-zie w Kanawhatal, jednym skokiem wpadłem więc pomiędzy śmiertelnie przerażone towarzystwo.

24

- Zgasić światła! Zgasić światła! Świder natrafił na ropę, a w pobliżu znalazł się ogień. Zgaście światło, bo inaczej w dwie minuty spłonie cała kotlina!

Biegiem od jednego palącego się świecznika do drugiego, ale na górze w pokoju też paliły się lampy, a spod drzwi wiodących do sklepu padała smuga światła. Do tego wszystkiego fala wytryskującej ropy, która z niewy-obrażalną szybkością rozlała się po całej górnej części kotliny, dotarła teraz do rzeki i nie pozostawało nic innego, jak rzucić wszystko i ratować życie.

- Na miłość boską, uciekajcie! Spróbujcie wydostać się na górę!

Nie troszcząc się o nikogo więcej, porwałem Ellen w ramiona i w oka-mgnieniu znalazłem się w nią w siodle. Dziewczyna, nie mając pojęcia o rozmiarze niebezpieczeństwa, broniła się ze wszystkich sił, ale w takich razach człowiek posiada siłę olbrzyma, a więc jej wysiłek stopniał prawie całkiem w obliczu przemocy, jaką musiałem wobec niej zastosować. Swal-Iow. którego instynkt czynił



niepotrzebnym użycie ostróg, uniósł nas pędem w dół rzeki.

Górska ścieżka, która mnie przywiodła do New Venango. była dla nas zamknięta, ponieważ i ją zdążył już zalać strumień żaru. Jedynie w dole rzeki mogliśmy znaleźć ratunek, lecz za dnia nie widziałem tam nic podobnego do ścieżki, przeciwnie, zapamiętałem, że głązy piętrzy ty się tak blisko siebie, iż rzeka pieniać się musiała szukać sobie między nimi drogi.

- Proszę powiedzieć, miss - krzyknąłem zdjęty trwogą - jest tu jakieś wyjście z wąwozu?

- Nie. nie! -jęknęła, starając się gorączkowo wyrwać z mych objęć. - Puśćcie mnie, mówię wam, żebyście mnie puścili!

Oczywiście nie zważałem na jej słowa, lecz z uwagą lustrowałem zamykające ścieżkę dwa opadające stromo stoki skalne. W tym momencie uczułem jakiś ucisk w okolicy pasa, a wraz z nim głos dziewczyny:.

- Puśćcie mnie! Puśćcie mnie albo pchnę was własnym nożem!

Wyszarpnęła nóż myśliwski, ale ja nie miałem czasu się z nią spierać.

Szybkim ruchem prawej ręki chwyciłem jej oba nadgarstki, unieruchamiając je, a jednocześnie trzymałem ją mocno lewą ręką.

Niebezpieczeństwo rosło z każdą sekundą. Płonący strumień osiągnął składy. Baryłki strzelały z hukiem podobnym do wystrzału armatniego, rozlewając natychmiast palącą się zawartość i powiększając w ten sposób

25

rosnący i posuwający się błyskawicznie naprzód mur ognia. Powietrze było tak gorące, że człowiek się dusił. Miałem uczucie, że znajduję się w naczyniu z wrzącą wodą. a upał i uczucie suchości rosły z taką szybkością, że wy dawało mi się. iż cały płonę. Niemal odchodziłem od zmysłów, a przecież nie chodziło mi tylko o uratowanie mego własnego życia. Jęcz jeszcze bardziej o me cenne brzemię.

W tych przerażających momentach czułem się tak. jakbym wyrwał naj-wspanialsze dobro, największy skądinąd nieba i ziemi płonącemu Orkusowi i musiał teraz ten wartościowy łup strzec przed

błyskawicami i żarem podziemi. Chociaż nie byłem zdolny do sformułowania jednej myśli, przeszła mnie świadomość pierwszej, wszechogarniającej miłości. Musiałem, musiałem znaleźć dla niej ratunek, choćbym miał przy tym sam dziesięć, nie, tysiąc razy zginąć!

- Swallow, naprzód, naprzód, Swall!

Nie musiałem mówić dalej. Koń pędził z wręcz nieprawdopodobną szybkością. Jeśli dobrze oceniłem sytuację, z tej strony rzeki nie należało szukać wyjścia. Płomienie na tyle oświetlały ściany skalne, że widać było, iż nie sposób tam się wdrapać. A więc nie pozostawało nic innego, jak skoczyć w wodę i przeprowić się na drugą stronę.

Lekkie ściśnięcie łydkami, skok posłusznego mustanga i nad nami zamknęły się fale. Czułem w sobie nowe siły, w moich żyłach pulsowało nowe życie. Koń zniknął przede mną, ale zaraz wynurzył głowę. tylko głowę! Płynąłem jak jeszcze nigdy w całym moim życiu, z lękiem, tak strasznym - tak strasznym, nie o mnie, lecz o nią. Wtem rozległo się za mną prychnięcie - Swallow, wiemy, dzielny Swallow. Jesteś tam? - To już brzeg, znów na grzbiet konia - naprzód - naprzód!

Niemal oszalały ze zdenerwowania i wysiłku rwałem naprzód, skakałem, wdrapywałem się. wręcz nie wiedząc, co robię, aż wreszcie wydostałem się na górę i upadłem z moim brzemieniem na ziemię.

Po kilku chwilach niezbędnego wypoczynku poniosłem ją kilkaset kroków dalej. Niebo błyszczało krwawą czerwienią, a nad miejscem spustoszenia unosiły się gęste, czarne kłęby dymu i swąd spalenizny.

Ale nie miałem czasu przyglądać się temu. ponieważ przede mną leżała. ciągle jeszcze ściskając kurczowo nóż w dłoni, dziewczyna, taka blada, taka zimna i nieruchoma, że miałem wrażenie, jakbym ją utopił w wodzie, chcąc wynieść z płomieni.

Cienka sukienka była przemoczona i przylgnęła do pięknego ciała, na nieruchomą twarz padały ponure refleksy wystrzelających ponad brzeg kotliny płomieni, usta, śmiejące się serdecznie w ciągu dnia, były teraz zamknięte, oczy, tak duże i pełne wyrazu, że zajrzały aż w głąb mej duszy, kryły się pod opuszczonymi powiekami, czysty, dźwięczny głos - nie, nie i jeszcze raz nie. ona nie mogła, nie wolno jej było umrzeć! Odgarnąłem długie, bujne, rozpuszczone włosy z czoła, tarłem jej delikatne skronie, przywarłem ustami do jej warg, chcąc tchnąć powietrze w nieruchome płuca, wołałem ją najczulszymi zdrobnieniami jej imienia, które wcześniej usłyszałem i... nagle przez jej ciało przebiegło drżenie, najpierw niemal niezauważalne, potem mocniejsze, uczułem bicie jej serca, piłem z ust jej tchnienie, widziałem, jak unoszą się jedwabiste rzęsy - ona żyła, budziła się, uszła śmierci!

Przycisnąłem ją do serca i ucałowałem z niezmiernej radości jej coraz cieplejsze wargi. Raptem otworzyła szeroko oczy, wpatrzyła się we mnie z trudnym do opisu wyrazem twarzy, a potem jej spojrzenie ożyło, odwróciła się z głośnym okrzykiem przerażenia i zerwała na równe nogi.

- Gdzie jestem? Kim jesteście? Co się ze mną stało? - zawołała.

- Jesteś uratowana, miss, z morza płomieni tam w dole.

Na dźwięk mego głosu i w obliczu ciągle jeszcze szalejącego pożaru wróciła jej świadomość.

- Gardzę panem!

Nie umiałem od razu znaleźć odpowiedzi, tak nieoczekiwanie padły te słowa. W końcu z wahaniem rzekłem:

- Nie rozumiem miss!

- Dla tego, kto pozbawiony jest honoru, nie może być żadnych względów. Jesteście tchórzem!

- Jeszcze mniej rozumiem.

- Czy to nie tchórzostwo, taką bezbronną....

Zająknęła się, szkarłatny rumieniec oblał jej twarz i z oburzoną miną, przed którą omal się nie cofnąłem, przystąpiła do mnie i krzyknęła:

- Gdybyście byli prawdziwym mężczyzną, zażądałabym satysfakcji, krwawej satysfakcji, ale wy się boicie walki jak sztubak, a więc idźcie. Ale uważajcie, abyście się nie nadziali na muszkę mojej strzelby, ponieważ uważam was za to, czym nazwał was Forster, za kojota! Mój Boże, stoję tutaj, a Forster...

26

27

Dopiero teraz przypomniała sobie wszystko i z przeraźliwym okrzykiem rzuciła się w kierunku

urwiska. Dopadłem jej natychmiast i chwyciłem obie-ma rękami.

- Zaklinam na wszystko, co jest dla was święte, miss, zostańcie! Będzie pani zgubiona, jeśli odważy się zanurzyć w tym morzu ognia!

- Zostaw mnie w spokoju, nikczemniku. Znałeś niebezpieczeństwo, mogłeś ich uratować, wszystkich, a nie zrobiłeś tego. Puść mnie albo posma-kujesz swojej własnej stali!

Ciągle jeszcze trzymała w dłoni nóż. Dopiero teraz zauważyła, że chwy-ciłem ją za rękę, i użyła wszystkich sił, aby się uwolnić. Aby nie zrobić jej krzywdy, musiałem się poddać. Uwolniwszy' prawą rękę, wyrwała także lewą z mego uchwytu, a ja poczułem między palcami jakiś mały przedmiot. Nie dostrzegła straty i ruszyła biegiem wzdłuż urwiska.

Już miałem pobiec za nią, gdy z pewnej odległości doszedł mnie tętent kopyt. Zamieniłem się w słuch.

- Swallow!

Odpowiedzią było radosne rzenie i w następnym momencie koń stanął przede mną, pocierając pieszczotliwie łbem o moje ramię.

- Swallow, mój kochany, kochany Swallow! - zawołałem obejmując z radością jego łeb. - Także i ty się uratowałaś! Wracasz, choć opuściłem cię w chwili niebezpieczeństwa, a ta, dla której dokonałem niemal nadludz-kich rzeczy, nazywa mnie pozbawionym honoru tchórzem, grozi mi bronią i ucieka ode mnie jak od jakiegoś brudnego yambarico\*\ Zatrzymamy ten pierścień, który ściągnąłem jej mimo woli, Swallow. Musimy ją odnaleźć, a wtedy być może się okaże, że twój pan jest czymś więcej, niż tylko pogar-dzanym... kojotem!

\* \* \*

\* pogardliwa nazwa Indian.

- Uff! - odetchnął mój towarzysz. - Mój biały brat ma rację. Tędy jechał czerwonoskóry. Zobaczmy, czego tu szukał.

- Winnetou, wielki wódz - odparłem - jest mądry i ma oczy Wielkie-go Ducha. On doskonale widzi, czego chciał tutaj jego brat, ale ma ochotę wystawić mnie na próbę.

Na wyrazistej twarzy Indianina pojawił się przelotny uśmiech, gdy, ciągle jeszcze pochylony nad śladami, odrzekł:

- A co biały brat myśli o tym tropie?

- Człowiek, który tędy jechał, szukał swych towarzyszy. Na każdym pagórku zatrzymywał konia, aby się rozejrzeć, zatem musimy być ostrożni, jeśli nie chcemy stracić naszych skalpów.

Winnetou, ten sam, od którego otrzymałem Swallowa, wyprostował się i obrzucił mnie spojrzeniem.

- Mój biały brat zna mnie. Zarzucił ze mną lasso na rogi bawołu i zabił górskiego niedźwiedzia w jego pieczarze, stał u mego boku w obliczu przewagi Arapahów i widział Mandanów we krwi u mych stóp, liczył skalpy na ścianach mego wigwamu, a teraz widzi kosmyk włosów mych wrogów u mego pasa. Winnetou opuścił swój szczep, aby zobaczyć wielkie chaty bia-łych ludzi, ich rumaki ogniste i parowe kanoë, o których opowiadał mu przyjaciel, ale jego głowy nie tknie żaden nóż!

- Wielki wódz Apaczów ma rację - skinąłem głową i wskazując na ślady ciągnąłem: - Ale czy zauważył, że koń musiał być zmęczony?

Zamiast odpowiedzieć ruszył, prowadząc konia na lasso, wzdłuż śladów i wreszcie się zatrzymał.

- Tutaj wypoczywał - powiedział wskazując na ziemię i ze zdradzają-cą napięciem twarzy dodał:  
- Czy mój brat wie, którą ścieżką pojechał?

Starannie zbadałem ziemię. Koń był najwyraźniej głodny, bo nie wzgardził kępami na pół uschłej preriowej trawy, a jeździec leżał na ziemi i bawił się kołczanem. Przy tym złamała mu się brzechwa strzały i zostawił, wbrew właściwej Indianom ostrożności, oba odłamki.

Podniosłem je i obejrzałem. To nie była strzała, z jakimi wyrusza się na polowanie, lecz strzała wojenna.

- Wstąpił na wojenną ścieżkę, ale jest jeszcze młody i niedoświadczony, w przeciwnym razie ukryłby te mogące go zdradzić części. Poza tym ślady Jego stóp nie są śladami dojrzałego mężczyzny.

29

Winnetou wydał przychylny dźwięk, wyrażając w ten sposób swe zadowolenie. Podczas naszego pierwszego spotkania stał się dla mnie, nauczycielem i przyzwyczaił mnie do zwracania uwagi nawet na najmniejsze ślady, ponieważ przy wielorakich niebezpieczeństwach prairii jest to nieodzowne. Teraz wykorzystywał każdą okazję, aby się dowiedzieć, czy jego nauki odniosły skutek.

Jedno spojrzenie na biegnące dalej wgłębienia w ziemi starczyło, aby nam ukazać, że mężczyzna dopiero niedawno opuścił to miejsce, jako że brzegi śladów były jeszcze ostre, a splątane czy zgniecione źdźbła nie zdążyły się jeszcze całkiem podnieść. Winnetou rozłożył derkę i wyciągnął się na niej, uwiązawszy wcześniej konia,

Zrobiłem to samo i wyjąłem dwa cygara z bocznej kieszeni niej myśliwskiej koszuli. Były to ostatnie z tuzina, jaki przed wieloma tygodniami wziąłem ze sobą z Provo. Przeznaczyłem je na specjalną okazję, ale że na nic takiego się nie zanosilo, równie dobrze mogły zostać wypalone teraz.

Kiedy wręczyłem mu cygaro, Indianin sięgnął po nie z widoczną przyjemnością. Kto zna wyrzeczenia, do jakich zmusza każdego Zachód, ten zrozumie, jaką rozkosz sprawiała nam ta rzadka przyjemność, mnie. wydmuchującemu z upodobaniem błękitne kółka, i Winnetou, najpierw połykające-mu indiańskim zwyczajem dym, a potem wypuszczającemu go przez nos.

Przez długi czas nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Małomówność na-leży wśród Indian do głównych cnót i w żadnym wypadku nie zamierzałem poprzez gadatliwość lekkomyślnie stracić przyjaźń i szacunek mego towa-rzysza.

Wreszcie, kiedy cygaro dawno zostało wypalone, Indianin podniósł się i po chwili znowu jechaliśmy obok siebie, pochyleni, utkwivszy badawczy wzrok w ziemi.

Nasze cienie stopniowo wydłużały się, zapadł wieczór i byliśmy zmusze-ni zsiąść z koni, jeśli nie chcieliśmy stracić tropu. Zanim to jednak zrobiłem, sięgnąłem po lornetkę, aby jeszcze raz przeszukać równinę.

Zatrzymaliśmy się właśnie na jednym z licznych, podobnych do grzbie-tów fal wzniesień, które w tej części prerii przypominały skamieniałe morze, dlatego miałem niezły widok na okolicę.

Ledwie podniosłem lornetkę do oczu, zauważyłem długą, prostą linię, ciągnącą się wzdłuż północnego horyzontu ze wschodu aż do najdalszego

30

punktu na zachodzie. Rozradowany podałem Winnetou lornetkę, wskazując mu kierunek, w którym powinien patrzeć. Skończywszy się przyglądać, co trwało jakiś czas, odsunął ją od oczu ze zdradzającym ciekawość Uff\ spoj-rzał na mnie pytająco.

- Czy mój brat wie, co to za ścieżka? To nie jest szlak bizonów, nie wydeptała go też stopa czerwonego człowieka.

- Wiem. Tą drogą nie pędzą bizona, i żaden Indianin nie potrafił po-prowadzić jej przez prerię. To jest ścieżka ognistego rumaka, którego mój brat zobaczy jeszcze dziś.

Pośpiesznie podniósł na nowo lornetkę do oczu i z żywym zainteresowa-niem przyglądał się przybliżonej dzięki soczewkom linii kolejowej. Raptem na jego spokojnej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. W następnej sekun-dzie zeskoczył z konia i puścił się z nim biegiem w pofalowaną dolinę.

Naturalnie jego zachowanie musiało mieć jakiś ważki powód, dlatego bez zwłoki postąpiłem podobnie.

- Tam za ścieżką ognistego rumaka zaczaili się czerwoni wojownicy - krzyknął. - Ukryli się za wzniesieniem, ale dojrzałem jednego z ich wierz-chowców!

Zrobił dobrze, że natychmiast zjechał ze wznesienia, jako że byliśmy tam widoczni jak na dłoni. Co prawda odległość była znaczna nawet dla bystrego oka Indianina, ale podczas mej włości często widywałem lornet-ki w rękach tych ludzi. Postęp niepowstrzymanie idzie naprzód, a choć coraz bardziej wypiera dzikich z ich pierwotnych terenów, oferuje im prze-cież środki, aby mogli aż po ostatniego człowieka bronić się przeciwko prze-mocy.

- Co mój przyjaciel myśli o zamiarach tych ludzi?

Milczał. Najwyraźniej trudno mu było wytłumaczyć ich zachowanie. Wstąpili na wojenną ścieżkę, a jednak nie wystawili wart. Musieli zatem wiedzieć, że w najbliższym otoczeniu nie ma żadnego wroga, a ponieważ z tak małą liczbą ludzi nie mogli przedsięwziąć dalekiej wyprawy, Winne-tou nie umiał dać mi odpowiedzi, co chcą zrobić. Mnie natomiast wydawało się, że nie będzie trudno odgadnąć ich zamiary. Wziąłem więc lornetkę, powiedziałem, aby zaczekał na mnie, i zacząłem się przemykać ostrożnie naprzód.

31

Choć byłem niemal pewny, że nie mają pojęcia o naszej obecności, stara-łem się na tyle. na ile to możliwe, szukać osłony i w ten sposób podkradłem się do nich na taką odległość, że mogłem ich obserwować.

Nalicz leni ich sześćdziesięciu trzech, w barwach wojennych i wyposa-żonych zarówno w strzały, jak i w broń palną. Liczba koni była znacznie wyższa i ta okoliczność umocniła me podejrzenia.

Wtem usłyszałem za sobą cichy oddech. Błyskawicznie wyciągnąłem nóż i obejrzałem się. To był Winnetou, który nie został przy koniach, lecz podkradł się tu za mną.

- UfP. - dobyto się z jego warg. - Mój brat jest bardzo odważny, że zapuścił się tak daleko. To są Oglala, najdzielniejszy szczep Siuksów, a tam leży Parano, biały wódz.

Spojrzałem na niego zdumiony.

- Biały wódz?

- Mój przyjaciel nie słyszał o Parano, okrutnym wodzu Atabasków?



Nikt nie wie, skąd pochodzi, ale jest potężnym wojownikiem i zasiada między czerwonoskórymi w radzie starszych plemienia. Kiedy posiwiali wódzowie odeszli do Manitu, Wielkiego Ducha, otrzymał kalumet i zerwał wiele skalpów, potem jednak został omamiony przez złego ducha, traktował swych wojowników z pogardą i musiał uciekać. Teraz zasiada w radzie Oglala i poprowadzi ich do wielkich czynów.

- Czy mój brat zna jego twarz?

- Winnetou zmierzył się z nim na tomahawki, ale biały jest pełen podstępów, nie walczy uczciwie.

- To zdrajca, jak widzę. Chce zatrzymać ogniściego rumaka, a moich braci zabić i obrabować.

- Biały ludzi? - zdumiał się. - Przecież jest tego samego koloru? Potrafi zatrzymać ogniściego rumaka?

- Nie, nawet gdyby zebrał wszystkich Indian, którzy potrafią posługiwać się lassem, nie zdołałby tego zrobić. Ale gdy zniszczy się jego ścieżkę, ogniściego rumaka musi stanąć i w ten sposób zginą dosiadający go jeźdźcy.

Zdumienie wodza wzrosło. Nie miał wówczas jeszcze pojęcia, co to jest lokomotywa, zatem nie mógł pojąć mych słów. Po chwili milczenia, podczas której obserwowaliśmy bacznie leżących wojowników, spytał:

- Co zrobi mój przyjaciel?

32

- Poczekaj i zobacz, czy Paranoh zniszczy ścieżkę stalowego rumaka, a potem wyjedzie naprzeciw swym braciom, aby ich ostrzec. Skinął głową.

- Winnetou mu pomoże. Jak wielu mężczyzn go dosiada?

- Tego nie wiem.

- Będą przyjaźnie usposobieni do ojca Apaczów?

- Uściskną memu przyjacielowi rękę, wypalą z nim fajkę pokoju i dadzą mu prochu, ołowiu i

tytoniu ile zechce.

Jego twarz pozostała kamienna. Z pogardliwym skinięciem głowy zauważył:

- Jeśli bracia mego przyjaciela chociaż w połowie będą tak liczni jak te psy tutaj, to pošlemy ich do Krainy Wiecznych Łowów.

Robiło się coraz ciemniej i coraz trudniej było przyglądać się wrogim wojownikom. Musiałem być dobrze poinformowany o tym, co robią India-nie, więc poprosiłem Winnetou, aby wrócił do koni i tam na mnie zaczekał. Nie mógł mi być w niczym pomocny, jako że nigdy nie widział kolei, i uległ, acz niechętnie, mej prośbie.

- Jeśli mój brat znajdzie się w niebezpieczeństwie, to niech wyda głos pieska preñowego, a wtedy przyjdę mu z pomocą.

Ruszył z powrotem, a ja podkradłem się do torów, nadkładając drogi, chwilami pełznąć i zważając na każdy szmer. Trwało długo, zanim tam do-tarłem. Przedostałem się na drugą stronę i ostrożnie wyprostowałem, wpa-trując się ze zdwojoną czujnością w miejsce, gdzie widziałem Oglala.

Wtem do mych uszu dotarł cichy dźwięk. Zacząłem nasłuchiwać. Był to odgłos regularnie powarżających się uderzeń, a kiedy wspiałem się na na-syp i przyłożyłem ucho do szyny, usłyszałem wyraźne stukanie, które nie pozostawiało wątpliwości.

Nie było czasu do stracenia. Przebyłem na czworakach krótki odcinek, podniosłem się i zeskoczyłem na ścieżkę, którą tu przybyłem. Nie oriento-wałem się, w jakim punkcie linii kolejowej się znajdujemy, a jeszcze mniej wiedziałem o porze, w jakiej miał tędy przejechać pociąg. To mogło nastą-pić w każdej chwili i aby jego obsadę, ostrzec trzeba było znacznego wy-przedzenia w czasie. W gorączkowym podnieceniu biegłem tak szybko, że niemal zderzyłem się z Winnetou. Mało brakowało, a byłby mnie nie rozpo-znał i jak nic dźgnął nożem.

33

Porozumiawszy się, dosiedliśmy koni i ruszyliśmy kłusem wzdłuż torów na wschód. Z zadowoleniem powitalibyśmy odrobinę księżycowego blasku. ale gwiazdy świeciły na tyle jasno, że pozwalały nam odnaleźć drogę.

Minął kwadrans, potem drugi. Nadjeżdżającemu pociągowi już nie groziłoby niebezpieczeństwo, gdybyśmy tylko zostali zauważeni. Aby uzyskać efekt zaskoczenia powinno to się stać bez wiedzy Indian. W tym płaskim terenie jaskrawe światła, w jakie wyposażono amerykańskie parowóz}, wi- dać było z odległości kilku mil.

Puściliśmy konie galopem i pokonaliśmy w ten sposób, jadąc bez słowa obok siebie, okazały kawałek odległości.

Teraz, jak mi się wydawało, nadszedł czas. Zatrzymałem się i zeskoczyłem z konia. Winnetou uczynił to samo. Kiedy wierzchowce zostały należy- cie przywiązane, zebrałem stos podeschniętej trawy. Z najbardziej wysuszo- nych źdźbeł sporządziłem coś w rodzaju pochodni. Z pomocą odrobiny roz- sypanego prochu coś takiego dało się łatwo zapalić. Teraz mogliśmy ze spo- kojem oczekiwać tego, co nadejdzie.

Rozciągnięci na derkach wsłuchiwalismy się w noc, nie odrywając oczu od miejsca, w którym miał pojawić się pociąg. Winnetou nie rzekł słowa. Z tego, co zamierzałem zrobić, rozumiał niewiele albo zgoła nic, tak więc pozwolił mi spokojnie działać. Oprócz chrzęstu trawy, dochodzącego ze stro- ny, gdzie pasły się konie, panowała cisza, najwyżej słychać było szelest skrzy- dełek wyruszającego na polowanie chrząszcza. Minuty ciągnęły się w nie- skończoność i to stawało się coraz bardziej przykre.

Minęła wieczność, wreszcie w dali zabłysło światło, najpierw małe, nie- mał niedostrzegalne, ale w miarę upływu czasu coraz większe.

- Wielki wódz Apaczów zobaczy teraz ognistego rumaka. Właśnie nad- chodzi.

Winnetou podniósł się. Z jego ust nie padł jeden dźwięk świadczący o napięciu, w jakim się znajdował. Wziąłem do ręki zaimprovizowaną po- chodnię i posypałem ją prochem.

Zbliżanie się pociągu zapowiadał coraz wyraźniej szy stukot kół, który narastając przypominał odległy grzmot.

- Stalowy koń wydaje zły głos - powiedział Winnetou. - Co myśli o plemienu Apaczów?

A więc obawiał się o swe bezpieczeństwo. Wróg, nawet najpodstępniej- szy nie wywołałby w nim nawet cienia strachu, ale nieznana i w straszny sposób zapowiadająca się siła pary zakłócała jednak spokój jego serca.

- To nie jest głos stalowego konia, lecz dudnienie ścieżki, po której biegnie.
- A więc jego rzenie musi być jeszcze straszniejsze.

Zdażyłem tylko powiedzieć krótkie uspokajające słowo, ponieważ nad-szedł oczekiwany moment. Rzucając przed siebie oślepiający snop światła, z ciemności wytoczył się z hukiem pociąg.

Wyciągnąłem rewolwer i nacisnąłem spust. W mgnieniu oka proch się zapalił i sucha trawa zajęła ogniem. Machając wiechciem spowodowałem, że rozbłysł jasnym płomieniem, a drugą ręką dawałem znaki, aby zatrzyma-no pociąg.

Maszynista musiał natychmiast dostrzec to przez szybę budki, ponieważ już za pierwszym machnięciem pochodni rozległ się szybki, ostry, powta-rzający się gwizd. W tym samym momencie zostały uruchomione hamulce i wagony z chrzęstem przetoczyły się obok zwalniając coraz bardziej.

- Uff, uff, uff - zawołał Winnetou, lecz nie miałem czasu zwracać uwagi na jego lękliwy podziw, tylko dałem mu znak, aby podążył za mną, i skoczyłem w kierunku wytracającego szybkość pociągu.

W końcu zatrzymał się. Nie zwracając uwagi na wychylających się kon-dukatorów, pobiegłem wzdłuż wagonów, aż do lokomotywy, zarzuciłem za-braną przezornie z ziemi derkę na reflektor i krzyknąłem w tej samej chwili możliwie naj donośniej szym głosem:

- Zgasić światła!

Latarnie natychmiast pogasły. Pracownicy Kolei Pacyfiku to przytomni, szybko dostosowujący się do sytuacji ludzie.

- Do diabła! - zawołał ktoś z wnętrza parowozu. - Dlaczego zakry-wasz nam reflektor, człowieku? Mam nadzieję, że tam z przodu nic się nie stało!
- Musimy pozostać w ciemności, sir - odparłem. - Przed nami są Indianie i jestem głęboko przekonany, że zerwali szyny.

- A niech to wszyscy diabli! Jeśli tak jest naprawdę, to jesteście naj-dzielniejszym człowiekiem, jak kiedykolwiek błąkał się po tym przeklętym kraju.

35

Zeskoczywszy na ziemię, uściskał mi rękę tak mocno, że o mało nie krzyknąłem z bólu. W chwilę potem otoczyli nas ciekawscy. Wprost zadziwiła mnie liczba ludzi, którzy wysypali się z wagonów.

- Co jest? Co się stało? Dlaczego stoimy? - padały zewsząd pytania.

W krótkich słowach przedstawiłem im sytuację, wywołując tym niemałe podniecenie wśród mężczyzn.

- Dobrze, bardzo dobrze! - zawołał maszynista. - Co prawda spowoduje to opóźnienie pociągu, ale to pestka w porównaniu z tym, że możemy tym czerwonym łotrom wygarbować skórę. W ostatnim czasie to już trzeci raz, jak się ośmielają napadać na pociąg i rabować podróżnych, ale dziś się przeliczyli i dostaną za swoje. Najwyraźniej sądzili, że ten pociąg będzie wiozł towary i jak zwykle będzie miał zaledwie pięć, sześć osób obsady, ale na szczęście jedzie nim kilka setek robotników, a że wszyscy są uzbrojeni, szykuje się niezła zabawa! Ale co to za człowiek stoi tam po drugiej stronie? Mój Boże, to Indianin!

Sięgnął za pas i chciał rzucić się na Winnetou, który przyszedł tu za mną i stał teraz w półcieniu w wyprostowanej, pełnej godności postawie.

- Zachowajcie spokój, sir. To mój towarzysz, z którym chodzę na łowy.

Ucieszy się, gdy pozna odważnych jeźdźców stalowego konia.

- To co innego. Zawołajcie go tu.

Skinałem na wodza. Ruszył wolnym krokiem w naszym kierunku, ale zatrzymał się nagle, gdyż maszynista tymczasem wspiał się na parowóz, aby wypuścić parę z kotła, i teraz zaczęła wydostawać

się z przeraźliwym sy-kiem na zewnątrz, spowijając lokomotywę białą chmurą.

- W' u^1- Czego mój brat woła Winnetou, choć stalowy koń się gnie-wa?

- Winnetou? - rozległ się z tyłu gromki głos. Jakiś mężczyzna przeci-skał się pośpiesznie między stojącymi. - Winnetou, wielki wódz Apaczów, tutaj?

Był to mężczyzna potężnej budowy, na ile mogłem rozeznać w ciemno-ści, wydawało mi się też, że nie ma na sobie odzieży właściwej robotnikom, którzy skwapliwie robili mu przejście, ale ubranie traperskie. Stał przed wodzem i zapytał wesoło:

- Czyżby Winnetou zapomniał postać i głos swego przyjaciela?

36

- UfP- - odrzekł z taką samą radością zapytany. - Jakże Winnetou mógłby zapomnieć Old Firehanda. największego między białymi myśliwy-mi. chociaż nie widział go od wielu słońc!

- Nie wierzę własnym oczom, sławny łowca skalpów! Ze mną jest tak samo jak z wami, ale...

- Old Firehand? - zakrzyknięto dookoła, przerywając mu.

Zebrani z szacunkiem rozstąpili się tworząc krąg wokół wymienionego. Mnie też było znane imię tego najsłynniejszego westmana. Z jego osobą wiązały się opowiadania o wręcz niewiarygodnej odwadze, jak miała go ce-chować, a przesadni traperzy rozpowszechniając coraz to nowe historie na jego temat sprawili, że otaczała go ciągle rosnąca sława.

- Old Firehand? - zawołał teraz maszynista. - Dlaczego nie powie-dzieliście, kim jesteście, gdyście wsiadali, człowieku? Wskazałbym wam lepsze miejsce niż każdemu, kogo z czystej uprzejmości podwozi się kawa-łek na zachód!

- Dziękuję, sir, było mi całkiem wygodnie. A teraz nie traćmy czasu na pogawędki, tylko naradźmy się, co mamy czynić przeciwko czerwonoskórym.

Natychmiast wszyscy zgromadzili się wokół niego, jak gdyby to było zrozumiałe, że jego pogląd na sprawę jest najlepszy, i musiałem powtórzyć swoją relację.

- Jesteście zatem przyjacielem Winnetou? - spytał, kiedy skończyłem. - Nie przyjmuję tak łatwo informacji od kogoś, ale ten, kogo on po-waża, może liczyć na moją pomoc. Oto moja ręka! A teraz wam powiem, co myślę, ludzie. Utworzymy dwa oddziały, które po obu stronach pociągu pod-kradną się do Indian. Mamy dwóch przewodników, żebyśmy się nie zgubili. Gdy jeden z tych oddziałów pólkolem zacznie ostrożnie podchodzić do Indian i zapędzi ich aż do nasypu, drugi zajdzie z drugiej strony. Wróg z.naj-dzie się wtedy w środku i wtedy go zgnieciemy. Pociąg naturalnie będzie stał tutaj, a jeśli komuś niespieszne iść z nami, niech w nim zostanie.

- Well, sir, zgadzam się! - zawołał maszynista. - A chociaż właści-wie nie wolno mi opuścić posterunku, mam parę zdrowych rąk i nie chcę, aby próżnowały. Nie wytrzymam na tej starej ognistej skrzyni, gdy usłyszę wasze strzały, i też przyłączę się do was - zwróciwszy się do obsady pocią-gu ciągnął: - Wy zostaniecie w wagonach i będziecie dawać baczenie na wszystko. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Tom!

37

- Tak, sir? - odezwał się palacz.

- Znasz się co nieco na parowozie. Gdy dam ci sygnał latarką, podpro-wadzisz pociąg, abyśmy nie musieli wracać. Ale zrobisz to wolno, bardzo. bardzo wolno. Może trzeba będzie coś poprawić przy torze.

Po chwili zaległa cisza. Nawet najmniejszy szmer nie zdradził, że wiszą-cy nad równiną spokój kryje w sobie przygotowania do krwawej rozprawy.

Spory odcinek drogi przeszliśmy wyprostowani, ale gdy znaleźliśmy się w pobliżu miejsca przypuszczalnego starcia, skuliliśmy się i posuwaliśmy się teraz jeden za drugim w cieniu nasypu, niejednokrotnie na kolanach. trzymając się przy ziemi i pomagając sobie rękami.

Tymczasem wzeszedł księżyc i zalał równinę spokojnym, jasnym świa-tłem, tak że można było widzieć na dalszą odległość. Co prawda owa ja-sność utrudniała podkradanie się, ale była dla nas korzystna z innego powo-du. Przy monotonii pofałdowanego terenu, gdzie wszystkie wzniesienia i obniżenia między pagórkami były do siebie podobne, nie przyszłoby nam łatwo określić w ciemności miejsca, gdzie widzieliśmy Oglalę, mogliśmy więc natknąć się na nich całkiem niespodziewanie. Teraz nie musieliśmy się już tego obawiać.

Od czasu do czasu podnosiłem się ostrożnie na moment i rzucałem baczne spojrzenie za nasyp. Wtem dostrzegłem na leżącym po drugiej stronie pagórku odcinającą się wyraźnie od horyzontu postać. A więc wystawili wartownika. Gdyby czerwonoskóry nie patrzył wyłącznie w dal, skąd oczekiwał pociągu, ale zlustrował bliższy teren, niechybnie zauważyłby nasz oddział, jak przemyka się po drugiej stronie toru. Mimo to ufałem mądrości wodza Apaczów, który już wiele razy zademonstrował godne podziwu mistrzostwo w podchodzeniu przeciwnika.

Po kilku minutach zobaczyliśmy czerwonoskórych, jak leżą bez ruchu na ziemi. Kawałek dalej trzymali spętane konie. Ta okoliczność bardzo utrudniała niespodziewany napad, jako że zwierzęta mogą łatwo zdradzić czyjąś obecność. W tym samym momencie zauważyłem, jakie przygotowania poczynili Indianie dla zatrzymania pociągu. Kilka szyn zostało wyrwanych, a w poprzek toru położono belki. Wzdrygnąłem się pomyślawszy o losie, jaki niechybnie spotkałby pasażerów, gdybyśmy nie przejrżeli zamiaru Indian.

38

Posuwaliśmy się do przodu tak długo, aż nasze oddziały znalazły się dokładnie naprzeciw siebie. Wtedy przyłgnęliśmy do ziemi, pełni oczekiwania, z bronią gotową do strzału.

Byłoby lepiej, gdybyśmy to my przystąpili do ataku, ale dyspozycje zostały już wydane, zatem musieliśmy uzbroić się w cierpliwość. Głównym zadaniem naszej grupy było najpierw unieszkodliwienie wartownika, a mogłem je powierzyć jedynie Winnetou. W jasnym blasku księżyca wartownik mógł widzieć najdrobniejszy szczegół otoczenia, a dzięki panującej naokoło ciszy usłyszeć najłżejszy szmer. Nawet gdyby udało się go zaskoczyć, to aby unieszkodliwić go celnym ciosem noża, trzeba było się wyprostować, a wtedy musiało się zostać zauważonym przez innych.

Gdy tak biłem się z myślami, jak rozwiązać ten problem, zobaczyłem nagle, jak zapada się pod ziemię, ale już w następnej sekundzie stał wyprostowany w swej wcześniejszej postawie. Ten ruch zajął ułamek sekundy, lecz natychmiast zrozumiałem, co oznaczał. Teraz to już nie Oglala trzymał wartę, lecz Winnetou. Musiał się z kimś jeszcze podkraść bezpośrednio do niego i w tym samym momencie, kiedy tamten schwycił wartownika za nogi i obalił na ziemię, sprawiwszy, że nie mógł wydać jednego dźwięku, Winnetou wyprostował się zastępując wartownika.

To była znów jedna z jego godnych podziwu indiańskich sztuczek, przy których bez wątpienia mógł mu pomóc jedynie Old Firehand. Nikt oprócz mnie nie zauważył zajścia, a ponieważ wrogowie trwali w bezruchu, musiało to ujść także i ich uwagi. Najcięższe zadanie mieliśmy szczęśliwie za sobą, zatem w krótkim czasie mogliśmy spodziewać się ataku.

I rzeczywiście, w chwilę potem dostrzegłem w pewnym oddaleniu za koźmi rząd ciemnych punktów, które posuwały się do przodu i najwyraźniej zamierzały zacieśnić się w półkole. Nie zauważeni przez Indian, przysuwali się coraz bliżej i bliżej. Już już wydawało mi się, że uda się w pełni zaskoczyć wroga, gdy przelotne światelko powędrowało w górę, a zaraz za nim rozległ się głośny wystrzał - ktoś nacisnął spust.

Oglala w mgnieniu oka zerwali się, a choć nie zauważyli jeszcze nacierającego wroga, z szybkością myśli znaleźli się w siodłach, spięli konie i puścili się galopem do nasypu kolejowego.



Nie spodziewali się napadu, nie ustalili więc między sobą postępowania na wypadek, gdyby taki nastąpił, dlatego stwierdziwszy przewagę białych,

39

próbowali wycofać się w jakieś bezpieczne miejsce i tam podjąć decyzję. Tego, że po drugiej stronie nasypu krył się podstęp, nie mogli wiedzieć, i teraz chodziło tylko o to, aby powstrzymać ich ucieczkę.

- Have care! - krzyknąłem, gdy znaleźli się od nas na odległość zaledwie kilku długości koni. - Celujcie w konie, a potem w górę!

Miałem sztucer z dwudziestoma pięcioma kulami w magazynku, które-go używałem w zależności od siły nieprzyjaciela. Już przy pierwszej salwie Indianie skłębili się, atakowani zewsząd przez białych. Ja pozostałem chwilowo na miejscu, aby z bezpiecznego oddalenia słać kulę za kulą.

Rozgorzała zaciepła walka. Choć małej liczbie Indian udało się przedrzeć przez nasze linie i oddalić na pewną odległość, większość z nich albo została zrzucona przez zranione konie, albo nasza przewaga przeszkodziła im w ucieczce, a choć walczyli jak wcielone diabły, wiadomo było, że skazani są na zagładę.

Początkowa chaotyczna bijatyka przekształciła się stopniowo w łatwiejszą do ogarnięcia wrokiem walkę i nie zaangażowany obserwator miałby okazję obserwować czyny, które nie powinny mieć miejsca na cywilizowanej ziemi. Gromada robotników kolejowych rekrutowała się, co rozumiałe, w przeważającej części z ludzi, którzy z niejednego pieca chleb jedli i zdobywali doświadczenie w różnych okolicznościach, ale żaden z nich nie dorównywał w walce czerwonoskórem i tam, gdzie naprzeciw Indianina nie stało choćby kilku z nich, ten zdobywał przewagę i wkrótce miejsce pokryło się zabitymi, padającymi pod silnymi ciosami tomahawków.

Jedynie trzech z nas, Old Firehand, Winnetou i ja, byliśmy wyposażeni w tę broń. Dawno odłożyłem sztucer i włączyłem się do walki wręcz. Wraz z topniejącą liczbą wrogów robotnicy kolejowi, sądząc, że spełnili swój obowiązek, coraz częściej wycofywali się na bok, aby odpocząć, zatem tym bardziej była zaangażowana nasza reszta, jeśli mieliśmy do końca rozprawić się z wrogiem.

Winnetou znałem dobrze, nie zwracałem więc na niego uwagi, przedarłem się za to w pobliże Old Firehanda. Jego wygląd przypominał mi tamtych dawnych bohaterów, o których tak często czytałem z zachwytem jako chłopiec. Old Firehand stał wyprostowany na szeroko rozstawionych nogach

i dzierzył w potężnych dłoniach topór, pod który inni naganiali mu Indian,

a on jednym ciosem miażdżył kilka głów. Długie siwe, przypominające

40

siano włosy powiewały mu wokół odkrytej głowy, a oblana światłem księżyca twarz zdradzała taką rozkosz, że nadawało to jego rysom osobliwy wygląd.

Obok nas walczył jakiś Indianin, który potrafił rozprawić się ze swymi przeciwnikami i utorował sobie drogę, chcąc ujść losowi, jaki spotkał jego współbratymców. Właśnie powalił na ziemię ostatniego stojącego mu na drodze białego, gdy nieoczekiwanie stanął przed nim nowy nieprzyjaciel. Był to Winnetou.

- Paranoh! - zawołał, chociaż zgodnie z obyczajem indiańskim zwykle nie otwierał ust podczas walki. - Czy pies Atabasków chce być lepszy od Winnetou, wodza Apaczów? Usta ziemi wypiją jego krew, szpony sępów rozerwą ciało zdrajcy, a jego skalp będzie zdobił pas Apacza!

Odrzucił tomahawk, wyrwał nóż z ozdobionego skalpami pasa i chwycił białego wodza za gardło, ale nie pozwolono mu zadać śmiertelnego ciosu.

Kiedy wbrew zwyczajowi z głośnym krzykiem rzucił się na Oglala, Old Firehand rzucił pośpieszne spojrzenie na wroga, a mimo że było ono prze-lotne, dojrzał twarz, której nienawidził każdym włókmem swego ciała, której szukał ze strasznym natężeniem, acz na próżno, przez długie, długie lata, a teraz nieoczekiwanie stanęła przed jego oczyma.

- Tim Finnetey! - krzyknął, rozsunął rękami Indian jak źdźbła trawy, przyskoczył do Winnetou i chwycił jego podniesioną do ciosu dłoń.

- Wstrzymaj się, bracie, ten mężczyzna należy do mnie!

Paranoh wyraźnie zaskoczyło, gdy usłyszał swe prawdziwe imię. Nie rzuciwszy okiem na Old Firehanda, wyrwał się z rąk Winnetou, i jak strzała rzucił się do ucieczki. W mgnieniu oka i ja uporałem się z Indianinem, z którym walczyłem, i puściłem się w ślad za uciekającym. Co prawda nie miałem z nim osobistych porachunków, ale jako organizator planowanego napadu zasłużył na kulę, wiedziałem poza tym, że jest śmiertelnym wrogiem Winnetou, a ostatnie spojrzenie przekonało mnie, że Old Firehandowi bardzo zależy na jego osobie.

Obydwaj również natychmiast rzucili się w pościg, ale wiedziałem, że

nie zdołają zmniejszyć przewagi, jaką mam nad nimi, musieli oczywiście zauważyć, że mają do czynienia z nie lada biegaczem. Chociaż Old Firehand, według tego, co o nim słyszałem, miał być mistrzem we wszelkich

41

umiejętnościach, jakich wymaga życie s wemiana, to już dawno pożegnał się z latami, które sprzyjają takim zawodoom. Winnetou też zresztą często przy-znawał, że nie może za mną nadążyć.

Ku swemu zadowoleniu zauważyłem, r. Paranoł popełnił błąd, nie roz-łożywszy odpowiednio sił. Uciekał ww pojłochu, w swym wzburzeniu nie stosując zwykłej taktyki Indian, aby ufaciehlć zygzakiem, gdy tymczasem ja kontrolowałem oddech i próbowałem ooszc^dzać siły. Mając na uwadze wła-sną wytrzymałość to zwalniałem, to zimiownizyspieszałem, przerzucając ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Tamci dwaj zostawali coraz bardziliiej wtyle, tak że nie słyszałem już ich oddechów, które początku dochodziły v myih uszu. Naraz rozbrzmiał z dość dużej odległości głos Winnetou:

- Old Firehand może stanąć! Mołój nkody biały brat złapie i zabije tę ropuchę Atabasków. On ma nogi bwzzy i nikt nie zdoła mu ujść.

Mimo że ten okrzyk bardzo mi poiochldiiił, nie mogłem się obejrzeć, aby stwierdzić, czy zapalczywy myśliwy do.otrzymuje mu kroku. Co prawda świe-cił księżyc, ale przy jego zwodniczymi Haiku nie mogłem spuścić uciekają-cego z oka.

Na razie nie zbliżyłem się do niegoo. anna krok, ale gdy zauważyłem, że

jego prędkość maleje, przyśpieszyłem i i w nrótkim czasie biegłem tam blisko

za nim, że słyszałem jego sapanie. Nie:: miaem przy sobie żadnej broni oprócz

dwóch rewolwerów, lecz wcześniej wy;v strzUałem wszystkie kule, i noża my-

śliwskiego, który teraz wyciągnąłem. . Tonahawk przeszkadzał mi w biegu, .

dlatego wyrzuciłem go już po pierws27=yh paru krokach. \

ścigany raptem uskoczył w bok, alfilaynw pełnym pędzie go minął, a po- i

tem chciał mnie napaść od tyłu. Byłemu jecnak przygotowany na ten manewr i w tym samym momencie skręciłem - -w jiggo stronę, tak że zderzyliśmy się z całej siły i zdołałem przy tym zagłębić nóż aż po rękojeść w jego ciele. \

Zderzenie było tak silne, że obaj upaliliśmy na ziemię. On już się nie 1 podniósł, gdy tymczasem ja w okamgnieniu zerwałem się, jako że nie mo- ! głę wiedzieć, czy cios był śmiertelny.v. Poi-ieważ się nie ruszał, odetchnąłem głęboko i wyciągnąłem nóż.

Nie był pierwszym wrogiem, któn-ego pokonałem, moje ciało pamiętało nie zawsze szczęśliwie zakończone ULitaraki z pozostałymi w zażyłości z walką mieszkańcami amerykańskich i stepw. Tym razem jednak leżał przede

mną biały i nie mogłem się pozbyć uczucia, że mi duszno. W każdym razie zasłużył na śmierć, zatem nie było potrzeby go żałować.

Zastanawiając się nad tym, jakie trofeum na znak mego zwycięstwa po-winienem wziąć, usłyszałem za sobą czyjeś kroki. Rzuciłem się na ziemię, ale nie miałem powodu do obaw, bo był to Winnetou, który zdjęty przyja-cielską troską przybiegł tu za mną i teraz stanął obok.

- Mój brat jest szybki jak strzała Apaczów, a jego nóż nigdy nie chybia

celu.

- Gdzie Old Firehand?

- On jest silny jak niedźwiedź w czas śnieżycy, ale jego stopę wstrzy-mała ręka lat. Czy mój brat nie chce przyozdobić się skalpem Atabasa?

- Podaruję go memu czerwonemu przyjacielowi.

Trzema cięciami skóra głowy zabitego została oddzielona od czaszki. Odwróciłem się, gdyż nie chciałem, aby ta procedura mną poruszyła, jako że wydało mi się, iż kilka czarnych punktów zbliża

się powoli do nas.

- Winnetou położy się na ziemi i będzie bronić skalpu białego wodza.

Nadchodzący zbliżali się z rzucającą się w oczy ostrożnością; było to mniej więcej pół tuzina Oglala, najwyraźniej tych, którzy nam uciekli... Teraz wracali, aby zetrzeć się z nami i odszukać swoich.

Z boku podkradał się Apacz, posuwając się przy ziemi. Podążyłem za nim, odgadując jego zamiar. Old Firehand już dawno powinien być z nami, ale prawdopodobnie, straciwszy Winnetou z oczu, obrał fałszywy kierunek. Teraz zauważyliśmy, że zbliżający się prowadzą za cugle konie. W ten sposób w każdej chwili byli gotowi do szybkiej ucieczki, dla nas wszakże ta okoliczność mogła okazać się niebezpieczna, musieliśmy wejść w posiadanie tych zwierząt. Dlatego zatoczyliśmy łuk, dzięki któremu ko-nie musiały się znaleźć za nimi, a przed nami.

W takiej odległości od właściwego pola walki naturalnie nie podejrzewali zabitego, wydali więc zdziwione hugh, gdy zobaczyli przed sobą bez-władne ludzkie ciało. Gdyby wiedzieli, że aż tu się zapędził, z pewnością przybiegliby mu na pomoc, wyglądało jednak na to, że myślą, iż zraniony wy dostał się z tumultu i przyczołgał aż tutaj. Bezzwłocznie schylili się nad nim, a kiedy rozpoznali go, widząc w dodatku, jak został oszpecony, z ich ust wydobyło się wściekłe wycie.

Był to stosowny moment dla nas. W mgnieniu oka połapaliśmy konie, które rozbiegły się na wszystkie strony, wskoczyliśmy na ich grzbiety

43

i ruszyliśmy pędem z powrotem. Nie zależało nam na walce; wystarczyło, że uszliśmy potrójnie liczniejszemu wrogowi, a oprócz skalpu wrogiego wodza przyprowadziliśmy jeszcze zdobyczne konie.

Ze zrozumiałą przyjemnością myślałem o zdumionych twarzach, jakie musieli mieć oszukam, i nawet zawsze taki poważny Winnetou nie mógł się powstrzymać od wesołego Uff. Jednocześnie wszakże wzrosła nasza troska o Old Firehanda. Przecież tak samo jak my powinien był się spotkać z Indianami, którzy wcześniej uciekli w rozsypce.

Nasza troska o niego okazała się uzasadniona, jako że wracając nie zna-leźliśmy go w miejscu napadu, choć od naszego rozdzielenia się musiało upłynąć sporo czasu.

Walka była skończona, zajęto się teraz opatrywaniem rannych i znoszo-no trupy. W pobliżu miejsca, gdzie leżały wyrwane szyny, wysoko w górę wystrzelały płomienie dwóch ognisk, dając potrzebne światło i służąc jed-nocześnie za sygnał dla obsady pociągu.

- Wróciliście! - krzyknął w naszym kierunku maszynista. Zranione ramię obwiązał chustką, wysuwając do nas na powitanie zdrową prawą dłoń.
- Dzielnie się spisaliście, stary! - rzekł do Winnetou. - Nigdy nie dowierzałem Indianom, będę więc miał co opowiadać! Dokąd prowadzi wa-sza ścieżka?
- Winnetou idzie zobaczyć potężny szczep białych twarzy - odparł zapytany.
- Zatem nie zapomnijcie iść do Waszyngtonu, miasta wielkiego ojca, któremu napiszę o dzielnym, dobrym wodzu Apaczów.
- Winnetou zobaczy się z nim i przekaże mu życzenia od czerwonych ludzi.
- On wysłucha słów naszego brata i odpowie z mądrą dobrocią. Ale gdzie podziewa się Old Firehand, którego widziałem biegnącego za wami?
- Mój biały brat zgubił ślad czerwonego mężczyzny i natknął się na nowego wroga. Apacz pójdzie go szukać ze swym młodym przyjacielem.

I ja też miałem taki zamiar, więc bez zbędnych słów przyłączyłem się więc do Indianina. Doprowadziwszy do porządku i naładowawszy na nowo broń, odprowadziliśmy zdobyczne konie w bezpieczne miejsce, po czym ruszyliśmy w kierunku, z którego dopiero co przybyliśmy.

44

Księżyc rzucał blade, zdradliwe światło na rozciągającą się przed nami równinę. Za nami strzelały w górę płomienie obu ognisk, a na wschodzie w zasięgu wzroku pojawiło się ostre światło zbliżającego się parowozu. Węzeł, który nas na przeciąg kilku kwadransów związał z cywilizacją, był chyba tylko lekko zadziegnięty, a jeszcze bardziej rozluźnił się w momencie, gdy wyruszyliśmy w niepewną i pełną niebezpieczeństw noc.

Minęło parę dni. Nasza szczęśliwie odbyta droga powrotna prowadziła przez tereny zamieszkałe przez wrogie szczepy i dopiero teraz, kiedy niebezpieczeństwa mieliśmy już za sobą, mogliśmy wypocząć do woli.

Nasze strzelby w ostatnich dniach milczały, aby przez huk wystrzałów nie zwracać uwagi czerwonoskórych, ale nie cierpieliśmy niedostatku, jako że dostaliśmy na stacji, gdzie tymczasowo mieszkali robotnicy kolejowi, wystarczającą ilość prowiantu. Właśnie w tej chwili Old Firehand wylał resztę zawartości wziętej ze sobą butelki rumu do gorącej wody i skosztował z wyraźnym zadowoleniem rzadko spotykanego na tych szerokościach na-poju.

Winnetou trzymał wartę i właśnie wrócił z obchodu do ogniska. Old Firehand wręczył mu parujący kubek.

- Czy mój brat nie zechce usiąść przy ogniu? Ścieżka Arapahów nie prowadzi do tego miejsca.
- Oko Apacza jest zawsze otwarte, on nie dowierza nocy, ponieważ jest ona kobietą.

Pociągnawszy z przyjemnością długi łyk, zniknął znów w ciemności.

- Nienawidzi kobiet - rzuciłem, aby dać początek jednej z owych po-ufałych rozmów, które, wiedzione pod migoczącymi gwiazdami, na długo pozostają w pamięci.

Old Firehand otworzył wiszący na szyi futerał, wyjął z niego przechowywaną tam pieczołowicie krótką fajkę, nabił ją i zapalił.

- Tak uważacie? Może jednak nie.
- Jego słowa zdają się o tym świadczyć.

45

- Zdają się, - skinął głową stary myśliwy - ale jest inaczej. Była kiedyś jedna, o którą walczył z człowiekiem i diabłem, i od tego czasu zniknęło z jego pamięci słowo squm.
- Dlaczego nie zaprowadził jej do swego wigwamu?
- Kochał innego.
- Indianin nie ma zwyczaju o to pytać.
- Ale to był jego przyjaciel.
- A nazwisko tego przyjaciela?
- Teraz zwie się Old Firehand.

Zdziwiony utkwilem wzrok w niebie. Stałem przed jedną z owych katastrof, których jest wiele na Zachodzie, a którym bohaterowie i wydarzenia nadają ów gwałtowny i wyrazisty charakter. Naturalnie nie miałem prawa wypytywać, ale chęć poznania dalszego ciągu musiała się wyraźnie odbić na mojej twarzy, gdyż po chwili Old Firehand odezwał się:

- Zostaw przeszłość w spokoju, człowieku. Chcę ci opowiedzieć o niej, naprawdę, mimo twego młodego wieku jesteś bowiem jedynym, któremu ją zdradzę, jako że w tym krótkim czasie, który spędziliśmy razem, bardzo cię polubiłem.

-Dziękuję, sir! Czy wolno mi powiedzieć, że ja również?

- Wiem to, dowiedliście tego w zupełności, a bez waszej pomocy był-bym tamtej nocy stracony. W gorączce, jaką wywołał we mnie widok Tima Finneteya, zgubiłem wasz ślad, a że niedawno strzała zraniła mnie w nogę, nie mogłem nadążyć za wami i wpadłem, uzbrojony jedynie w nóż, między watahę skradających się Oglala. Do niej dołączyli później ci, którym zabraliście konie. Byłem w pożałowania godnym stanie i krwawiłem jak trafiony wieloma strzałami bawół, kiedy przyszliście.

- To musi być powiedziane, sir. Synowi innej matki odwaga uciekłaby w nogi i byłby całkowicie zadowolony, gdyby tylko zdołał ujść z życiem.

- Pah, jeszcze nigdy żaden czerwonoskóry nie mógł powiedzieć, że Old Firehand pokazał mu plecy. Złości mnie jedynie, że sam nie mogłem wy-równać rachunków z Timem Finneteyem, a dałbym uciąć sobie rękę za to, aby ten łotr posmakował mego żelaza.

Przy tych słowach zwykle tak spokojna i otwarta twarz mówiącego

przybrała wyraz niewysłowionej goryczy, i kiedy tak leżał przede mną

z błyszczącymi zajadłością oczyma, myślałem, że owe wspomniane pora-chunki z tym Paranohem vel Finneteyem musiałyby być absolutnie wyjąt-kowe.

Kiedy w noc napadu szukaliśmy Old Firehanda, znaleźliśmy go walczą-cego z przeważającą liczbą Indian, a otrzymane wtedy rany przy braku opie-ki niechybnie sprowadziłyby na niego w krótkim czasie śmierć. Na szczę-ście zatrzymany pociąg oznaczał przychodzący w porę ratunek i z radością skorzystaliśmy z wypowiedzianego przez maszynistę zaproszenia, aby je-chać do najbliższego, a zarazem najdalej wysuniętego na zachód kierownic-twa robót kolei i tam czekać na wyzdrowienie ranego.

Ów powrót do zdrowia nastąpił szybciej, niż oczekiwaliśmy, zatem wy-ruszyliśmy po stosunkowo krótkim czasie, aby podjąć naszą przerwana wędrowkę. Najpierw mieliśmy przedrzeć się w okolice zamieszkane przez Arapahów i Paunisów aż do Mankizity, na której brzegu Old Firehand po-siadał



„twierdzą”, jak się wyraził. Mieliśmy ją osiągnąć w krótkim czasie, ponieważ już przedwczoraj przepłynęliśmy Kehupahan.

Tam mieliśmy odpocząć przez parę dni, a potem poprzez ziemie Dakotów i pnią prerię próbować dotrzeć do jezior. Miałem nadzieję, że podczas tego pobytu nadarzy się okazja zajrzenia w przeszłość Old Firehanda, a, że rzadko zmieniam zdanie, trwałem w milczeniu, dorzucając tylko gałęzi do ognia.

Przy jednym z takich ruchów w świetle płomieni błysnął na moim palcu pierścień. Mimo iż trwało to ułamek sekundy, bystre oko Old Firehanda dostrzegło mały złoty przedmiot. Ze zdziwioną miną podniósł się ze swego wygodnego legowiska.

- Co to za pierścień nosicie na palcu, sir?
- To pamiątka po jednej z najstraszniejszych godzin w moim życiu.
- Dacie mi go obejrzeć?

Spełniłem jego życzenie. Sięgnął po niego z widocznym pośpiechem i jeszcze nie zdążył mu się dobrze przyjrzeć, a już zabrzmiało pytanie:

- Od kogo go macie?

Był niesamowicie podniecony i na moją odpowiedź, że otrzymałem go w New Venango od pewnej młodej damy, wybuchnął:

- W New Venango? Byliście u Forstera? Widzieliście Ellen? Mówicie o jakiejś strasznej godzinie, jakimś strasznym nieszczęściu!

- Przygoda, podczas której ja i mój dzielny Swallow znaleźliśmy się w poważnym niebezpieczeństwie. Groziło nam, że upieczemy się żywcem - odparłem wyciągając rękę po pierścień.

- Zostawcie go! - bronił się. - Muszę wiedzieć, jak weszliście w jego posiadanie. Mam święte prawo do niego, większe niż jakakolwiek inna isto-ta ludzka!

- Usiądźcie spokojnie, sir. Gdyby ktoś inny odmówił mi zwrotu pier-ścienia, wiedziałbym, jak go do tego zmusić. Wam jednakże chcę opowie-dzieć o nim coś bliższego, a wy mi chyba potem udowodnicie wasze prawo do niego.

- Wiedźcie też, że ten pierścień w ręce mężczyzny, któremu mniej ufam niż wam, mógłby oznaczać wyrok śmierci na niego. A więc opowiadajcie!

Znał Ellen, znał także Forstera, a wzburzenie, w jakim się znajdował. świadczyło o wielkim zainteresowaniu tymi osobami. Miałem sto pytań na końcu języka, ale stłumiłem je w sobie i rozpocząłem swoją opowieść o spo-tkaniu z cudowną, zagadkową dziewczyną, której portret tak mocno odcisnął się w mej pamięci, że myśl o niej potrafiłem odsunąć jedynie na krótkie chwile.

Leżał oparty na łokciach naprzeciwko mnie, ognisko między nami, a w każdym z jego rysów malowało się napięcie, z jakim śledził tok mej opowie-ści. Z minuty na minutę przysłuchiwał się z coraz większą uwagą, a gdy doszedłem do momentu, kiedy przemocą wsadziłem ją przed sobą na konia, zerwał się i krzyknął:

- Człowieku, to był jedyny sposób, aby ją uratować! Drzę o jej życie!

Szybko, szybko, mówcie dalej!

Dałem się ponieść wspomnieniu tamtych strasznych chwil i żywo odma-lowiałem sytuację. Old Firehand zbliżał się do mnie coraz bardziej i bardziej, jego wargi otwarły się, jakby chciał wypić każde moje słowo, jego szeroko otwarte z wrażenia oczy wisiały na mych ustach, a ciało przyjęło pozycję, jak gdyby sam siedział na galopującym Swallowie, rzucił się w spienione nurty rzeki i wspinał potem w strasznym lęku o lubą istotę na stromą, po-szarpaną ścianę skalną. Dawno już chwycił moje ramię i ścisnął je nieświa-domie, tak że niemal zaciskałem zęby z bólu, a jego oddech, był głośny, wręcz jęczący.

. - Heavens\ - zawołał wydechając długo powietrze, kiedy usłyszał, że szczęśliwie dotarłem z nią na

-To było straszne, przerażające! Czułem taki strach, jak gdyby to me własne ciało znalazło się w płomieniach, a przecież dowiedziałem się już wcześniej, że udało się ją wam uratować, gdyż inaczej nie mogłaby wam dać swego pierścienia.

- Nie zrobiła tego, mimo woli ściągnąłem jej go z palca, a ona nie zważała na straty.

- W takim razie powinniście koniecznie oddać cudzą własność właścicielce.

- Chciałem to zrobić, lecz mi uciekła. Co prawda podążyłem za nią, ale zobaczyłem ją znowu dopiero następnego ranka w towarzystwie rodziny, która uszła śmierci, jako że jej dom położony jest w najwyższym punkcie wąwozu, a pożar rozprzestrzenił się w dół rzeki.

- I wtedy powiedzieliście jej o pierścieniu?

- Nie, nie dopuściła mnie do siebie, a więc naturalnie udałem się swoją drogą.

- Taka ona jest, tak, taka jest! Nie istnieje nic, czego by nienawidziła bardziej niż tchórzostwa, a miała was za osobę tchórzliwą. Co się stało z Forsterem?

- Słyszałem, że tylko jedna rodzina uszła tam z życiem. Morze płomieni, jakim wypełniona była kotlina, pochłonęło wszystko, co znalazło się w jego zasięgu.

-To straszna, nawet zbyt straszna kara za zresztą niepotrzebny i żalony zamiar, aby spuszczać ropę i w ten sposób windować jej cenę!

- Wy też go znaliście, panie? - spytałem.

- Byłem parę razy u niego w New Yenango. Ten dumny, chciwy człowiek miał powód, aby przynajmniej ze mną obchodzić się grzeczniej.

- I widział pan u niego Ellen?

- Ellen? - powiedział z osobliwym uśmiechem na swej znów spokojnej twarzy, - Tak, u niego i w Omaha, gdzie ma brata, i jeszcze gdzie indziej.

- Chyba moglibyście opowiedzieć mi o tej dziewczynie.

- Mogę, ale nie teraz, nie teraz. Wasza opowieść tak mną wstrząsnęła, że nie czuję się usposobiony do takiej rozmowy, ale w stosownym czasie do-wiedcie się o niej więcej, to znaczy naturalnie tyle, ile sam o niej wiem. Nie mówiła wam, że chce do Yenango?

- Tak. Chciała zobaczyć ojca.
- Tak, tak, tak robi przez te wszystkie lata. A więc uważacie, że rzeczy-wiście uszła cało z niebezpieczeństwa?
- Z całą pewnością.
- Widzieliście ją strzelającą?
- I to znakomicie, jak wam już mówiłem. Musiała odebrać całkiem nie-zwykle wychowanie.
- Tak to i było. Jej ojciec jest starym łowcą skalpów. Nie odlał jednej jedynej kuli, która by nie odbyła drogi między dwoma szczepami indiański-mi. Od niego nauczyła się mierzyć z broni, a jeśli myślicie, że nie umie tego wykorzystać w stosownym czasie i we właściwym miejscu, to jesteście w wielkim błędzie.
- Gdzie jest jej ojciec?
- Będzie wkrótce tutaj i chyba wolno mi powiedzieć, że się trochę zna-my. Możliwe, że wam pomogę go poznać.
- Gdybyście zechcieli to uczynić, sir! - zawołałem zrywając się zmiej-sca.
- Zobaczymy. Zasłużyliście na to, aby wam podziękował.
- Och, nie to miałem na myśli!
- Rozumie się, rozumie się, przecież was znam, ale macie jej pierścień.

Zobaczycie później, gdy go wam zwrócę, co to oznacza. A teraz przyślę tu Apacza, czas jego warty minął. Zdrzemnijcie się nieco, abyście rano byli rześcy. Wsiądziemy jutro na nasze szkapy, jako że czekają nas dwa dni podróży.

- Dwa? Czy nie mieliśmy jutro rano jechać tylko do Greenpark?
- Zmieniłem zamiar, goodnight!
- Good night\ Nie zapomnijcie mnie obudzić, żebym was zluzował.
- Śpijcie! Mogę to dla was uczynić, że będę miał oczy otwarte, bo i wy dużo zrobiliście dla

mnie.

Czułem się dziwnie. Nie wiedziałem, co mam myśleć o tej rozmowie, i kiedy tak leżałem, przez głowę przemykało mi tysiące przypuszczeń, a żadne nie wydawało mi się uzasadnione. Jeszcze długo potem, jak Winnetou wrócił i zawiązał się do snu w derkę, przewracałem się niespokojnie z boku na bok. Opowiadanie wzburzyło mnie, przed oczyma mej duszy wciąż od nowa stawał ze wszystkimi szczegółami ów straszny wieczór, między

50

tamtymi przejmującymi zgrozą wydarzeniami pojawiał się raz po raz Old Firehand, a w ostatnich chwilach między jawą i snem dźwięczały mi jeszcze w uszach jego słowa: „Śpijcie, dość już dla mnie uczyniliście”.

Kiedy zbudziłem się następnego rana, zorientowałem się, że jestem sam przy ognisku. Jednak ci dwaj nie mogli być daleko, nad płomieniami bowiem wisiał mały blaszany kociołek z wrzącą wodą, a obok kawałka niedźwiedzie-go języka, który pozostał z kolacji, leżał otwarty woreczek z mąką.

Wyplątałem się z koca i zszedłem do wody, aby się umyć. Stali tam, po-grażeni w ożywionej rozmowie, a ich ruchy, kiedy mnie zobaczyli, powie-działy mi, że to ja byłem przedmiotem pogawędki.

W krótki czas potem byliśmy gotowi do drogi i ruszyliśmy równolegle do Missouri, odległej stąd o jakieś dwadzieścia mil, w kierunku, który miał nas doprowadzić do doliny Mankizity.

Dzień wstał chłodny. Jechaliśmy równo, a ponieważ na ostatnim odcin-ku drogi oszczędzaliśmy wierzchowce i dobrze je karmiliśmy, mogliśmy teraz zostawić za sobą spory kawałek zielonej przestrzeni.

Osobliwa była zmiana, jaką zauważyłem dziś w odnoszeniu się moich towarzyszy do mnie. Przedtem obaj traktowali mnie protekcyjnie, jak dwaj starzy, doświadczeni opiekunowie odnoszą się do swego niby już wyuczone-go, a przecież ciągle jeszcze zielonego w wielu sprawach podopiecznego. Teraz natomiast obdarzali mnie wyraźnymi względami, można powiedzieć szacunkiem, i wydawało mi się, że w ich spojrzeniach, jakie od czasu do czasu posyłał jeden drugiemu nad mą głową, jest coś podobnego do nieśmia-łej tkliwości.

Rzucało się w oczy, z jakim szacunkiem i oddaniem ci dwaj mężczyźni odnosili się do siebie, jak dwaj bracia, którzy poprzez więzy krwi czuli się ze sobą zespoleni każdą cząsteczką swego ciała.

Nie mogli się już bardziej tro-szczyć o siebie, a teraz mi się zdawało, że owa dwustronna troska zaczęła otaczać także moją osobę.

Kiedy południową porą zatrzymaliśmy się na spoczynek i Old Firehand poszedł na rekonesans, aby zlustrować otoczenie naszego obozowiska, a ja wyciągałem prowiant, Winnetou położył się obok i rzekł:

- Mój brat jest odważny jak wielki leśny kot i milczący jak usta skały.

Nie odezwałem się na ten osobliwy wstęp do rozmowy.

51

- Wyrwał z płomieni Kwiat Sawanny, a nie powiedział o tym Winne-tou, swemu przyjacielowi.

- Język człowieka - odparłem na to - jest jak nóż w pochwie: tnie, jest ostro zakończony i nie nadaje się do zabawy.

- Mój brat jest mądry i ma rację, jednak Winnetou jest zasmucony, kiedy serce jego młodego przyjaciela zamyka się jak kamień, w którego łonie uku-te są ziarna złota.

- Czy serce Winnetou jest otwarte dla ucha swego przyjaciela?

- Czyż nie zdradził mu wszelkich tajemnic prerii? Czyż nie nauczył go rozpoznawać i tropić ślady, rzucać lassem, zdejmować skalpy i robić tego wszystkiego, co musi umieć wielki wojownik?

- Winnetou to uczynił, ale czyż powiedział o Old Firehandzie, posiada- 'j jącego moją duszę, i o kobiecie, której pamięć nie umarła w jego sercu?

- Winnetou ją kochał, a miłość nie mieszka na jego wargach.

- Więc teraz Apacz chyba już wie, dlaczego jego brat nie wspomniał o dziewczynie, którą nazwał Kwiatem Sawanny.

- Czy obdarzył ją swą miłością?

- Winnetou to powiedział.

- Jest godna, aby zabrać ją do swego wigwamu, a Apacz da wam wielkie lekarstwo, które czyni szczęśliwym, chroni przed każdym niebezpieczeństwem i atakami złych duchów.

- Mój brat widział Kwiat Sawanny?

- Nosił ją na rękach, pokazywał jej kwiaty na łące, drzewa w lesie, ryby w rzece i gwiazdy na niebie, nauczył ją napinać łuk i wysyłać strzałę, dosiadać dzikiego rumaka, podarował jej język czerwonych mężów, a na końcu dał jej do ręki broń, której kula zabiła Ribannę, córkę wodza Assiniboinów.

Spojrzałem na niego zdumiony. Świtało we mnie przeczucie, ale nie ważyłem się go ubrać w słowa, choć może bym to i zrobił, gdyby właśnie nie wrócił Old Firehand i nie skierował naszej uwagi na przygotowanie posiłku. Jednakże podczas tej czynności musiałem stale myśleć o słowach Winnetou, z których, po połączeniu ich z tym, co usłyszałem od Ellen, niemal wynikało, że jej ojcem jest Old Firehand. Jego zachowanie poprzedniego wieczoru w czasie mej opowieści zgadzało się w każdym razie z tym przypuszczeniem. ale mówił o tym ojcu jak o osobie trzeciej i nie powiedział nic takiego, co by mogło zmienić me przypuszczenie w silne przekonanie.

52

Po kilku godzinach wypoczynku wyruszyliśmy ponownie. Nasze konie, jakby czując, że przed nimi leży miejsce wielodniowego wypoczynku, biegły równym klusem i odbyliśmy spory kawałek drogi. Wreszcie w zapadającym zmierzchu pojawiło się przed nami wzniesienie, za którym leżała dolina Mankizity. Teren zaczął się teraz wznosić i wjechaliśmy w wąwóz, który, jak mi się wydawało, musiał biec prostopadle do biegu rzeki.

- Stój! - rozległo się nagle zza porastających zbocze krzaków bawełny, a między gałęziami pojawiła się lufa wycelowanej w nas strzelby. - Hasło?

- Odwaga!

- Odzew?

- Milcząca! - rzucił Old Firehand, przeszukując bacznym spojrzeniem zarośla. Przy ostatnim słowie gałęzie rozchyliły się i wyszedł z nich mężczyzna, na którego widok nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

Spod żałośnie zwisającego runda filcowego kapelusza, którego wiek, barwa i kształt zabiłyby świeka nawet najprzenikliwшему myślicielowi, z gęstwiny splątanej, przetykanej nitkami siwizny czarnej brody wyglądał nos wprost przerażających rozmiarów, taki, że mógłby służyć jako gnomon zegara słonecznego. Oprócz tego marnotrawnie wyposażonego organu węchu wśród bujnego zarostu widoczne były jedynie małe mądre oczka, które wydawały się obdarzone wyjątkową ruchliwością, a

teraz przebiegle wędrowały od jednego do drugiego z nas trzech.

Ta osobliwa głowa wieńczyła ciało, aż po kolana niewidoczne dla naszych oczu, tkwiło bowiem w starej skórzanej kurtce myśliwskiej, najwyraźniej uszytej dla znacznie postawniejszej osoby. Małemu człowieczkowi stojącemu przed nami nadawała ona wygląd dziecka, które dla zabawy przebrało się w szlafrok swego dziadka. Z tego więcej niż za długiego okrycia wyglądały chude, przypominające kształtem sierp nogi w wystrzępionych legginsach, tak sędziwych, że należało je wyrzucić z dziesięć lat wcześniej, i pozwalających ze szczegółami obejrzeć indiańskie buty po kolana, w których w całej okazałości jawiła się bieda ich właściciela.

W ręce trzymał starą strzelbę, której dotknąłbym tylko z największą ostrożnością, a gdy z powagą zmierzał w naszą stronę, wydało mi się, że mam przed sobą najzłośliwszą karykaturę polującego na prerii myśliwego.

- Sam Hawkens! - krzyknął Old Firehand. - Czyżby twoje oczka tak osłabły, że żądasz ode mnie hasła?

53

sobie pozwolić tylko w takim zamkniętym ze wszystkich stron miejscu. W którymś momencie zauważyłem, że Winnetou zsiadł z konia i go rozsiodłał, a potem dał mu lekkiego klapsa w zad, nakazując w ten sposób zatroszczyć się o kolację dla siebie. Potem zarzucił siodło, uzdę i koc na ramię i odszedł, nie zaszczycając stojących naokoło jednym spojrzeniem.

Ponieważ nasz przewodnik był teraz zbyt zajęty, aby troszczyć się o nas, poszedłem za jego przykładem, rozsiodlałem dzielnego Swallowa i zbywając krótko ciekawskich ruszyłem obejrzeć miejsce, w którym się znalazłem.

Tutejsze masy skalne zostały przy tworzeniu się pasma górskiego wyrzucone z plutoniczną siłą jak bańka mydlana, która spłaszczony się przybrała kształt wydrążonej, otwartej ku górze półkuli, podobnej do zapadłego krańca olbrzymiego wulkanu. Powietrze i światło, wiatr i pogoda miały swój udział w rozkruszeniu twardego podłoża, torując drogę wegetacji roślinnej. Zbierające się masy wody przedarły się z jednej strony przez masy skalne, zlewając się w potok, który dziś był nam przewodnikiem.

Wybrałem dla mego spaceru obrzeże kotliny i szedłem teraz między kępami zarośli a najczęściej prostopadłą, a w niektórych nawet zwisającą ścianą skalną. Zauważyłem w niej liczne, zasłonięte skórą zwierząt otwory, które prowadziły do prowizorycznych pomieszczeń mieszkalnych, jakich potrzebowała kolonia myśliwych.

Musiała się ona składać z większej liczby osób, niż wydawało nam się na początku. Mogłem o tym wnosić z liczby squaws, które dojrzałem podczas mej wędrówki. Większość mężczyzn z pewnością



była na łowach i miała wrócić dopiero z początkiem zimy, a ta miała nadejść niedługo.

Wędrując ujrzałem na jednej, wydawałoby się, nie do zdobycia skale mały, szalony wzniesiony z sękatych gałęzi. Musiał się stamtąd rozciągać widok na całą kotlinę, postanowiłem się więc tam wspiąć. Wkrótce natrafiłem jeśli nie na ścieżkę, to na odciski w podłożu ślady stóp, i podążyłem za nimi.

Miałem jeszcze do odbycia krótki odcinek, gdy z wąskiego niskiego otworu służącego za drzwi wysunął się człowiek. To chyba nie moje nadejście wyciągnęło na zewnątrz, ponieważ na razie mnie nie zauważył. Odwrócony plecami, podszedł na skraj turni i osłoniwszy oczy ręką spojrzał w przepaść.

Miał na sobie kolorową koszulę myśliwską z mocnego materiału, legginsy ozdobione przy zewnętrznym szwie frędzlami od bioder aż po kostki i małe mokasyny, bogato obszyte szklanymi paciorkami i kolcami

56

jeżozwierza. Głowę owinał niczym turbanem purpurową chustą, a w miejscu zwykłego pasa nosił szarfę tej samej barwy.

Kiedy postawiłem stopę na małej platformie, usłyszał szelest mych kroków i odwrócił się szybko. Był to prawda czy złudzenie? Przede mną stał przedmiot mych marzeń, uczuć i myśli, cel mych wszystkich nadziei i życzeń. W przypiływie niepowstrzymanej radości krzyknąłem:

- Czy to możliwe?! Ellen! - i szybko postąpiłem w jej stronę.

Ale jej oczy były poważne i zimne. Stała dumna i nieruchoma w męskim ubraniu, do którego w każdym razie nie była nawykła, i żaden rys jej opalonej twarzy nie zdradzał radosnego poruszenia moim przybyciem.

- Gdyby to nie było możliwe, nie spotkalibyście mnie tu, sir. Ale to chyba ja mam większe prawo do zadawania pytań. Z jakiej przyczyny pozwolono wam wejść do naszego obozu?

Jak strumień lodowatej wody studzi rozpalone ciało, tak jej słowa podziały na mój zachwyty, że znów widzę tę cudowną dziewczynę.

- Pshaw\ - rzuciłem jedynie w odpowiedzi, a zabrzmiało to zimniej i obojętniej, niż się spodziewała, odwróciłem się do niej plecami i ostrożnie zacząłem schodzić na dół.

Zaskoczony obnażyłem swe najskrytsze i najświętsze uczucia, a teraz przeżywałem upokorzenie, które zraniło mnie bardziej, niż mogłaby to uczynić strzała Indianina. Gorycz, jaką teraz czułem, była całkiem inna niż ta, którą odczuwałem tamtego wieczoru, kiedy mnie tak zdecydowanie odepchnęła od siebie.

A więc nie myliłem się w mych przypuszczeniach. Była córką Old Fire-handa, a i wszystko inne stopniowo stawało się dla mnie jasne. Nigdy nie uważałem za możliwe, aby kobieta, istota tak piękna i delikatna jak ta, której nieobce były przyjemności i dążenia cywilizowanego życia, mogła je zamienić na pełną niebezpieczeństw i wyrzeczeń egzystencję na tym pustkowiu. Że tak się jednak stało, musiały być po temu szczególne przyczyny. Bez większego trudu złożyłem w całość posiadane okruchy informacji.

Trudniej mi było wszakże wytłumaczyć sobie ową wyraźną niechęć, jaką, wyjąwszy pierwsze chwile naszej znajomości, nieodmiennie mi okazywała.

Przekonanie Old Firehanda, że ma mnie za tchórze, zgadzało się całkowicie z jej wypowiedzią, lecz absolutnie nie umiałbym powiedzieć, w czym właściwie to tchórzostwo się objawiło. Lepszy znawca ludzi niż ja wtedy bez wątpienia szukałby przyczyn jej zachowania gdzie indziej, ale ja za mało

57

byłem obznajomiony z tajnikami kobiecego serca, aby odnaleźć prawdziwy powód.

\* \* \*

Zapadł wieczór. Na środku równiny stanowiącej dno osobliwego kotła rozpalono strzelające w górę płomieniami olbrzymie ognisko, a wokół nie-go zebrali się wszyscy obecni mieszkańcy obozu. Ellen, która, jak wkrótce zauważyłem, pod każdym względem miała takie same prawa jak mężczyźni, zajęła miejsce wśród myśliwych, miałem jednak wrażenie, że nie jest zbytnio poruszona następującymi

szybko po sobie opowieściami o przygo-dach. Patrzyła rozmarzona w dal, a potem z osobliwym wyrazem twarzy spoglądała na mnie. Moje oczy też ciągle powracały do niej.

Ja także przysłuchiwałem się jednym uchem opowiadającym. Nie umia-łem pozbyć się uczucia, że stałem się bohaterem jednej z owych fantastycz-nych baśni, których postacie powstają w wyobraźni autora i tym bardziej są interesujące, im bardziej nieprawdopodobne są wydarzenia, o jakich te ba-śnie opowiadają. Ellen jawiła mi się zaczarowaną księżniczką, która prze-śladowana przekleństwem złej wróżki musiała porzucić swą wspaniałą po-zycję i w niepozornej postaci oczekuje wybawcy. Nagle uczułem, że dla niej jestem gotów do wszelkich poświęceń, że jestem gotów ponieść wszelkie wysiłki, jakim może podołać jedynie mężczyzna, którego każde uderzenie serca adresowane jest do kobiety.

Ciche, wesołe rzenie na obrzeżu zarośli porastających brzegi strumienia

sprawiło, że odszedłem od ogniska. Swallow mnie poznał i teraz delikatnie pocierał łbem o moje ramię. Stał mi się podwójnie drogi, od kiedy niósł ją na grzbiecie poprzez płomienie i spienione nurty rzeki. Pieszczotliwie przy-tuliłem policzek do jego smukłej, miękkiej szyi.

Krótkie parsknięcie, które znałem jako sygnał ostrzegawczy, kazało mi spojrzeć w bok. Ktoś się do nas zbliżał. Zobaczyłem poruszający się róg zawiązanej wokół głowy chusty i rozpoznałem Ellen.

- Wybaczcie, że przeszkadzam - zabrzmiał jej głęboki, w tej chwili jakby niepewny głos. - Pomyślałam o Swallowie, któremu zawdzięczam ł życie, i przyszłam przywitać się z tym dzielnym wierzchowcem, ł

- Oto on. Nie chcę mącić serdeczności tego powitania swą obecnością, zatem dobranoc.

Odwrociłem się, aby odejść, jednakże nie uszedłem nawet tuzina kro-ków, gdy zatrzymało mnie półgłosne wołanie:

-Sir!

Stałem. Podeszła do mnie z wahaniem, a osobliwe drzenie jej głosu zdradziło zakłopotanie, którego nie umiała przezwyciężyć w porę.

- Obraziłam was.

- Nie czuję się obrażony - odparłem z chłodnym spokojem. - Mylisz się, miss. Mężczyzna może być wyrozumiały dla damy, ale nigdy obrażony.

Przeszła minuta, zanim znalazła odpowiedź na te widocznie nieoczekiwane słowa.

- W takim razie wybaczenie mą pomyłkę.

- Z chęcią. Zresztą przyzwyczailem się do niej.

- Nie nadużyję już nigdy waszej pobłażliwości.

- Mimo to jestem do waszej dyspozycji, o każdej porze.

Już miałem się odwrócić, gdy przystąpiła do mnie pośpiesznie i położyła mi dłoń na ramieniu.

- Pozostawny na boku nasze urazy. Tamtego wieczoru z narażeniem własnego życia uratowaliście dla mnie dwa razy mego ojca, muszę więc być wam wdzięczna, nawet jeśli wypowiedacie złe, odpychające słowa.

Ciepłe, miękkie palce zacisnęły się wokół mej dłoni, a twarz owionął jej oddech. Wielkie, szeroko otwarte oczy Ellen wpatrywały się badawczo w moje, a im dłużej spoczywało na mnie ich magiczne spojrzenie, tym bardziej mnie do niej ciągnęło, i musiałem się siłą powstrzymać, aby nie wziąć jej w ramiona i nie popełnić tego samego błędu, jaki przestraszył ją w New \fenango.

- Każdy westmen jest gotów do czegoś takiego, zresztą istnieje jeszcze wiele innych rzeczy oprócz tych, które wymieniliście. To co jeden czyni dla drugiego, inny mógł już wcześniej

zrobić dla niego z dziesięć razy i nie jest to warte, aby o tym mówić. W swej ocenie nie powinniście przykładać miary, Jaką wam daje do ręki miłość dziecka do ojca.

- Najpierw niesprawiedliwa byłam ja, ale teraz to wy jesteście niesprawiedliwi wobec samego siebie. Chcecie być tacy także i dla mnie?

- Nie.

58

59

Zdołałem wypowiedzieć tylko to jedno słowo, tak byłem pod działaniem jej głosu, który przenikał mą duszę rozkosznym drzeniem. Jak ostro i odpychająco brzmiał tam na górze przed szłaśsem na skale, tak łagodnie i uspokajająco kładł się teraz na goryczy, którą przedtem obudziła w mym sercu, biorąc mnie całego w posiadanie.

- Wolno mi w takim razie o coś poprosić?

- Słucham,

- Gniewajcie się na mnie, bądźcie na mnie źli, ale nie mówcie już

o wyrozumiałości i pobłażliwości, zgoda?

- Zgoda.

- Dziękuję. A teraz wrócę do ogniska, aby powiedzieć innym dobranoc.

Wskażę wam miejsce, gdzie przenocujecie. Musimy się szybko udać na spoczynek, ponieważ wyjeżdżamy wcześniej rano.

- Z jakiego powodu?

- Zastawiłam sidła nad Beeforkiem, pojedzie więc pan ze mną zobaczyć, co się złapało.

W kilka minut potem stanęliśmy przed jednym ze wspomnianych już, zasłoniętych skórą otworów. Odsunęła ją i wprowadziła mnie do ciemnego pomieszczenia, zapaliwszy za pomocą punka, preriowej „zapałki” świecę z jeleniego łożu.

- To wasza sypialnia, sir. Ludzie z kompanii mają zwyczaj tu nocować,

gdyż obawiają się, że pod gołym niebem nabawią się reumatyzmu.

- A wy sądzą, że i ja hołduję temu złemu zwyczajowi?

- Jak wolicie, ale kotlina jest wilgotna. Wznoszące się naokoło góry nie dopuszczają tu wiatru, a ostrożność nigdy nie zawadzi, jak mówią tam

na zewnątrz. Spijcie dobrze!

Podana mi rękę, przyjaźnie skinęła głową i wyszła.

Zostawszy sam, rozejrzałem się po zaofiarowanym mi pomieszczeniu. Była to pieczara, lecz wykuta ludzką ręką. Skalistą podłogę wyłożono wygarbowanymi skórami, były nimi też obwieszane wszystkie ściany. W głębi znajdowało się posłanie. Była to zbita z gładkich desek, zasłana miękkimi skórami prycza. Na wierzchu leżała spora liczba prawdziwych, sporządzonych przez Nawahów kocy, a na licznych wbitych w szczeliny drewnianych kołkach wisiły przedmioty służące do damskiej toalety. Po starannym obejrzeniu wszystkiego doszedłem wkrótce do wniosku, że Ellen oddała mi swoją własną pieczarę.

Ta okoliczność właśnie sprawiła, że byłem gotów wytrzymać w ciasnym, zamkniętym pomieszczeniu, jako że temu, kto spędza noce w nieskończoności wolnej prerii, z niemałą trudnością przychodzi zgodzić się na skorzystanie z więzienia, które cywilizowany człowiek nazywa „mieszkaniami”.

Jednakże nigdy nie kładłem się z takim zadowoleniem na spoczynek, jak tego wieczoru. Jej opory przed mną „wrozumiałością” naprawiły wszystko i ponosiłem winę jedynie za to, co legło między nami.

Owo zamknięcie „buduaru” było chyba przyczyną, że sen mocniej niż zwykle wziął mnie w objęcia, ponieważ jeszcze się nie podniosłem, gdy na zewnątrz rozległ się donośny głos:

- Pooh \ Człowieku, myślę, że nie zmierzyliscie jeszcze koców. Wyciągnijcie się trochę, lecz nie wzdłuż, ale w górę!

Wyskoczyłem z pieczary i ujrzałem, że to Sam Hawkens maści mój spokój. Poprzedniego dnia widziałem go uzbrojonego jedynie w stary karabin, a dziś ujrzałem go czekającego na mnie w pełnym rynsztunku trapera, do wód, że miał nam towarzyszyć.

- Zaraz będę gotów.

- Mam nadzieję, sir. Mała miss już czeka u wejścia.

- Idziecie z nami?

- Na to wygląda. Mała miss nie powinna dźwigać sprzętu, a wy -

w tym momencie jego oczka błysnęły szyderczo spośród porastającej jego twarz gęstwiny - no, myślę, sir, że jeszcze tym razem nie ustrzelicie my-szołowa.

- Możliwe, ale nauczę się.

- Mam nadzieję. Nie jesteście chyba niedoświadczonym greenhornem.

Uczyłem trzymać karabin jeszcze bardziej zielonych niż wy. No, widzę, że jesteście gotowi. Chodźmy.

Byłem w głębi duszy rozbawiony tym, co myślał o mnie ten stary. Zresztą mój wygląd zewnętrzny nie przypominał w pełni prawdziwego, zwykle obszarpanego mieszkańca gór, a ma zawsze starannie wyczyszczona broń mogła mieć dla takiego oberwańca jak ten pozór zabawki, ale już tyle razy spotkałem się z takim zdaniem, że zdążyłem się do niego przyzwyczaić i w żadnym wypadku nie mogło mnie zranić.

Wyszedłszy na zewnątrz, spostrzegłem Ellen oczekującą nas u wejścia do wąwozu. Sam wziął kilka związanych razem siodła, zarzucił je na ramię i ruszył przed siebie, nie upewniwszy się, czy idę za nim.

60

61

- Zostawimy tu konie?

- Nie sędzę, aby wasz koń był wyuczony zakładać wnyki albo wyciągać z dna rzeki bobra. Musimy wyciągnąć nogi, jeśli chcemy zdążyć ze wszystkim na czas. Chodźmy więc!

- Muszę najpierw zająć się koniem.

- Nie trzeba, sir. Jeśli się nie mylę, mała miss już to zrobiła.

Nie wiedząc o tym, w ostatnich słowach powiedział mi coś wielce rado-snego. A więc Ellen już o świcie zatroszczyła się o Swallowa, znak, że myślała także o jego panu. W każdym razie jej ojciec opowiedział o mnie i to stało się bodźcem, że zmieniła zdanie. Zdziwiło mnie nawet, że jego, takiego czujnego, jeszcze nie widać, kiedy pojawił się z Winnetou i jednym z myśliwych brnąc przez strumień.

- Good morning, sit - pozdrowił mnie wyciągając do mnie rękę. - Rozejrzałem się trochę tam na zewnątrz i złuzowałem wartownika. Polowa-liście już kiedyś na bobry?



-Nie.

- A więc to będzie dla was coś nowego. Ale nie pójdziecie bez nauczyciela, gdyż „Dziewczyna-Błyskawica” umie oczyszczać żeremia.

Było to pierwszy raz, kiedy mówiąc do mnie użył niemieckiego słowa.

Zatem Ellen musiała mu powiedzieć o mojej narodowości.

Także Winnetou pozdrowił mnie na swój sposób przyjacielskim howgh, a Ellen zaszczyił indiańskim komplementem:

- Córka Ribanny jest piękna jak czerwieniejące w świetle wschodzącego słońca wzgórze i silna jak wojownicy nad rzeką Gila. Jej oko dojrzy wiele bobrów, a ręka nie powinna nieść takiej dużej liczby siodeł. - zauważywszy spojrzenie, jakim obrzuciłem kotlinę szukając Swallowa, dodał uspokajająco: - Mój dobry brat może iść, jego przyjaciel zatroszczy się o ruma-ka, bo i on zasłużył na miłość Apacza.

Kiedy wyszliśmy z przesmyku, zwróciliśmy się na lewo, w kierunku, z którego przybyliśmy poprzedniego dnia, i ruszyliśmy w dół potoku, aż wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie wpadał do Mankizity.

Brzegi rzeki porastały gęste, wręcz nie do przebycia zarośla, a pędy dzikiej winorośli oplatały stłoczone pnie, przeskakiwały z gałęzi na gałąź, zwieszały się splecione razem, aby wspinać się znów do góry po sąsiednim drzewie, i tworzyły taką plataninę, że można się było przedrzeć przez nią jedynie pomagając sobie nożem.

62

Mały Sam był ciągle przed nami, a jego ginąca w ubraniu postać przypominała mi żywo słowackich handlarzy łapkami na myszy, którzy od czasu do czasu pokazywali się w moim miateczku rodzinnym. Chociaż w pobliżu nie spodziewano się obecności żadnej wrogiej istoty, jego obuta w za duży but stopa z podziwu godną chyżością omijała każde miejsce, na który mógł się zachować jej ślad, a małe oczka z nieustanną ruchliwością raz po prawej, to znów po lewej stronie lustrowały bogatą roślinność, która mimo późnej pory roku zdawała się iść w zawody z dziewiczą przyrodą ujścia rzeki Missi-sipi.

Teraz właśnie uniósł kilka pędów i schyliwszy się wczuł się pod nie.

- Chodźcie - zażądała Ellen idąc w jego ślady. - Tu zaczyna się

nasza ścieżka bobrowa.

Rzeczywiście, za zieloną zasłoną widniała wąska przecinka przez gąszcz.

Przedzieraliśmy się tak sporą chwilę między drzewami i plątaniną krzaków, ciągle równolegle do biegu rzeki, aż wreszcie Sam, usłyszawszy dochodzący od wody po części warczący, po części podobny do gwizdu dźwięk, zatrzymał się i zwróciwszy się do nas położył palec na ustach.

- Jesteśmy na miejscu - szepnęła Ellen. - Wartownik się zaniepokoił.

Po chwili, kiedy w otoczeniu panowała absolutna cisza, ruszyliśmy znowu do przodu i dotarliśmy do zakrętu rzeki, skąd mieliśmy okazję obserwować dużą kolonię bobrów.

Daleko w wodę wybiegała tama, którą mogła przejść ostrożna ludzka

stopa, a przy niej uwijali się jej czworonożni mieszkańcy, umacniając ją

i poszerzając. Na drugim brzegu dojrzałem pewną liczbę tych pracowitych

zwierząt, jak przepiłowywały ostrymi zębami cienkie pnie, tak że musiały

runąć w wodę. Inne zajęte były transportowaniem zwałonych pni, pchając

jej przed sobą w wodzie, a jeszcze inne umacniały żeremie tłustą sypką zie-

mią, którą przynosiły z brzegu i przytwierdzały do budowli z pni i gałęzi

łapami i szerokimi, używanymi jak kielnie ogonami.

Z żywym zainteresowaniem przyglądałem się tym ruchliwym stworzeniom. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na wyjątkowo duży okaz siedzący w czujnej postawie na tamie. Niezawodnie sprawował on funkcję wartownika. Raptem gruby bóbr postawił krótkie uszy, zrobił pół obrotu wokół własnej osi, wydał wspomniany już ostrzegawczy dźwięk i w następnej sekundzie zniknął w wodzie.

W mgnieniu oka inne poszły jego śladem, przedstawiając sobą komiczny widok, kiedy przy nurkowaniu ich tylna część ciała wędrowała do góry, a płaski ogon uderzał w powierzchnię wody, wywołując prawdziwą fontannę.

Oczywiście nie było czasu na oddawanie się obserwacji tych humorystycznych scen, jako że ten nieoczekiwany popłoch mógł zostać wywołany | tylko zbliżaniem się wrogiej istoty, a największym wrogiem tych usposobić- ;

nych pokojowo, wielce poszukiwanych zwierząt jest, człowiek. ;

Zanim ostatni bóbr zniknął w wodzie, leżeliśmy już, z bronią w ręku, pod zwieszającymi się gałęziami sosny i czekaliśmy w napięciu pojawienia się nieproszonego gościa. Nie trwało długo, a w niedalekiej odległości poru- l szyły się wierzchołki trzciny i w parę sekund później zobaczyliśmy dwóch ;

Indian skradających się w dół rzeki. Jeden z nich miał przewieszony przez ;

ramię pęk sudeł, drugi niósł parę skór. Obaj byli uzbrojeni po zęby, a zachowywali się tak, jakby przeczuwali bliskość wroga.

- Do diabła! - syknął przez zęby Sam. - Ci szubrawcy natrafili na |

nasze sidła i zebrali żniwo tam, gdzie niczego nie posiali, jeśli się nie mylę. i

Poczekajcie, łotry, moja Liddy już wam powie, do kogo należą wnyki i skóry! !

Podniósł powoli karabin i złożył się do strzału. Byłem naprawdę przekonany, że z tej starej rury może paść tylko jeden żalostny strzał, i w przekonaniu, że powinniśmy zabić obu czerwonoskórych bez hałasu, chwyciłem starego trapera za ramię. Na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że to Oglala, a czarny malunek na twarzach upewnił mnie, że nie wyruszyli na łowy, lecz na wyprawę wojenną.

Nie byli więc sami w pobliżu i każdy strzał mógł sprowadzić im pomoc i

lub przynajmniej mścicieli. ,

- Nie strzelajcie! Weźcie nóż. Wykopali topór wojenny, więc na pewno ' jest tu ich więcej.

Mały, skory do strzelania człowieczek spojrzał na mnie z osobliwie podejrzaną miną i odrzekł:

- Naturalnie, będzie lepiej, jak ich sprzątniemy po cichu, ale mój stary nóż jest już stępiony i nie

zdoła przegryźć takich dwóch mężczyzn.

- Pah\ Wy weźmiecie jednego, a ja drugiego. Chodźmy!

- Hm! Cztery z naszych najlepszych pułapek, każda kosztowała półtora dolara. Będę rad, jak do tych ukradzionych skór będą musieli dołożyć

leszcze swoje, tak myślę, ale jeśli was, sir, dosięgnie nóż któregoś z nich, to ostatni raz jedliście kiszkę, jeśli się nie mylę.

- Naprzód, człowieku, zanim będzie za późno!

Obaj Indianie znajdowali się teraz na wprost nas i obróceni plecami szukali śladów na ziemi. Podniosłem się cicho i położywszy strzelbę, z nożem w zębach ostrożnie ruszyłem naprzód. Raptem tuż obok mego ucha rozległ się szept:

-Zostańcie, sir! Zrobię to za was.

- Dziękuję, miss Ellen, ale to nie jest damskie zajęcie.

-W takim razie wróćmy do obozu i...

Nie słyszałem dalszych słów, jako że właśnie znalazłem się na skraju zarosli, wyskoczyłem w górę, chwyciłem stojącego bliżej mnie Indianina lewą ręką za kark, a prawą wbiłem mu nóż między łopatki, tak że zgiął się wpół i niemal bezgłośnie runął na ziemię.

Wydobywszy nóż z martwego ciała, szybko obróciłem się w bok, aby

w razie potrzeby dźgnąć jeszcze drugiego, ale i ten leżał już na ziemi, a Sam

stał rozkraczony nad nim i z owiniętym długim kosmykiem włosów wokół

lewej ręki oddzierał mu naciętą skórę z głowy.

- Tak, mój chłopcze, teraz w Krainie Wiecznych Łowów będziesz mógł ukraść skór ile dusza zapragnie, ale z naszych, jeśli się nie mylę, nie będziesz miał pożytku. - ocierając o trawę ociekający krwią skalp dodał krzywiąc się w przelotnym uśmiechu: - Jedną skórę już mamy, a druga na miły Bóg, sir, zadaliście pewny cios i trafiliście dokładnie w serce tuż pod futerałem na fajkę. Nigdy bym nie pomyślał, wyglądacie mi na takiego... takiego nie opie-rzonego. Nie chcecie zdjąć mu skalpu?

- Skalpu, Sam? Najchętniej zostawię go tam, gdzie wyrósł.

- W porządku, w porządku, sir, jesteście dobrym człowiekiem i nie da-jecie popsuć sobie humoru fetorem indiańskiej posoki. Ale co z tymi szczy-rzymi kudłami? Zostawicie je mnie? - spytał z osobliwym uśmiechem.

- Nic mi po nich. Weźcie je sobie!

- Dziękuję, sir, dziękuję. To dla mnie wielka radość, że mogę zedrzeć

skalp, tak myślę. Zresztą mam powód po temu. Patrzcie!

Zerwał żałosny filcowy kapelusz z głowy, ściągając wraz z nim długo-włosą perukę. Niemal przeraziłem się na widok łysej, krwawoczerwonej cza-szki.

64

65

- Co powiecie na to, sir? Nosilem tę kopułę godnie i żaden adwokat nie ważył się odmówić mi do niej prawa, dopóki nie dopadło mnie tu/i n albo'. i dwa Paunisów i nie zdarło mi skalpu. Udałem się potem do Tekamyj i sprawilem sobie tam nową skórę. Nazywają ją peruką, a kosztowała mnie j dwie okazałe pęczki skórek bobrowych, jak mi się zdaje. Nie szkodzi mi to, ' jako że nowa skóra jest niekiedy praktyczniejsza niż stara, szczególnie w lecie, mogę ją zdjąć, gdy się spocę. Ale tak czy owak musiała za to oddać życie niejedna czerwona skóra, a skalp sprawia mi więcej przyjemności niż najpiękniejsza wiązka bobrowych skórek.

Mówiąc te słowa nacisnął kapelusz wraz z peruką z powrotem na głowę i zabrał się do zdejmowania skalpu drugiemu Indianinowi. Mimo swej nie-pozornej postaci miał naturę człowieka zahartowanego w walce z żywiołami i tysiącem niebezpieczeństw, jakie tak często spotyka się tu, na Zachodzie. Kiedy wśród cierpkich żartów; a przecież z pełną nienawiści twarzą oraz z błyszczącymi zawziętością oczyma schylił się nad ciałem i szybkimi, pew-nie poprowadzonymi cięciami noża oddzielił skórę na czole i skroniach, sprawił na mnie wrażenie wyjątkowo nieprzejednanego.

Odwrociłem się. zdjęty owym przejmującym grozą, bliskim skruchy uczuciem, które powinno gościć w sercach wszystkich tych, z powodu których dumne plemiona amerykańskiej sawanny zostały pozbawione ojczyzny i wjęte spod prawa, a za pośrednictwem trucizny, ognia i miecza wpędzone między górskie kaniony, gdzie mieli do wyboru umrzeć niesławną, nikczemną śmiercią albo przyjąć śmiertelny cios z podniesioną do walki dłonią.

Wtem stanęła przede mną Ellen. Jej wzrok spoczął na obu martwych ciałach. Zmroziło mnie jej spojrzenie, wręcz odepchnęło od niej, dopiero gdy popatrzyła na mnie, stało się przyjaźniejsze.

- Dlaczego nie wzięliście sobie skalpu, sir? - spytała. - Jeden już i tak zostawiliście Winnetou.

To pytanie w ustach istoty płci żeńskiej wydało mi się absolutnie niepojęte, dlatego odpowiedziałem na nie zdziwionym spojrzeniem. Nie było tu zresztą miejsca na subtelną wymianę zdań, ponieważ za każdym drzewem mogła zabrzęczeć cięciwa napinanego luku, szczęknać odwodzony kurek strzelby, zatem trzeba było natychmiast zaalarmować obóz i powiedzieć myśliwym, że w pobliżu są czerwonoskórzy.

66

- Kończcie już. Sam. Musimy pozostać niewidzialni dla Indian.

- Macie rację, sir! To konieczne, jak myślę. Mała miss mogłaby skryć się za krzewy, bo stawiam me mokasyny przeciwko parze baletek, że w krótkim czasie pojawią się tu czerwone psy.

Ellen posłuchała ostrzeżenia starego, a ja pogrzebałem, przy jego pomocy ciała, których ze względów bezpieczeństwa nie wolno nam było zepchnąć do wody. Kiedy uporaliśmy się z tym, Hawkens zauważył:

- Tak, to byłoby zrobione. Teraz idźcie z małą miss do twierdzy i ostżeźcie naszych ludzi, a ja wrócę po śladach, aby dowiedzieć się czegoś więcej, niż nam powiedziały te dwa czerwone

łotry, jak mi się wydaje.

- Nie lepiej, żebyście to wy poszli do ojca, Sam? - spytała Ellen. - Wy umiecie lepiej zastawiać pułapki, a dwie pary oczu to nie jedna.

- Hm! Jeśli mała miss tak chce, to chyba muszę to zrobić, ale jeśli stanie się coś nieprzewidzianego, to nie będę temu winien.

- Nie będziecie, stary! Przecież wiecie, że niechętnie robię coś wbrew własnej woli. Macie już swoje dwa skalpy, więc musicie wiedzieć, że i ja muszę odebrać swoją część. Chodźmy, sir!

Zostawiła małego trapera stojącego na ścieżce i zaczęła przedzierać się

przez gęstwinę. Podążyłem za nią.

Chociaż okoliczności wymagały, aby zwracać baczną uwagę na otoczenie, nie mogłem myśleć o niczym innym, jak o zachowaniu dziewczyny, która ze zręcznością doświadczonego trapera przedzierała się niemal bezszelestnie poprzez zarośla, a każdy jej ruch świadczył o napiętej do ostateczności uwadze.

Nie mogło być inaczej, Ellen od dziecka musiała się oswajać z traper-

skim życiem, zbierać wrażenia, które wyostrzyły jej zmysły, zahartowały ją,

uodporniły na uczucia i nadały jej losowi niezwykley kierunek. Jednakże

okazana przez nią przedtem zimna krew niemal mnie zmroziła, a aureola,

jaką we wspomnieniu otoczyłem jej portret, została zmacona przez szorstką,

bezwzględna rzeczywistość.

Lęk, jaki okazała w momencie, gdy zamierzałem się rzucić na Indiani-na, w innej sytuacji uszczęśliwiłby mnie, ale wypowiedziane przy tym słowa „zrobię to za was” musiały mnie przekonać, że Ellen bez wahania potrafi zniszczyć ludzkie życie. Nie umiałem opędzić się od myśli, że strzelba i nóż w rękach mężczyzny są bronią, lecz w rękach kobiety stanowią narzędzie mordy.

67

Przedzieraliśmy się bez wytchnienia już prawie godzinę, gdy natrafili-1

śmy na drugą kolonię bobrów, ale jej mieszkańcy pozostali w ukryciu, j

-Tutaj zastawiliśmy sidła, które odebraliśmy czerwonoskórym, sir. Dalej | w górze, dokąd początkowo mieliśmy iść, Beefork rozdwaja się. Ale trzeba! iść w innym kierunku, bo widzicie, ślady biegną do lasu. Pójdziemy za nimi.

Już miała ruszyć naprzód, ale ją powstrzymałem.

- Miss Ellen!

Stała, spoglądając na mnie pytająco.

- Nie chcielibyście wrócić, a resztę zostawić mnie?

- Skąd wam to przyszło do głowy?

- Zdajecie sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie być może czekają nas tam w górze? ·?·\*

- A dlaczego nie miałabym zdawać sobie sprawy? Chcecie być lepsi niż ci, którym stawiałam czoło i których pokonałam?

- Musicie wypocząć.

- Chcę tam iść i pójdę. A może sądzicie, że przeraża nade widok por łowanego mężczyzny?

- Chciałbym, aby tak było.

- Naprawdę?

Wymówiła to słowo wolno, przeciągając je, a jej oczy spoczęły badawc na mej twarzy. Zauważyłem wszakże przy tym, że z początku lekki, a pots coraz ciemniejszy rumieniec wypełza na jej policzki i już wiedziałem, mnie zrozumiała. Utkwiła wzrok w ziemi, najwyraźniej walcząc ze sobą.

- Czy istota płci żeńskiej, która czyni to, co dozwolone bywa tyli mężczyźnie, jest godna nienawiści?



- Nienawiści? Nie - odparłem z naciskiem. - Ale nienawiść nie je jedynym uczuciem, jakiego zwykle się unika.

Milczała przez dłuższą chwilę, po czym podniosła wzrok i spojrzała I mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Wydajecie sąd na podstawie chwilowego wrażenia i przykładacie miarę codzienności do warunków, które są więcej niż niezwykle. Powinniście się zatem dowiedzieć, jakie to wydarzenia sprawiły, że moją dewizą stała się zemsta i walka. Ale teraz chodźcie, nie wolno nam lekkomyślnie ryzyko-wać.

Oddalaliśmy się teraz od rzeki, idąc bez trudności między smukłymi,

wolnymi od plątaniny krzaków pniami lasu wysokopiennego, tworzącego

gęste sklepienie nad porośniętym wilgotnym mchem podłożem, którego miękkość pozwalała nam bez zbytniego wysiłku znaleźć odciski stóp.

Nagle idąca cały czas przodem Ellen stanęła. Na ziemi widniał)' ślady

nie dwóch, lecz czterech mężczyzn, którzy wcześniej szli razem, a tu się

rozdzielili. Ci unieszkodliwieni przez nas byli w pełnym rynsztunku bojo-

wym i przypuszczałem, że znajduje się tu ich większa liczba, którą tylko

ważne przedsięwzięcie skłoniło do podjęcia tak dalekiej drogi przez tereny

wrogich szczepów. Teraz przyszło mi do głowy, że to przedsięwzięcie mogło

mieć związek z nieudanym napadem na pociąg i być jednym z tych aktów

zemsty, przy których Indianie byli skłonni dać z siebie wszystko, aby tylko

pomścić doznaną zniewagę albo krzywdę.

- Co zrobimy? - spytała Ellen. - Ślady prowadzą w kierunku nasze-go obozu, a nie możemy

dopuszczyć, aby został odkryty. Pójdziemy za nimi

czy rozstaniemy się tu, sir?

- Ten poczwórny ślad prowadzi do obozu czerwonoskórych, którzy oczywiście dobrze się ukryli i czekają na powrót zwiadowców. Przede wszystkim musimy odszukać ich obóz, aby zorientować się w ich liczbie i zamiarach. Wejścia do naszego rycerskiego zamku strzeże wartownik, który zrobi swo-je, aby nie wydała się nasza tajemnica.

- Ma pan rację. Idziemy!

Las piał się teraz w górę, gdzie osiągał równinę, i był poprzecinany głębokimi, skalistymi parowami, porośniętymi bujnie paprocią i krzewami jeżyn. Właśnie zbliżaliśmy się cicho do jednego z nich, gdy poczułem zapach spalenizny. Ostrzeżony, zacząłem się baczniej rozglądać po lesie i odkryłem przejrzystą, cienką smuzkę dymu, która, często przerywając się lub wręcz znikając, tańczyła dokładnie naprzeciw nas nad koronami drzew.

Ten dym mógł pochodzić jedynie z indiańskiego ogniska. Biały człowiek wrzuca do żaru całą gałąź naraz i wtedy ognisko strzela szerokim, wysokim płomieniem, dając okazałą i zdradliwą ilość dymu, a dziki wsuwa szczapę jedynie końcem w ogień, przez co powstaje mały płomień i ledwie zauważalna smuzka dymu. To Winnetou zwrócił mi uwagę na zalety tego sposobu, powtarzając często:

- Mój brat rozpala ognisko, które daje zbyt wiele żaru, i potem nie

może przy nim usiąść, aby się ogrzać.

69

Zatrzymałem Ellen i pokazałem jej swe odkrycie.

- Ukryjcie się za tymi krzewami, miss, a ja podejść bliżej, aby przyjdź rzeć się ludziom. ]
- Dlaczego nie mam iść z wami, sir? ą
- Jedno z nas wystarczy, przy dwojgu niebezpieczeństwo odkrycia jest podwójne.

Skinęła głową na znak zgody i wycofała się w zarośla, starannie zaciera-jąc ślady, gdy tymczasem ja, kryjąc się za pniami drzew, zacząłem podkra-dać się w kierunku wąwozu.

Na dnie parowu siedziała i leżała stłoczona taka liczba czerwonoskórych, że niemal nie mogli się ruszać; u jego wylotu stał nieruchomo jak spiżowa statua młody, długowłosy wojownik, a na brzegu dostrzegłem rozstawione warty, które szczęśliwie w ogóle mnie nie zauważyły.

Spróbowałem policzyć obozujących, przyglądałem się więc każdemu z osobna, lecz nagle, wielce zdumiony, przerwałem to zajęcie. Tuż obok ogni-ska siedział - byłoż to możliwe? - biały wódz, Paranoł albo Tim Finnetey, jak go nazwał Old Firehand. Tamtej nocy widziałem wyraźnie w świetle księżycy jego twarz, a także potem, gdy leżał powalony na ziemię, nie mo-głem się więc teraz mylić, a przecież zgłupiałem, gdyż opadały mu na ra-miona wspaniale włosy, chociaż jego skalp wisiał nieustannie przy pasie Winnetou.

Wtem wartownik, stojący po tej stronie wąwozu, uczynił ruch wskazując miejsce, gdzie skryłem się za skałą, musiałem się więc co prędzej wycofać.

Dotarłszy szczęśliwie do Ellen, dałem jej znak, aby podążyła za mną, i wróciliśmy drogą, którą tu przybyliśmy, do miejsca, gdzie rozchodziły się ślady. Stąd przez najgęstsze zarośla ruszyliśmy nowym tropem prosto do „twierdzy”.

Stało się teraz jasne, że Oglala szli za nami krok w krok, aby się na nas zemścić. Nasz pobyt u robotników kolejowych ze względu na chorobę Old Firehanda dał im czas na zgromadzenie wszystkich możliwych sił, ale nie mogłem pojąć, dlaczego przeciwko nam trzem zebrała się taka wielka liczba walecznych wojowników i czemu już dawno na nas nie napadli. Nie chcia-łem też przyjąć do wiadomości, że Paranoł wiedział, gdzie osiedlili się my-śliwi, i układał wróżące im zgubę plany.

70”

Dwaj zwiadowcy przetarli nam drogę, tak że w miarę szybko posuwaliśmy się do przodu. Znajdowaliśmy się już niedaleko od przecinającej prostopadle naszą drogę doliny, kiedy usłyszałem cichy szcęk broni, który doszedł mnie zza gąszczu dzikich drzewek wiśniowych.

Dałem Ellen znak ręką, aby się ukryła, a sam rzuciłem się na ziemię, wyciągnąłem nóż i zacząłem pełznąć w tamtą stronę. Następnie zauważyłem stos żelaznych sideł na bobry, obok której widniała para krzywych nóg tkwiących w olbrzymich mokasynach. Podkradłszy się jeszcze bliżej, zobaczyłem długą, szeroką koszulę, na której górnej części opierało się rondo rozpadającego się ze starości filcowego kapelusza, a nieco z boku tego ronda ujrzałem skłębioną, sterczącą nieporządnie brodę, z której wyglądały dwa małe bystre oczka, lustrujące bacznie listowie.

To był mały Sam. Ale skąd się tu wziął? Przypuszczałem, że już dawno jest w „twierdzy”. Mogłem się tego łatwo dowiedzieć, wystarczyło go tylko spytać, dlatego podpełzłem do niego, starając się zrobić to bez najmniejszego szelestu, a jego przerażenie, jakie musi go ogarnąć, gdy zostanie zniemacka napadnięty, już z góry napawało mnie zadowoleniem.

Cicho, cicho, całkiem cicho sięgnąłem po strzelbę leżącą u jego boku, przyciągnąłem starą, przedpotopową Liddy do siebie i odwiódłem pokryty rdzą kurek. Spowodowany tym szcęk sprawił, że Sam odwrócił się tak szybko, iż zwisająca gałąź ściągnęła mu z głowy kapelusz wraz z peruką, a gdy zobaczył wycelowaną w siebie lufę własnej strzelby, ze zdziwienia otworzył usta tak szeroko, że bezpośrednio pod mieniącym się wszystkimi kolorami tęczy

papuzim nochalem powstała ogromna dziura.

- Hawkens - szepnąłem -jeśli nie zamkniecie ust, wepchnę wam tam

cały tuzin sideł, które tu leżą.

- Good luck, ale żeście mnie przerazili, człowieku, jeśli się nie mylę -

odparł stary traper, a choć zaskoczony, nie wydał z siebie żadnego nieostrożnego dźwięku i szybko przywrócił kapeluszowi i peruce należne im miejsce.

-Dalej myślicie, że jestem greenhornem, któremu trzeba pokazać, jak

się trzyma strzelbę?

- Niech was diabeł porwie, sir! Tak mnie podeszliście, że gdybyście byli

czerwonoskórym, to...

- To byście ostatni raz zjedli kiszkę, jak wtedy powiedzieliście. Macie

71

tu swoją pukawkę. Ateraz powiedzcie, jak do tego doszło, że położyliście się tu spać.

- Spać? Słuchajcie, sir, tu nie było mowy o żadnym spaniu, choć żeście się do mnie podkradli, a

ja tego nie zauważyłem. Miałem w głowie tylko te swoje myśli o skórach tych dwóch szczurów i chciałem je zabrać, ale nie musicie zaraz opowiadać innym, jak to zaskoczyliście starego Sama.

- Będę milczał jak grób.

- A gdzie macie małą miss?

- Ukryła się tam z tyłu. Usłyszeliśmy szczeł waszych sideł i musiałem się naturalnie dowiedzieć, co tak dzwoniło.

- Dzwoniło? To był taki głośny dźwięk? Co za durny, stary szop z cie-bie, Samie Hawkensie! Leży sobie taki stary muł polując na skalpy, a robi przy tym taki hałas, że słyhać go nawet w Kanadzie, jak mi się zdaje! Ale jak tu trafiliście? Chyba szliście za obydwoma czerwonymi, co?

Odpowiedziałem twierdząco na jego pytanie i wyjawiałem mu, co udało mi się zobaczyć.

- Hm, trzeba będzie dużo prochu, dużo prochu, sir. Ruszyłem w górę rzeki z moimi sidłami i naraz zobaczyłem dwóch czerwonych, jeśli się nie mylę, którzy szpiegowali na brzegu zarośli zaledwie o osiem kroków od nas. Naturalnie skryłem się w krzakach i stwierdziłem, że jeden poszedł w górę, a drugi w dół rzeki, aby przeszukać dolinę. Ale nie wyjdzie im to na dobre, J tak myślę. Przepuściłem jednego obok siebie i poszedłem za nim, aby go wypytać, co takiego zobaczyli, skoro się tu znowu spotkali.

- Uwierzyliście mu?

- A jak myślicie? Gdybyście mieli olej w głowie, to zaczailibyście się tam, po drugiej stronie, abyśmy ich mogli złapać, i nie kazalibyście dłużej czekać małej miss, sir. Z czystej niecierpliwości człowiek może popełnić błąd.

Poszedłem za jego radą i wróciłem do Ellen. Zdałem w krótkich słowach relację, po czym zajęliśmy pozycję dokładnie naprzeciw Sama i czekaliśmy na powrót obu Indian.

Nasza cierpliwość była przez długi czas wystawiona na próbę i minęło parę godzin, zanim usłyszeliśmy lekki krok skradającego się mężczyzny.

Był to jeden z tych, na których czekaliśmy, stary, zaprawiony w walkach

wojownik, któremu dla zdobytych skalpów zabrakło miejsca przy pasie,

nosił je więc zamiast frędzli przyczepione grubą warstwą do zewnętrznych szwów szerokich spodni.

Ledwie zbliżył się do nas, a już został schwytany i „uciszony”. To samo

spotkało drugiego, który zjawił się wkrótce potem, i mogliśmy już wrócić do „twierdzy” w tym samym składzie, w jakim wyruszyliśmy.

Przed wejściem odnaleźliśmy wartownika. Leżał ukryty w zaroślach

i chyba zauważył szpiegującego Indianina, który przemknął się zaledwie

parę kroków od niego.

Sam spojrział na niego zdumiony.

- Jesteś greenhornem, Will, i zostaniesz nim, dopóki czerwone psy nie schwycą cię za czuprynę, tak myślę. Sądziłeś, że on przyszedł tu łapać mrówki,

że zostawiłeś broń?

- Powściągnij swój język. Samie Hawkensie, bo zrobię ci to, czego nie

zrobiłem do tej pory! Will Parker greenhornem! Gra byłaby warta świeczki, stary szopie. Czy syn twojej matki nie jest na tyle mądry i nie wie, że puszcza się zwiadowcę, aby jego zniknięcie nie zwróciło uwagi innych?

- Mówicie tak, człowieku, jakby wam nie zależało na indiańskich skórkach, jak myślę. Patrzcie tu! - z tymi słowy podsunął mu pod oczy zdobyte skalpy, a jego twarz skrzywiła się w zdradzającym zachwyty uśmiechu, który wywołał podobny w skutkach do trzęsienia ziemi ruch w jego rozwichrzonej brodzie. - Niech syn swego ojca zobaczy tę cudowną zdo-bycz! Czy to nic nie znaczy, Willu Parkerze, pytam się ciebie, jak mi się

zdaje, czy to nic nie znaczy?

- Po pierwsze - zaczął wyliczać zapytany, a w jego głosie dźwięczało coś na kształt zazdrości - po drugie, ale skąd masz, ty' stary kuku, takie kosztowne rzeczy? Po trzecie, nigdy nie przestaniesz. Samie Hawkensie, co? Po czwarte, przecież chyba nie zdobyłeś ich sam?

- Sam, całkiem sam, potrafię liczyć do dwóch, a wypuścił ich ten...

ten... młody łowca skalpów.

- Wypuścił? - spytał tamten zdumiony, rzucając mi przy tym spojrzenie, w którym malowała się najszczerza wątpliwość co do mej poczytalności umysłowej.

- Możesz w to uwierzyć co, Parker? Hi, hi, hi! Masz nóż z doskonałej

stali i dobrą strzelbę z Kentucky, to nie pozwól im uciec, a wtedy też będziesz coś miał, jeśli się nie mylę!

72

73

Mówiąc to zwrócił się ku wodzie, ale zanim zniknął za skalą, odwrócił się jeszcze raz i ostrzegł wartownika:

- Miej oczy otwarte. Tam po drugiej stronie w jarze jest całe gniazdo tych, co to chętnie wysyłają strzały. Mogą chcieć wsadzić nosy między twe nogi. Byłoby cię szkoda, jak mi się zdaje, wielka szkoda!

Kroczył przed nami zgięty pod ciężarem wiszących mu na ramieniu siodeł. Wkrótce stanęliśmy u wylotu przesmyku i mogliśmy spojrzeć na kotłownię. Przeciągły gwizd starego trapera wystarczył, aby zwołać wszystkich jej mieszkańców, którzy w napięciu wysłuchali relacji o naszej przygodzie.

Old Firehand milczał do końca, ale gdy mu powiedziałem o Paranoju, wydał okrzyk zdumienia, ale i radości.



- Czy to możliwe? Może się pomyliliście, sir? Wtedy mógłbym spełnić przysięgę i dostać go w swoje ręce, co przez całe lata było moim najgorętszym pragnieniem.
- Te włosy mnie samego wprawiły w osłupienie.
- Och, one są obojętne. Sam Hawkens może wam służyć za przykład, zresztą możliwe, że tamtej nocy nie trafiliście go śmiertelnie. Znaleźli go jego ludzie i zabrali ze sobą. Kiedy chorowałem, on tymczasem przyszedł do siebie, kazał nas śledzić, a potem szedł za nami.
- Ale dlaczego nas nie zaatakował?
- Tego nie wiem, ale w każdym razie musiał mieć swój powód, król też poznamy. Jesteście zmęczeni, sir?
- Nie uważam tak.
- Muszę go zobaczyć na własne oczy. Zechcecie mi towarzyszyć?
- Rozumie się. Muszę wam jednak zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo takiej przechadzki. Indianie będą na próżno czekać na wysłanych zwia-dowców, potem zaczną ich szukać i znajdą trupy. Dostaniemy się między szukających i możemy zostać odcięci od naszych.
- To wszystko prawda, ale nie mogę czekać spokojnie, zanim nas znaj-dą. Dick Stone!
- Tak, sir?
- Słyszałeś, dokąd mamy iść?
- Myślę, że tak.
- Weź broń i zapnij dobrze pas, stary chudzielcu. Rozejrzemy się za czerwonoskórymi.
- Jak trzeba, to trzeba. Zaraz będę gotów, sir. Weźmiemy konie?
- Nie, pójdziemy tylko do wąwozu. A reszta niech nie siedzi z założo-nymi rękami, tylko przykryje trawą schowki ze skórami. Nie wiadomo, co będzie, a gdyby czerwoni wdarli się tu między nasze skały, to niech przynaj-mniej nie znajdą tego, czego mogliby potrzebować. Ty, Harris, pójdiesz na zewnątrz do Willa Parkera, a ty. Bili Bulcher, przypilnujesz tu wszystkiego, gdy nas nie będzie.
- Ojczy, pozwól mi iść z tobą - poprosiła Ellen.
- Nic tam po tobie, moje dziecko. Teraz wypocznij, a potem i dla ciebie znajdzie się zajęcie.

Powtórzyła swą prośbę, lecz Old Firehand nie zmienił decyzji i wkrótce wyruszyliśmy we trzech brodząc łożyskiem strumienia.

Dick Stone był nie mniejszym oryginałem niż Sam Hawkens. Jego niesa-mowicie wysoka, strasznie chuda i wysuszona, koścista postać była pochy-lona do przodu, tak że mogło się wydawać, iż dla jego oczu nie ma innej perspektywy, jedynie własne stopy, z których wyrastały przerażająco krzywe nogi. Nad masywnymi, mocnymi butami myśliwskimi zasznurował skóra-ne kamasze, zakrywające spory kawałek nogi. Odziany był w przylegające do ciała spodnie i opasany szerokim pasem, z którego obok noża i rewolwe-ru zwisały najróżniejsze drobne przedmioty codziennego użytku. Na szerokie ramiona narzucił wełniany koc, którego poły najwyraźniej miały po-zwolenie, aby rozwiewać się na cztery strony świata, a krótko ostrzyżona głowa tkwiła w czymś, czego zdefiniowanie było czystą niemożliwością.

Po wyjściu z „twierdzy” i krótkiej wymianie słów przeszliśmy obok war-townika i ruszyliśmy do miejsca, gdzie ukrył się Sam Hawkens. Ten kierunek był dla nas najkorzystniejszy, ponieważ po obu stronach mieliśmy osłonę i byliśmy pewni, że spotkamy Indian, którzy najprawdopodobniej opuszczają kryjówkę, aby rozejrzeć się za swymi zaginionymi braćmi.

Winnetou także opuścił obóz i do tej pory nie wrócił. Podczas naszego obecnego rekonesansu byłby najmilej widzianym towarzyszem i nie potrafi-łem oprzeć się trosce o niego, jako że naprawdę bardzo go polubiłem. Tak łatwo było przecież zetknąć się z przewagą wroga, a wtedy przy całej swej dzielności byłby zgubiony.

Właśnie rozmyślałem nad taką ewentualnością, gdy nagle krzaki obok

nas rozchyliły się i przed nami stanął Apacz we własnej osobie. Nasze ręce,

74

75

które przy pierwszym odgłosie rozsuwanych gałęzi powędrowały do broni, cofnęły się, gdy go rozpoznaliśmy.

- Winnetou pójdzie z białymi mężczyznami, aby zobaczyć Paranoha i Oglala.

Spojrzeliliśmy na niego zdumieni. A więc już wiedział o obecności In-dian.

- Czy mój czerwony brat widział wojowników najokrutniejszego szcze-pu Siuksów?

- Winnetou musi uważać na swego młodego brata i córkę Ribanny. Po-szedł między nich i ujrzał, jak ich noże trafiają w serca czerwonych wojow-ników. Paranoh wziął sobie czaszkę

mężczyzny z plemienia Osagów, jego włosy to kłamstwo, a myśli są pełne fałszu. Winnetou go zabije.

- Nie, wódz Apaczów go nie dotknie, zostawi go mnie - odparł Old Firehand.
- Winnetou już go raz podarował swemu białemu przyjacielowi.
- Tym razem mi nie ujdzie, ponieważ moja dłoń...

Zdażyłem usłyszeć tylko to słowo, jako że w chwili, gdy zostało wypowiedziane, ujrzałem dwoje płonących oczu za krzakiem, za którym ślady skręcały, i błyskawicznym skokiem dopadłem ich właściciela.

Był to ten, o którym mówiliśmy: Paranoh. Ledwie zacisnąłem mu dłoń na gardle, a z obu stron doszedł mnie szelest i z ukrycia wyskoczyła spora grupa Indian, śpiesząc na pomoc swemu wodzowi.

Przyjaciele zauważyli, co się stało, i natychmiast rzucili się na napastników. Nie wiem, jak do tego doszło, ale miałem pod sobą białego wodza, który przecież przewyższał mnie siłą i zręcznością. Czując kolano na swej piersi, palce mej lewej ręki zaciskające się na szyi i swoją dłoń, która chwyciła za nóż, przygwożdżoną przez moją prawą rękę, wił się pode mną jak robak, czyniąc najdziksze wysiłki, aby mnie z siebie strącić. Nie miałem czasu rzucić choćby jednym spojrzeniem na zbiegowisko wokół mnie, gdyż najmniejsza chwila nieuwagi sprawiłaby, że byłbym zgubiony. Nigdy w życiu nie czułem tak wyraźnie, że w obliczu niebezpieczeństwa siły człowieka mogą się podwoić, a nawet stać się dziesięć razy większe.

Bijąc nogami jak spętany łańcuchem byk, z nadludzką siłą próbował się

podnieść, długowłosa peruka leżała obok niego, nabiegłe krwią oczy wyszły

76

mu z orbit, z ust toczyła się piana znamionująca wściekłość, ścięgnięta i nerwy nagiej, poznaczonej śladami noża Winnetou czaszki nabrzmiały z wysiłku i nadały jej odrażający wygląd, żyły na skroniach pulsowały dziko. Miałem uczucie, że pode mną znajduje się dotknięte wściekłą zwierzę, i z niepojętą w tej chwili siłą zacisnąłem mu palce na szyi, tak że drgnął konwulsyjnie parę razy, głowa opadła mu do tyłu, wyrócił oczy, przez jego ciało przebiegły drgania, najpierw silniejsze, potem coraz słabsze, rozrzucił ramiona - był zwyciężony.

Wstając rozejrzałem się wreszcie wokół siebie i moim oczom ukazała się scena, jakiej nie zdoła opisać żadne pióro. Żaden z walczących, w obawie, że może sprowadzić pomoc wrogowi, nie zrobił użytku z broni palnej, w ruch poszły jedynie noże i tomahawki. Wszyscy leżeli na ziemi tarzając się we krwi, własnej lub przeciwnika.

Winnetou sposobił się właśnie do wbicia ostrza w pierś leżącego pod nim Indianina, nie

potrzebował więc mej pomocy. Old Firehand przydusił do ziemi przeciwnika, próbując odepchnąć od siebie drugiego, który zmiążdżył mu rękę. Pośpieszyłem mu na pomoc i zdzieliłem napastnika jego własnym tomahawkiem, który mu wypadł. Potem podbiegłem do Dicka Stone'a, leżącego pomiędzy dwoma zabitymi czerwonoskórymi pod jakimś olbrzymim mężczyzną, który za wszelką cenę starał się zadać śmiertelny cios. Nie udało mu się to, tomahawk współplemieńca położył kres jego wysiłkom.

Stone podniósł się i doprowadził swe długie ciało do porządku.

-Na Boga, sir, przyszliście mi z pomocąw odpowiedniej chwili. Trzech na jednego to jednak trochę za dużo, gdy nie wolno strzelać. Tak musi być, zaskarbiliście sobie moją wdzięczność.

Także Old Firehand wyciągnął do mnie rękę i właśnie miał coś powie-dzieć, gdy jego wzrok padł na Paranoha.

- Tim Finnetey! Czy to możliwe? Wódz we własnej osobie! Kto miał z nim do czynienia?

- To mój młody biały brat go powalił - wyręczył mnie w odpowiedzi Winneotu, a zauważywszy, że wódz nie został zraniony, lecz pokonany jedy-nie uciskiem rąk, dodał z wyrazem zdumienia, jakiego jeszcze nigdy u nie-go nie widziałem: - Wielki Duch dał mu siłę bizona, który orze ziemię własnymi rogami.

- Człowieku - zawołał Old Firehand - jeszcze nigdy nie spotkałem takiego jak wy, a przecież od dawna krążę po świecie i byłem już tu i tam.

77

I to wy chcieliście przyjechać na Zachód tylko po to, aby poznać kamienic i rośliny?

Zamiast odpowiedzi położyłem mu dłoń na ramieniu. Ten ogromny wv-l siłek tak nadwerężył me siły, że jak marznący drżałem na całym cieie i z największym trudem zdołałem utrzymać rękę w miejscu, gdzie ją położy-łem.

- Czujecie teraz, jaki ze mnie wielki bohater, sir? Najślabszy bronii się, gdy idzie o jego życie, a tu chodziło nie tylko o moje istnienie, bo gdyby wziął górę, prawdopodobnie byłoby po nas.

- Ale jak to możliwe, że ukrył się tu ze swoimi? Przecież Winnetou był w pobliżu.

- Biały wódz nie ukrył się po stronie Apacza. Zauważył ślady swych wrogów i szedł za nimi.

Jego ludzie przyjdą tu za nim, więc moi biali bracia muszą iść szybko za Winnetou do swych wigwamów.

- Ten człowiek ma rację - przytaknął Dick Stone. - Tak właśnie musi być. Musimy się zastanowić, jak wrócić do naszych.

- Dobrze - odpowiedział Old Firehand, z którego ramienia tryskała jasnym strumieniem krew - musimy jednak za wszelką cenę zatrzeć na ile się da ślady walki. Idź przodem, Dick, aby nas nikt nie zaskoczył.

- Niech tak będzie, sir, ale najpierw wyjmijcie mi nóż z ciała, bo nie mogę się do niego dostać. Pozwólcie też, abym najpierw zajął się głowami tych trzech moich kuzynów.

Zdjąwszy skalpy, przystąpił do mnie. Jeden z trzech napastników wbił mu nóż pomiędzy żebra, który podczas zmagania zagłębiał się coraz bardziej, ale na szczęście nie w niebezpiecznym miejscu. Po wyciągnięciu go została tylko lekka rana, bez większego znaczenia dla żelaznej natury Stone'a.

W krótkim czasie uporaliśmy się z tym, co należało zrobić.

- Jak zabierzemy jeńca - spytał Old Firehand.

- Poniesiemy go - odparłem. - Ale będą trudności, gdy odzyska przytomność.

- Poniesiemy? - upewnił się Stone. - Od lat nie byłem taki zadowolony i nie sprawię zawodu chłopakowi.

Kilkoma cięciami noża oddzielił od korzenia pewną liczbę rosnących obok siebie prętów, wziął koc Paranoha, pociął go na pasy i zauważył, kiwając do nas z zadowoleniem:

78

- Zrobimy z tego coś w rodzaju sań, przywiążemy go mocno i pociągniemy po ziemi. Tak musi być!

Propozycja została przyjęta, sporządzono sanie i wkrótce wyruszyliśmy

w drogę, ale zostawał za nami tak wyraźny ślad, że idący z tyłu Winnetou musiał zadać sobie wiele trudu, aby go zatrzeć.

\* \* \*

Było wcześnie rano. Promienie słońca nie dotknęły jeszcze szczytów leżących naokoło gór i w obozie panowała głęboka cisza, mimo to byłem już od dawna na nogach i wspiąłem się na skałę, gdzie odnalazłem Ellen.

Na dole w kotlinie wokół zarośli kłębiły się gęste tumany mgły, ale tu w górze powietrze było czyste, a na skroniach czułem ożywczy wiatr. Po drugiej stronie wśród zwisających pędów jeżyn skakał ziarnojad, wabiąc nabrzmałym, brzoskwińcowoczerwonym gardziółkiem ociągającą się samiczkę, nieco głębiej w zaroślach siedział niebieskoszary ptak, od czasu do czasu przerywający swój śpiew pociesznym, podobnym do miauczenia krzykiem, a z dołu dochodziło wtórujące mu brawurowe kwakanie kaczki. Mnie wszakże mniej absorbował ten poranny koncert, niż wydarzenia mających nadejść dni.

Według relacji jednego z naszych myśliwych, który właśnie wrócił z wędrówki po lasach i także widział Oglalę, było ich więcej, niż przypuszczaliśmy. W dole na równinie natknął się na drugi obóz, gdzie znajdowały się konie.

A więc z całą pewnością można było założyć, że ich wyprawa wojenna

nie jest skierowana przeciwko pojedynczym osobom, lecz przeciwko całej naszej osadzie. Z tego powodu, a także ze względu na znaczną liczbę wrogów nasze położenie było nie do pozazdroszczenia.

Przygotowania na wypadek napadu, jakie musiały zostać podjęte, zajęły

całe wczorajsze przedpołudnie i wieczór, tak że zabrakło nam czasu, aby się dowiedzieć, jak się miewa nasz jeniec. Leżał mocno związany i dobrze strzeżony w jednej ze skalnych pieczar, przekonałem się, że założonym mu więzom można ufać.

79

Następne dni, a może już najbliższe godziny, powinny przynieść ważne decyzje. Właśnie zastanawiałem się nad tą sytuacją, gdy z zadumy wyrwały mnie zbliżające się kroki.

- Dzień dobry, sir. Jak widać, sen was odleciał, tak jak i mnie.

Odwzajemniłem pozdrowienie i wstałem.

- Czujność jest najpotrzebniejszą cnotą w tym pełnym niebezpieczeństw kraju.

- Boicie się czerwonoskórych? - spytała z uśmiechem.

- Wiem, że nie pytacie poważnie. Ale jest nas wszystkich trzynastu mężczyzn, a wróg dysponuje dziesięć razy większą siłą. W otwartym polu

nie możemy się z nimi mierzyć, i cała nasza nadzieja w tym, że nie zostanie-my odkryci.

- Widzicie sprawę chyba zbyt czarno. Trzynastu takich mężczyzn jak nasi ludzie może dokonać wielkich rzeczy i nawet jeśli Indianie wywęszą naszą kryjówkę, to damy im taką odprawę, że spłyną krwią.

- Jestem innego zdania. Są rozwścieczeni naszym napadem, a jeszcze bardziej wczorajszą utratą swych ludzi, poza tym wiedzą, że ich wódz jest w naszych rękach. Naturalnie szukali zaginionych, znaleźli ciała, lecz zabrakło im Paranoha, a jeśli liczna zgraja jak ta w jakimś celu przebywa taki szmat drogi, to będzie próbować osiągnąć cel największym nakładem siły i przebiegłości.

- Macie absolutną rację, sir, ale żadnego powodu do obaw. Znam tych ludzi lepiej niż wy. Tchórzliwi i nieufni z natury, umieją tylko podstępnie atakować bezbronnych. Przemierzyliśmy

ich tereny łowieckie od Missisipi aż do Pacyfiku, od Meksyku po jeziora na północy, pędziliśmy ich przed sobą, biliśmy się z nimi, uciekaliśmy przed ich przewagą i musieliśmy się

ukrywać, ale zawsze trzymaliśmy dłoń na nożu i w ten sposób zachowaliśmy przewagę.

Spojrzałem na nią, lecz nic nie odrzekłem, a w moim wzroku musiało malować się zdumienie, gdyż po krótkiej przerwie ciągnęła dalej:

- Mówcie sobie, co chcecie, panie. Ludzkie serca pełne są uczuć, którym musi być posłuszne żadne czynu ramię, obojętne, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety. Gdybyśmy wczoraj stanęli nad Beeforkiem, to moglibyście zobaczyć grób kryjący dwie najukochańsze, najbliższe mi istoty. Zostały za- | bite przez mężczyzn o ciemnych włosach i brunatnej skórze. Od tamtego  
11

80

straszego dnia świerzbi mnie ręka, gdy widzę rozwiane skalpy. Tamten Indianin brocząc krwią zsunął się z konia, gdy padł strzał z pistoletu, którego śmiertelny ołów trafił mą matkę w serce. Jego niezawodność poznali-ście w New Venango.

Wyciągnęła broń z pasa i podsunęła mi pod oczy.

- Jesteście dobrym strzelcem, sir, ale z tej starej rury nie traficie z odległości piętnastu kroków w pień drzewa hikorowego. Możecie więc sobie wyobrazić, ile musiałam ćwiczyć, aby być pewną mej ręki. Potrafię strzelać ze wszystkiego, ale tam, gdzie chodzi o krew indiańską, sięgam tylko po ten pistolet, bo sobie poprzysięgam, że każde ziarenko prochu, jakie zawierała tamta mordercza kula, musi zostać spłacone życiem czerwonoskórego. Są-dzę, że nie jestem już daleka od spełnienia mej przysięgi. Ta broń, z której zginęła moja matka, stała się narzędziem mej zemsty.

- Dostaliście ten pistolet od Winnetou?

- Opowiadał wam o tym?

-Tak.

-Wszystko?

- Nic ponad to, co właśnie usłyszałem.



- Tak, pochodzi od niego. Ale usiądźcie, sir! Przyrzekłam wam wczoraj wyjaśnienie, powinniście zatem dowiedzieć się najważniejszego, choć nie jest to sprawa, o której powinno się wiele mówić.

Usiadła obok mnie, obrzuciła czujnym spojrzeniem leżącą pod nami kołtynę i zaczęła:

- Ojciec był nadleśniczym tam, w starym kraju, i żył z żoną i synem w niezmaconym szczęściu, dopóki nie nadeszły czasy politycznego wrzenia, które wielu dzielnych ludzi oszukało. Także i mój ojciec dostał się w wir, z którego w końcu nie mógł się inaczej wyrwać, jak tylko uciekając. Prze-prawa przez ocean zabrała mu matkę dziecka, a kiedy zszedł na ląd Nowego Świata, bez znajomych i środków do życia, wziął to, co mu zaproponowano, i wyruszył na Zachód jako surwejor, zostawiwszy chłopca u zamożnej rodzi-ny, która go zaadoptowała.

Tak pośród niebezpieczeństw i przygód spędził kilka lat, a one uczyniły

z niego poważanego przez białych, a groźnego dla wrogów westmena. Jedna

z wypraw myśliwskich zaprowadziła go aż do Quincourt, między plemiona

Assiniboinów. Tam po raz pierwszy spotkał się z Winnetou, który wyprawiał

81

się znad brzegów rzeki Colorado w górę rzeki Missisipi, aby przynieść swe-mu szczeniowi świętą glinę na kalumety. Obaj byli gośćmi wodza Tah-sza-tungi i poznali w jego namiocie Ribannę, jego córkę.

Była piękna jak jutrzienka i słodka jak górską różą. Żadna z córek ple-mienia nie umiała tak garbować skóry i tak pięknie szyć ubrań myśliwskich jak ona, a kiedy szła po drzewo, aby rozpaść ogień pod kociołkiem, to jej szczupła postać królowała nad równiną, a włosy spływały niemal do ziemi. Była ulubienicą Manku, Wielkiego Ducha, i dumą plemienia, a młodzi wo-jownicy aż dyszeli żądzą walki, chcąc zdobyć skalpy wrogów i złożyć je u jej stóp.

Ale żaden z nich nie śmiał położyć ręki na jej biodrze, gdyż ona kochała białego myśliwego, który był przystojniejszy i dzielniejszy niż wszyscy czer-wonoskórzy wojownicy i przemawiał do niej czułym, miękkim głosem. a jego dźwięk zapadł jej głęboko w serce, napełniając dziewczęcą pierś słod-kimi, pełnymi tęsknoty uczuciami.

Także w jego duszy rozpaść się ogień miłości, podążał za śladem jej stóp. czuwał nad nią i rozmawiał jak z córką bladych twarzy Pewnego wieczoru podszedł do niego Winnetou i rzekł:

- Biały mężczyzna nie jest jak dzieci jego ludu. Z jego ust nie padają kłamstwa i zawsze mówił prawdę Winnetou, swemu przyjacielowi.
- Mój czerwony brat ma ramię silnego wojownika i jest najmądrzejszy przy ognisku wielkiej rady. Nie jest żadny krwi niewinnych, więc podaję mu dłoń przyjaciela. Rzekłem!
- Mój brat kocha Ribannę, córkę Tah-sza-tungi?
- Jest mi droższa nad stada prerii i skalpy wszystkich czerwonych mę-żów.
- I będzie dla niej dobry, nigdy nie napełni jej uszu twardymi słowami. lecz odda jej serce i będzie jej bronić przed wszystkimi burzami życia?
- Będę ją nosił na rękach i trwał przy niej w każdej biedzie i niebezpie-czeństwie.
- Winnetou zna niebo, nazwy i mowę gwiazd, ale gwiazda jego życia spada, a w jego sercu zapanują ciemność i noc. Chciał Różę z Quicourt za-brać do swego wigwamu, złożyć na jej piersi zmęczoną głowę, kiedy wróci ze ścieżki wydeptanej przez bizona albo z wioski swych wrogów. Ale jej oko lśni na widok mego brata, a wargi szepczą imię dobrej bladej twarzy.  
Apacz

82

odejdzie z tej krainy szczęścia, a jego stopa podąży samotnie pagórkami Gila. Jego ręka nigdy więcej nie dotknie głowy niewiasty, w jego uchu nig-dy nie zabrzmiał głos syna. Ale wróci w czasie, gdy łoś wędruje przez przełę-cze. i zobaczy, czy Ribanna, córka Tah-sza-tungi, jest szczęśliwa.

Odwrócił się i odszedł w noc, a następnego ranka zniknął.

Kiedy wrócił w czas wiosny, odnalazł Ribannę, a jej błyszczące oczy opowiedziały mu więcej niż słowa o szczęściu, jakie ją spotkało. Wziął mnie, zaledwie kilkudniowe niemowlę, z jej ramion, ucałował i położył na mej głowie dłoń:

- Winnetou będzie nad tobą jak drzewo, w którego gałęziach śpią ptaki i pod którym zwierzęta szukają schronienia przed dożywającą się z chmur ulewą. Jego życie będzie twoim życiem, jego krew twoją krwią. Nigdy nie zabraknie tchu w jego piersiach i siły w ramieniu dla córki Róży z Quicourt.

Niech rosa poranka spadnie na twe drogi, a światło słońca ozłoci ścieżki, po

których chodzisz, abyś była radością oczu mego białego brata. Howgh\

Lata mijały, ja rosłam, ale jednocześnie rosła też tęsknota ojca za pozostawionym synem, którego daremnie próbowałam mu zastąpić. Zapomniałam, że jestem dziewczyną, brałam udział w śmiałych zabawach chłopców i zostałam napełniona duchem oręża i walki. A potem ojciec, nie mogąc dłużej znieść tęsknoty, zabrał mnie ze sobą na wschodnie wybrzeże. U boku brata, w środku cywilizacji zaczęło się dla mnie nowe życie, z którym nie chciałam się rozstać. Ojciec wrócił sam, pozostawiając mnie u przybranych rodziców mego brata. Wkrótce jednak obudziła się we mnie taka tęsknota za Zachodem, że nie mogłam jej w sobie pokonać, i gdy ojciec przyjechał nas odwiedzić, wróciłam z nim w rodzinne strony.

Niestety znaleźliśmy obóz pusty i spalony do cna. Po dłuższych poszukiwaniach znaleźliśmy wampum, pozostawione przez Tah-sza-tungę, abyśmy po naszym powrocie dowiedzieli się, co się stało.

Tim Finnetey, biały myśliwy, wcześniej często bywał w naszym obozie i chciał dostać Różę z Quicourt za squalv, ale Assiniboini nie darzyli go przyjaźnią, ponieważ był złodziejem i często okradał ich schowki ze skórami. Został więc odprawiony i odszedł z przysięgą zemsty na wargach. Od mego ojca, z którym spotkał się w Black Hills, dowiedział się, że Ribanna została jego żoną. Wtedy udał się do Czarnych Stóp, aby skłonić ich do wyprawy wojennej przeciwko Assiniboinom.

83

Ci poszli za jego głosem i przybyli w czasie, kiedy wojownicy byli na łowach. Napadli, splądrowali i spalili obóz, zamordowali starców i dzieci, a młode kobiety i dziewczęta zabrali ze sobą. Kiedy wojownicy wrócili i zobaczyli pokryte popiołem miejsce, ruszyli śladami bandytów, a że na wyprawę zemsty wyruszyli zaledwie kilka dni przed naszym powrotem, mogliśmy ich zatem łatwo dogonić.

Nie będę się rozwodzić nad wydarzeniami. Po drodze natknęliśmy się na Winnetou, który przybył z gór, aby zobaczyć się z przyjaciółmi. Wysłuchawszy opowieści ojca, bez słowa wskoczył na konia. Nigdy nie zapomnę widoku obu mężczyzn, jak w milczeniu, ale z płonącymi sercami, gnani chęcią słusznej zemsty ruszyli w drogę.

Dołączyliśmy do nich nad Beeforkiem. Właśnie dogonili Czarne Stopy, obozujące w dolinie rzeki, i czekali tylko nocy, aby się z nimi rozprawić. Miałam zostać wraz z wartownikiem przy koniach, ale nie zaznałam spokoju i gdy zbliżał się moment rozpoczęcia napadu, przemknęłam się między drzewami i dotarłam do brzegu zarośli w momencie, gdy padł pierwszy strzał. Nieprzyjaciel miał przewagę i krzyki walczących ucichły dopiero wraz z nastaniem świtu.

Widziałam kotłowanie dzikich postaci, słyszałam lament i jęki ran-

nych, i umierających, a leżąc w mokrej trawie modliłam się. Wróciłam do

wartownika, ale go nie było, a gdy doszło mnie radosne wycie wroga, wie-

działam już. że zostaliśmy pokonani. |

Odczekałam w ukryciu do zapadnięcia nocy i dopiero wtedy odważyłam | się wyjść na pobożowisko. Naokoło panowała głęboka cisza, jasne światło - księżyc oblewało leżące nieruchomo postacie. Zdjęta zgrozą błądziłam mię- | dzy nimi i - znalazłam ją, matkę, leżącą z przestrzeloną piersią i kurczowo | tulącą w objęciach moją małą siostrzyczkę, której główka zwisała odcięta i potężnym ciosem noża. Ten widok odebrał mi zmysły i padłam na ziemię tracąc przytomność.

Nie wiem, jak długo leżałam. Minął dzień, potem noc i znowu nastał dzień. Wtedy usłyszałam w pobliżu lekkie kroki. Podniosłam się, zobaczy-łam ojca i Winnetou, byli ranni. Zostali pokonani przez przeważające siły wroga, który spętał ich i zabrał ze sobą, ale udało im się uwolnić i uciec.

Przerwała i z nieruchomą twarzą wpatrzyła się w dal. Nagle szybko od-wróciła się do mnie i spytała:

84

- Macie jeszcze matkę, sir?

-Tak.

- Co byście zrobili, gdyby ktoś ją wam zabił?

- Pozwoliłbym działać ramieniu prawa.

- Dobrze. Ale jeśli to ramię jest za słabe lub za krótkie, jak tu na Zachodzie, to przedłuża się je własnym ramieniem.

- istnieje pewna różnica między karą i zemstą, miss Ellen. Pierwsza jest bezpośrednim skutkiem grzechu i wiąże się ściśle z pojęciem Boskiej i ludzkiej sprawiedliwości, druga wszakże jest odrażająca i ludzi człowieka zaletami zapożyczonymi od zwierząt

- Dlatego tak mówicie, bo w waszych zimnych żyłach nie płynie ani odrobina indiańskiej krwi. Jeśli jednak ktoś z własnej woli rozbudzi w sobie te cechy i staje się groźną dla otoczenia bestią, to musi być traktowany w ten sam sposób i należy iść za nim, dopóki nie dopadnie go śmiertelna kula. Kiedy tamtego dnia pogrzebaliśmy zmarłe, odbierając łup sępom, w sercach nas trojga nie było innego uczucia, tylko płomienna nienawiść do morderców, a przysięga, jaką złożył donośnym głosem Winnetou, była także naszą własną przysięgą.

Wódz Apaczów wykopał z ziemi strzałę zemsty. Jego pięść jest zaciśnię-ta, stopa lekka, a tomahawk ma ostrze błyskawicy. Odszuka Tima Finneta-ya, mordercą Róży z Quicourt, i weźmie jego skalp za życie Ribanny, córki wodza Assiniboinów.

- To Finnetey był mordercą, panno Ellen?

- Tak, on. Zastrzelił ją zaraz na początku walki, gdy wyglądało na to, że zaskoczone Czarne Stopy zostaną pokonane. Widział to Winnetou, rzucił się na niego, odebrał mu broń i byłby go zabił, gdyby nie został schwytany przez innych i po zaciętej obronie wzięty do niewoli. Dla drwiny pozosta-wiono mu nie naładowany pistolet, który potem jako prezent trafił w me ręce i nigdy mnie nie zawiódł, czy chciałam postawić stopę na chodniku wielkiego miasta, czy na porośniętej trawą ziemi prerii.

- Muszę wam powiedzieć, że...

Przerwała mi niecierpliwym ruchem ręki.

- Wiem, co mi chcecie powiedzieć. Sama to sobie mówiłam tysiące razy. Czy nigdy nie słyszeliście jednak opowieści o flats-ghost, który z dzi-ką furją pędzi przez równinę i niszczy wszystko, co odważy się stawić mu

85

opór? Jest w niej głęboki sens, który pragnie nam przekazać, że nieposkro-miona wola musi się rozlać morzem ognia na równinie, zanim zdoła tu się zakorzenieć porządek cywilizacji. Także w mych żyłach pulsuje taka wzbu-rzona fala i muszę iść za nią. choć wiem, że wciągnie mnie w odmęty.

Po tych znaczących słowach zapadła głęboka, pełna zadumy cisza, którą wreszcie odważyłem się przerwać cichymi wymówkami. Wysłuchała mnie ze spokojem, a potem potrząsnęła głową. Wymownie przedstawiła wraże-nia, jakie w jej duszy pozostawiła tamta straszna noc, opisała swe późniejsze życie, jak to miotła się między skrajnościami dzikości i o głady. Siedziałem obok niej, wsłuchany w jej głęboki, dźwięczny glos, chłonąc słowa, które choć mnie nie przekonały, to trafiały do mej duszy.

Naraz doszedł nas z dołu ostry gwizd. Przerwała opowieść i rzekła:

- To ojciec zwołuje ludzi. Nadszedł czas, aby zająć się więźniem, zejdź-my więc na dół.

Podniosłem się i podałem jej rękę.

- Spełnicie moją prośbę, miss Ellen?

- Chętnie, pod warunkiem, że nie zażądacie ode mnie czegoś niemożliwego.

- Zostawcie go mężczyznom.

- Proście dokładnie o to, na co nie mogę przystać. Tysiące razy pragnęłam stanąć z nim twarzą w twarz i odpłacić śmiercią za śmierć, tysiące razy odmalowywałam sobie tę godzinę w barwach, jakie tylko ma do dyspozycji ludzka wyobraźnia. To cel mego życia, cena za wszystkie udręki i wyrzeczenia, jakim musiałam stawić czoło i za jakie zapłaciłam, a teraz, kiedy memu największemu pragnieniu może stać się zadość, mam z tego zrezygnować?

- To życzenie zostanie spełnione także bez waszego bezpośredniego udziału, panno Ellen. Ludzkość dąży do wyższych celów niż ten, jak sobie wytyczyliście, serce ludzkie jest zdolne do większych i świętszych uczuć niż zaspokojenie nawet najbardziej palącej żądzy zemsty. Macie wszystko, wszystko, aby być szczęśliwą i uszczęśliwiać innych, dlaczego więc chcecie zrezygnować ze swego szczęścia, brudząc ręce w krwi tego nieszczęśnika, a odrzucając wszystko, co stanowi o wartości kobiety, łagodność i miłość?

- Miłość? Dalibyście spokój, mister. Naczytaliście się powieści i tyle - odwróciła się i ruszyła przodem biegnącą w dół skalistą ścieżką.

86

Osobliwie poruszony naszą rozmową, podążałem za nią powoli. Jak wszystkie kobiety, tak i ona dawała się prawie nieustannie powodować uczuciom. Tak jak przedstawionemu przez nią obrazowi przeszłych wydarzeń zabrakło spoistości. Kazać się domyślać czegoś istotnego, co zostało przemilczane, a co spowodowało rozwój tej rozdwojonej natury, tak i ona sama w swej obecnej postaci wydawała się niejasna. To okoliczności ukształtowały tę piękną dziewczynę. A że były tak różnorodne, tak wyjątkowe, trudno się dziwić, że niekiedy działała na mnie odpychająco, choć przedtem mnie pociągała.

Najpierw poszedłem do Swaltowa, aby przywitać się z dzielnym zwierzuchem, a potem dołączyłem do zgromadzenia, które zebrało się wokół przywiązanego teraz do pnia Paranoha. Naradzano się właśnie nad rodzajem śmierci, jaka miała go spotkać.

- Ten łotr musi zostać zabity, jeśli się nie mylę - zauważył Sam Hawkins - ale myślę, że nie chciałbym sprawić mej Liddy przykrości wykonując ten wyrok.

- Musi umrzeć, to pewne - zawtórował Dick Stone przytakując głową.

- Sprawiłoby mi radość, gdybym go zobaczył wiszącego na gałęzi, bo na nic innego nie zasłużył. Co o tym myślicie, sir?

- Dobrze - odparł Old Firehand. - Ale nie godzi się brukać tego pięknego miejsca krwią takiego potwora. Tam nad Beeforkiem wymordował ludzi, zatem w tym samym miejscu powinien ponieść karę. Miejsce, które słyszało mą przysięgę, powinno także zobaczyć jej spełnienie.
- Za pozwoleniem, sir - wpadł mu w słowo Stone. - Dlaczego w takim razie musiałem wlec aż tutaj tego obdartego ze skalpu ni to białego, ni to czerwonego? Wszystko na próżno? Sądzicie, że sprawi mi przyjemność. jeśli Indianom dostaną się za to moje kosmyki?
- Acomyśli Winnetou, wódz Apaczów? - spytał Old Firehand, pojmując powody tego zarzutu.
- Winnetou nie boi się strzał Oglala, nosi u pasa skalp psa Atabasków i oddaje w prezencie ciało swego wroga białemu bratu.
- A wy? - pytający zwrócił się też do mnie.
- Skończcie z nim, byle szybko! Chyba nikt z nas nie boi się Indian, ale nie widzę konieczności wystawiania się na niepotrzebne niebezpieczeństwo i tym samym zdradzenia miejsca naszego pobytu. Ten człowiek nie jest wart takiego ryzyka.

87

- Możecie zostać, sir, i pilnować pieczary, w której śpicie - poradziła mi Ellen wzruszając pogardliwie ramionami. - Jeśli o mnie chodzi, domagam się wykonania wyroku w tym samym miejscu, gdzie leżą jego ofiary. Los tak sprawił, że wpadł w nasze ręce tam, a nie gdzie indziej, więc to tylko potwierdza zasadność mego żądania. To, czego żądam, jestem winna tym, na których grobie uczyniłam ślub. że nie spocznę, dopóki nie zostaną po-mszczone.
- Róbcie, jak chcecie, panno Ellen - odrzekłem chłodno i odwróciłem się.

To nie brak właściwych kobiecie uczuć, to coś wręcz demonicznego odrzuciło mnie gwałtownie od niej, wywołując uczucie bólu, jak gdyby zimna, ostra stal wwiercała się w moje serce.

Więzień stał prosto przywiązany do pnia, lecz mimo bólu, sprawianego mu przez wrzynające się głęboko w ciało pęta, i ogromnego znaczenia, jakie ta narada miała dla niego, w jego pooranej wiekiem i namiętnościami twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. W owych odstręczających rysach twarzy stała wypisana cała historia jego życia, a widok nagiej, zabarwionej krwawo cza-szki pogłębiał jeszcze niesamowite wrażenie, jakie ten człowiek musiał sprawiać nawet na bezstronnym obserwatorze.

Po dłuższej naradzie, w której nie brałem udziału, krąg rozluźnił się i grupa myśliwych zaczęła szykować się do wyjazdu.

Zatem dziewczyna przeprowadziła swą wolę i nie mogłem opędzić się od myśli, że z tego musi dla nas wyniknąć nieszczęście. Old Firehand przystąpił do mnie i kładąc mi dłoń na ramieniu rzeki:

- Niech się stanie to, co się ma stać, człowieku, lecz nie przykładajcie fałszywej miary do rzecz), które nie są skrojone według szablonu waszego tak zwanego dobrego wychowania.
- Nie pozwolę sobie na wydanie wyroku o waszych poczynaniach, sir.

Przestępstwo musi zostać ukarane i to jest słuszne, ale nie gniewajcie się na mnie, jeśli powiem, że nie chcę mieć nic wspólnego z egzekucją. Wyruszacie nad Beefork?

- Tak, a jeśli nie chcecie w tym uczestniczyć, będę zadowolony, że zo-staje tu ktoś, komu mogę powierzyć bezpieczeństwo naszego obozu.
- Jeśli stanie się coś, czego sobie nie życzymy, sir, nie będzie to zależne ode mnie. Kiedy wrócicie?
- Nie da się powiedzieć z całą pewnością. To zależ) od tego, co znaj-dziemy tam na zewnątrz. A więc bądźcie zdrowi i miejcie oczy otwarte!

Podszedł do tych, którzy zostali wyznaczeni, aby towarzyszyć jemu i więźniowi. Tego ostatniego odwiązano od pnia, a kiedy Winnetou, który poszedł przekonać się, czy przejście jest bezpieczne, złożył meldunek, że nie zauważył nic podejrzanego, zakneblowano Finneteyowi usta i ruszono do wyjścia.

- Mój biały brat zostaje? - spytał Apacz, zanim dołączył do wyprawy.
- Wódz Apaczów zna me myśli, me usta nie potrzebują mówić.
- Mój brat jest ostrożny jak stopa, zanim wstąpi do wody pełnej aliga-torów, ale Winnetou musi iść i trwać przy córce tej, która zginęła z rąk Atabasków.

Poszedł, choć wiedziałem, że podziela mój pogląd na sprawę, i że zrobił to jedynie z troski o innych. Zdecydował się iść przede wszystkim ze wzglę-du na Ellen.



Zostało tylko niewielu myśliwych, między innymi Dick Stone. Przywołałem ich do siebie i oznajmiłem, że mam zamiar wyjść na zewnątrz i prze-trząsnąć pobliskie zarośla.

- To chyba nie jest konieczne, sir - powiedział Stone. - Tam na ze-wnątrz stoi wartownik, ma oczy i uszy otwarte jak trzeba, a zresztą dopiero co Apacz był na obchodzie. Zostańcie tu i wypocznijcie. Będziecie mieli jeszcze dość roboty.

- Z czym?

- Czerwonoskórzy mają oczy i uszy, wkrótce zauważą, że tam na ze-wnątrz będzie co łapać. To przebiegłe psy. Tak się stanie!

- Macie w zupełności rację, Dick, dlatego wyjdę się rozejrzeć, czy coś w pobliżu się nie rusza. Miejcie tu baczenie na wszystko. Nie każę na siebie długo czekać.

Zabrałem strzelbę i wyszedłem na zewnątrz. Wartownik zapewnił mnie, że nie zauważył nic podejrzanego, ale nauczyłem się wierzyć jedynie własnym oczom, przedarłem się więc na obrzeże zarośli, aby rozejrzeć się za śladami Indian.

Dokładnie na wprost wejścia do naszej kotliny dostrzegłem kilka ułama-nych gałązek, a po dokładniejszym obejrzeniu podłóża stwierdziłem, że le-żał tu jakiś człowiek, który oddalając się starannie zacierał ślady.

89

A więc odkryto nasze miejsce pobytu, obserwowano nas i każdej chwili mogliśmy spodziewać się napadu. Doszedłem jednak do wniosku, że wróg najpierw zajmie się Paranohem i jego eskortą. Teraz najważniejsze było, aby w porę ostrzec OldFirehanda. zatem zdecydowałem się jak najszybciej przy-łączyć do wypraw)'.  
'

Udzieliwszy wartownikowi potrzebnych wskazówek, ruszyłem śladem myśliwych, zmierzających w górę rzeki, a po drodze minąłem miejsce na-szych wczorajszych zmaganiań.

Stało się tak, jak przypuszczałem. Ogląla odkryli zabitych, a z ilości wy-deptanej trawy można było wnosić, że zjawili się tu w sporej liczbie, aby zabrać ciała swych współbraci.

Jeszcze nie uszedłem daleko, a natknąłem się na nowe ślady. Wychodziły z rosnących z boku zarośli i prowadziły dalej drogą, którą szli nasi myśliwi. Podążyłem za nimi z możliwie największą ostrożnością, ale i z wielkim po-śpiechem, tak że w niedługim czasie przebyłem spory odcinek drogi i dotar-łem do miejsca, gdzie wody rzeki Beefork wlewają się do Mankizity.

Jako że nie wiedziałem, gdzie ma się odbyć egzekucja, musiałem zdwoić ostrożność i zacząłem przekradać się, nie tracąc śladów z oczu. zaroślami.

W pewnym momencie rzeczka skręcała, zamykając z dwóch stron polanę, gdzie czarne szuwary ustąpiły miejsca bujnej trawie. Pośrodku polany rosła grupa balsamicznych świerków, pod którymi siedzieli myśliwi wiodąc ożywioną rozmowę. Więzień przywiązany był do drzewa, j

Dokładnie naprzeciwko mnie, najwyżej o długość trzech mężczyzn, z zarośli wyglądał na polanę Indianin i od razu oka stało się dla mnie jasne, że inni rozeszli się na prawo i lewo. aby zamknąć podglądanych z trzech stron, wyrznąć w pień lub wpędzić w nurty rzeki.

Nie było ani chwili do stracenia. Przyłożyłem sztucer do policzka i naci-snąłem spust. W pierwszych sekundach me strzały spowodowały jeden wiel-ki zamęt, jako że zarówno przyjaciele, jak i wrogowie byli wielce zaskoczeni nieoczekiwanym pokrzyżowaniem ich planów, a potem niemal za każdym krzakiem rozległo się przeraźliwe ho-ho hi, okrzyk wojenny Indian, i ze-wsząd posypały się strzały. W mgnieniu oka polana zapełniła się wyjącymi, jęczącymi i krzyczącymi ludźmi.

Prawie w tym samym czasie co Indianie i ja rzuciłem się do przodu, chcąc być przy Ellen, i zdążyłem jeszcze na czas, aby położyć trupem jednego

z czerwonoskórych, który ją zaatakował. Dziewczyna zerwała się i podnio-sła pistolet, aby zabić Paranoha, ale jeden z Indian przejrzał jej zamiar i przeszkodził w jego wykonaniu. Stojąc do siebie plecami albo opierając się o pnie drzew, myśliwi bronili się czym się dało przeciwko okrążającym ich czerwonoskórym. Byli to wszystko wytrawni, doświadczeni traperzy, mają-cy za sobą niejedną ciężką walkę, tym razem jednak stało się jasne, że mu-szą ulec przewadze, jako że stanowili dla Indian doskonały cel i prawie wszy-stkim zadano już rany.

Kilku Indian zaraz w pierwszej chwili rzuciło się do Paranoha i uwolniło go z więzów. Old Firehand i Winnetou, odepchnięci od niego, próbowali się znów przedrzeć w jego stronę i wreszcie im się to udało. Jednym silnym zamachem muskularny Paranoh wyrzucił ramiona w powietrze, aby poru-szyć zastałą krew, wyrwał z dłoni jednego ze swych ludzi tomahawk i zgrzyt-nąwszy zębami ruszył na Winnetou:

- Chodź tu, ty psie z Pimo! Teraz mi zapłacisz!

Apacz, nazwany obraźliwym mianem, jakie wrogowie używali wobec jego plemienia, rzucił się na niego, ale było widać, że nie sprosta swemu przeciwnikowi, któremu wściekłość zwielokrotniła siły, tym bardziej że już był ranny i w tym samym momencie został opadnięty ze wszystkich stron. Old

Firehanda też otaczali wrogowie, tak samo jak nas wszystkich, tak że nie mogliśmy przyjść sobie z pomocą.

Dłuższy opór byłby w tym wypadku prawdziwą głupotą i trzeba było zrezygnować z fałszywego poczucia honoru. Dlatego chwytając Ellen za rękę i przedzierając się przez krąg nieprzyjaciół krzyknąłem:

- Do wody, ludzie, do wody!

Mój krzyk, mimo hałasu toczącej się walki, został dosłyszany i komu udało się uwolnić, podążył za mną. Rzeka była głęboka, ale tak wąska, że aby dostać się na drugi brzeg, wystarczyło parę uderzeń wiosła. Naturalnie nie oznaczało to, że byliśmy już bezpieczni. Zamierzałem raczej przedostać się przez teren dzielący nas od Mankizity, a potem przepłynąć tę ostatnią. Właśnie wskazałem dziewczynie kierunek, w jakim mieliśmy się przedzie-rać, kiedy obok nas przemknął mały, krzywonogi człowieczek w ociekającej kurtce, chlupoczących mokasynach i mrugając małymi oczkami na biegną-cych za nim wrogów jednym susem dopadł łożyny i zniknął.

Natychmiast popędziliśmy za nim, jako że jego zachowanie zdradzało

zbyt jasno cel, abym się miał upierać przy mym poprzednim planie

90

91

- Ojciec, gdzie ojciec! - zawołała przerażona Ellen. - Muszę wracać do niego, nie mogę go opuścić!

- Chodźmy, panienko - nalegałem popychając ją do przodu. - Nie j możemy go uratować, jeśli sam się nie zdołał obronić!

Przedzierając się przez chaszczę tak szybko, jak się dało, dotarliśmy w końcu z powrotem nad Beefork, choć powyżej miejsca, gdzie wskoczyli-śmy do wody. Wszyscy Indianie ruszyli w pościg nad Mankizitę, lecz kiedy przeprawiliśmy się na drugi brzeg, mogliśmy czuć się w miarę bezpieczni.

Sam Hawkens jednakże zdawał się ociągać.

- Widzicie leżące tam strzelby, jak mi się zdaje, sir?

- Indianie je rzucili, zanim weszli do wody.
- Hi, hi, sir, co za głupi ludzie, że nam je zostawili, jeśli się nie mylę!
- Chcecie je zabrać? To niebezpieczne.
- Niebezpieczne? Sam Hawkens i niebezpieczeństwo!

Kilkoma skokami, które nadały mu wygląd ściganego kangura, znalazł się przy strzelbach i pozbiarał je z ziemi. Naturalnie podążyłem T& nim, a zobaczywszy porozrzucane naokoło łuki, poprzecinałem ich cięciw}', aby przynajmniej przez jakiś czas były bezużyteczne.

Nikt nie przeszkodził nam w tym zajęciu, gdyż czerwonoskórzy najwyraźniej nie podejrzewali, że paru prześladowanych znajdzie w sobie tyle zuchowałości i wróci na pole walki. Hawkens przyjrzał się z żalem trzymanemu naręczu, po czym wrzucił je do wody.

- Piękne sztuki, sir, piękne sztuki! Te szczury mogłyby coś wymyślić, jak mi się zdaje, i nikt by im w tym nie przeszkodził. Ale chodźcie, tu nie jest bezpiecznie, jeśli się nie mylę!

Wybraliśmy najkrótszą drogę, przedzierając się przez gęsty las i mijając w pośpiechu porośnięte z rzadka połacie, aby tak szybko, jak to możliwe, znaleźć się w obozie. Nad Beeforkiem była tylko część Indian, a gdy zorientowałem się, że nas obserwowano, doskonale wiedząc o miejscu naszego pobytu, mogłem przypuszczać, że reszta wykorzysta nieobecność myśliwych i napadnie na tych, co zostali w „twierdzy”.

Jeszcze mieliśmy przed sobą spory kawałek drogi, gdy z tamtej strony doszedł nas odgłos strzału.

- Naprzód, sir! - krzyknął Sam Hawkens przyspieszając. - Tam wprzodzie jest wesoło, tak mi się zdaje. Przecież nie możemy zostawić biednych czerwonych samych przy tej rozrywce, jeśli się nie mylę!

Ellen nie odezwała się i z twarzą, na której malował się lęk, szła z pośpiechem do przodu. Stało się tak, jak przepowiedziałem, a chociaż nie czytałem jej wyrzutów, widać było po niej, że zdaje sobie sprawę z własnej winy.

Strzały rozległy się na nowo, nie pozostawiając nam wątpliwości, że po zostali myśliwi walczą w

tej chwili z Indianami. Tu potrzebna była szybka pomoc i mimo że teren był bardzo trudny do sforsowania, w krótkim czasie udało nam się dotrzeć do doliny, z której już niedaleko było do naszej „twierdzy”. Zatrzymaliśmy się naprzeciw wejścia, gdzie wcześniej odkryłem ślady Indian. Czerwonoskórzy najwyraźniej ukryli się w gąszczu na brzegu lasu, blokując „wodną bramę”. Jeśli więc chcieliśmy, aby nam się powiodło, musieliśmy zająć ich od tyłu.

Naraz usłyszeliśmy za sobą szmer, jak gdyby ktoś przedzierał się w pośpiechu przez gąszcz. Na dany przeze mnie znak tamtych dwoje skryło się w gęstym listowiu krzaka. Jakże wielka była nasza radość, gdy rozpoznaliśmy Old Firehanda, za nim Winnetou i jeszcze dwóch myśliwych. A więc uszli wrogom, a choć Ellen nie okazała radości w wyraźny sposób, przekonałem się, że jej serce zdolne jest do głębszych uczuć, i to mnie z nią całkiem pogodziło.

- Słyszeliście strzały? - spytał szybko Old Firehand.

-Tak.

- A więc naprzód! Musimy pośpieszyć z pomocą naszym. Choć wejście jest tak wąskie, że z powodzeniem może go bronić jeden człowiek, to przecież nie wiemy, co się stało.

- Nic się nie stało, sir, jeśli się nie mylę - zauważył Sam Hawkens. - Czerwoni odkryli nasze gniazdo i rozłożyli się pod nim, aby zobaczyć, co wymyślimy, jak mi się wydaje. Will Bulcher, który stoi na warcie, posłał w ich stronę trochę ołowiu, i ten cały hałas nie znaczy nic ponadto, że zdobędziemy jeszcze parę szczurzych skór.

- Możliwe, że tak jest, ale mimo to musimy się tam dostać, aby zdobyć pewność. Trzeba też mieć na uwadze, że nasi prześladowcy wkrótce tu się zjawią i wtedy będziemy mieli do czynienia z podwójną liczbą Indian.

-A nasi rozproszeni ludzie?

- Hm, tak, potrzebujemy każdej pary rąk, nie możemy się bez niej obyć.

Nie da się tam wejść w pojedynkę, musimy się zatem rozejrzeć, czy jeszcze ktoś mógłby nam przyjść z pomocą.

93

- Moi biali bracia mogą tu zostać. Winnetou pójdzie się rozejrzeć, na którym drzewie wiszą skalpy Oglala.

Nie czekając odpowiedzi odszedł, a my nie mogliśmy zrobić nic innego. jak go posłuchać.

Usiedliśmy zatem, aby czekać jego powrotu. W tym czasie udało się nam sprowadzić jeszcze dwóch z naszych ludzi. Oni też usłyszeli strzały, przybiegli więc na pomoc, bo ta mogła okazać się potrzebna. Przyczyną naszego szczęśliwego odnalezienia się było to, że wszyscy obraliśmy najkrótszą drogę przez las, a choć nie było takiego, który by w czasie napadu nie otrzymał jakiejś rany, to mieliśmy przeświadczenie, że szczęśliwie wy-dostaniemy się z matni.

Było nas dziewięcioro, liczba, która wyteżywszy wszystkie siły mogła już coś zdziałać. Minęło sporo czasu, lecz Winnetou nie wracał, ale gdy uka-zał się naszym oczom, zobaczyliśmy świeży skalp u jego pasa. A więc „zga-sił” po cichu jednego z Indian, co oznaczało, że nic możemy tu zostać dłużej, bo gdy Indianie zauważą zabitego, natychmiast się zorientują, że podeszli-śmy do nich od tyłu.

Zgodnie z radą Old Firehanda mieliśmy się rozciągnąć szeregiem na skraju zarośli, napaść wroga od tyłu i wypędzić go z kryjówki. Przyproceedziwszy do porządku naszą zamkniętą broń, rozdzieliliśmy się i nie minęło kilka minut, a dziewięć strzelb wystrzeliło jedna po drugiej. Każda kula dosięgła człowieka, a powietrze wypełniło przerażone wycie napadniętych znienc-ka.

Ponieważ nasza linia była dość rozciągnięta i nieustannie padały strzały, Indianie uznali widocznie, że jest nas dużo więcej, niż było w istocie, i rzu-cili się do ucieczki. Ale zamiast uciekać w kierunku doliny, gdzie byliby dla nas pewnym celem, przedarli się między nami zostawiając zabitych, których od razu opadali nasi myśliwi, chcąc zdjąć skalpy.

Trzymający wartę Bili Bulcher w porę zauważył zbliżających się Indian i zdążył jeszcze wycofać się do „twierdzy”. Popędzili za nim, jednakże gdy on i biegnący tuż obok Dick Stone oddali do nich z przesmyku kilka strza-łów, wrócili i ukryli się w gąszczu, z którego ich teraz przepędziliśmy.

Tamci dwaj byli ciągle jeszcze w „wodnej bramie”! ze względów ostroż-ności nie mogli wyjść, dopóki się nie ukazaliśmy. Kiedy to nastąpiło, oni i inni, którzy zostali, zebrali się wokół nas i wysłuchali relacji o tym, co się stało.

94

Ostatnim, który wyszedł z zarośli, był Mały Sam i od razu przystąpił do Dicka Stone’a.

- Popatrz, człowieku, jaką robotę odwalił mój nóż, jak myślę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, przy czym gąszcz brody starego myśli-wego zjeżył się jak kolce jeżozwierza. i z dumą podsunął zagadniętemu do-piero co zdobyte skalpy.

- Hm, tak! A przedtem pozwolili ci się powystrzelać?

- Nie obrażaj mnie. ty stary skunksie! Sam Hawkens wie, dokąd posłać kulkę, jeśli się nie mylę. ale u Dicka Stone’a jest naturalnie inaczej.

- Stul gębę. człowieku, bo dobiorę się do twojej brody. Jeśli Dick Stone zapragnie skalpów, to

je znajdzie. Tak będzie!

Kilkoma szybkimi krokami odszedł na bok, gdzie na brzegu wody leżeli Indianie, którzy padli pod kulami myśliwych przy pierwszej próbie sforsowania wodnej bramy. Zdjął z nich skalpy, dwa powiesił u swego pasa, a trzeci wręczył Bulcherowi

- Masz tu swoją część, Bili. Nie było pod nim za wiele mądrości, bo inaczej czerwony nie zapędziłby się pod nasze strzelby. Noś go na szczęście, stan' bizonie, a tego. co ci wyrosło nad uszami, pilnuj, abyś nie musiał para-dować w takiej czapce jak ten nasz Goliat, Sam Hawkens.

- Dajcie spokój, ludzie. Pomyślcie lepiej o tym, abyśmy jak najszybciej znaleźli się w bezpiecznym miejscu, bo nie potrwa długo, a będziemy mieć tu z powrotem czerwonoskórych.

- Powitam ich z rozkoszą! - mruknął Sam Hawkens. - Chcę z nimi zamienić słówko na temat skakania do wody, jak myślę. Z kurtki lało się jak z cebra, a w butach mi do tej pory chlupocze, jakby moje stare nogi tkwiły w mule Missisipi, jeśli się nie mylę. Niech tu przyjdą, moją Liddy świerzbi lufa!

W tym samym momencie zadudniło, jakby w pobliżu przebiegało stado bawołów. Natychmiast skoczyliśmy w krzaki i złożyliśmy się do strzału. Wielkie było nasze zdumienie, gdy zobaczyliśmy stado oswojonych koni, a na samym przedzie na jednym z nich mężczyznę w ubraniu myśliwskim. Z rany w głowie lała mu się krew, tak że jego twarz była nie do rozpoznania.

Na ciele też miał wiele ran i najwyraźniej ostatnim wysiłkiem woli trzymał się na koniu. Zatrzymał się dokładnie w miejscu, gdzie zwykle stał wartownik. rozglądając się za nim. a nie widząc go ruszył dalej potrząsając głową

95

i zeskoczył z konia przy „wodnej bramie”. Wtem rozległ się obok mnie| w krzakach głośny głos:

- Dam się obedrzeć ze skóry, jeśli to nie jest Will Parker! Nikt nie spada tak pięknie z konia jak

on, tak mi się przynajmniej wydaje!

- Macie rację, stan' szopie! To Will Parker, greenhorn, słyszałeś. Sa-mie Hawkensie? Will Parker greenhornem, cha cha cha!

Kiedy ujrzał nas wychodzących z krzaków, zawołał:

- Nie wierzę własnym oczom! Są tu wszyscy, skoczki, którzy z synem mej matki tak dzielnie uciekali przed czerw onoskóry mi! Cóż, panie, nie we-źcie mi za złe tego, co powiem, ale niekiedy ucieczka jest lepsza niż otwarta walka.

- Wiadomo, człowieku - odezwał się Old Firehand. - Ale powiedz-cie, co to za konie?

- Hm! Pomyślałem, że czerwone psy wszędzie będą szukać Willa Par-ker-a, tylko nie w swym własnym obozie. Rozglądałem się za mym wierz-chowcem, a że był nie do odnalezienia, greenhorn, słyszysz. Samie Hawken-sie, cha cha cha, greenhorn podkradł się do miejsca, gdzie trzymali konie. Wylecieli z gniazda, ptaszki, ale dwóch z nich zostawili przy koniach, aby mi mogli oddać swe skóry. Stało się według ich woli!

Wskazał przy tym na wiszące u pasa skalpy.

- Sam je zdobyłem, nie zawdzięczam ich temu... temu... temu młode-mu człowiekowi. Samie Hawkensie. To była zła robota, mówię, kosztowała mnie parę dziur w ciele, ale Will Parker chciał sprawić radość Indianom i zrobił porządek z ich końmi. Nic niewarte wypędził na prerię, a dobre wziął ze sobą. Oto one! l

- Hm, tak musi być! - zawołał Dick Stone, pełen podziwu dla tego| bohaterskiego czynu. <

- Naturalnie, że tak musi być - potwierdził Parker. - Jak zabierzemy tym od strzał konie, to skończą marnie. Ależ tu leż} ' trzech z nich! Aha, byli tutaj, dlatego legowisko stało puste! Spójrzcie na tego kasztana, sir. Prawda, że piękny'? Musiał należeć do wodza.

- Wyprowadziliśmy go też chętnie na spacer, jeśli się nie mylę - burk-nął Mały Sam. - To był bezbożny żart, jak myślę.

Old Firehand nie słyszał tego wyrzutu. Podeszedł do kasztana i oglądał zwierzę z podziwem.



- Co 7& rumak! - zwrócił się do mnie. - Gdyby mi kazano wybierać, nie wiem, czy wybrałbym Swallowa, czy tego tutaj.

- Winnetou rozmawia z duszą rumaka i słucha pulsowania krwi w jego żyłach. Wzięłyby Swallowa - rozstrzygnął Apacz.

Naraz rozległ się ostry świst; na ramieniu Hawkensa wylądowała strzała, ale zsunęła się po sztywnej jak deska, twardej skórze rękawa na ziemię i w tym samym momencie z gąszczy zabrzmiało ogłuszające ho ho hi. Mimo tej wojennej demonstracji żaden z Indian nie pokazał się. Sam podniósł strzałę z ziemi i oglądając ją roześmiał się:

- Cha cha cha, kaftana Sama Hawkensa nie ima się coś takiego Przez trzydzieści lat naszywał jedną łatę na drugą i jest w nim teraz bezpieczny jak święty Jakub na tonie Abrahama, jeśli się nie mylę.

Nie słyszałem dalszej części jego skierowanej do ubrania ody, jako że naturalnie natychmiast zaszyliśmy się w zaroślach, aby należycie odpowiedzieć na to niezbyt przyjazne powitanie. Gdybyśmy chcieli uciec do „twierdzy”, odbywałoby się to powoli z powodu wąskiego wejścia i z braku jakiejkolwiek osłony wystrzelaliby nas jak kaczki. Musielibyśmy też wtedy zostać zdobyte konie, ponieważ ich transport przez skalny przesmyk wstrzymałby nas zbyt długo. Z okoliczności, iż wróg nie przystąpił do ataku, można było z dużą dozą prawdopodobieństwa wnioskować, że nie jest zbyt liczny i że brakuje mu broni, którą zabraliśmy z Samem, albo przynajmniej uszkodziliśmy, aby nie nadawała się do strzelania.

Ten cały hałas nie był niczym innym, jak demonstracją ducha walki Indian, których zresztą zapędziliśmy daleko w krzaki, ale żadnego z nich nie widzieliśmy na oczy. Wycofali się najszybciej, jak mogli, i czekali teraz na posiłki, a my, pouczeni tym nieszkodliwym wydarzeniem, nie zostaliśmy tu dłużej, lecz schroniliśmy się w „twierdzy”.

Jeden z tych, którzy nie wybrali się nad Beefork, a więc nie zmęczony stanął na warcie, gdy tymczasem inni opatrywali rany, zgromadzili się przy posiłku albo poszli spać.

Przy ognisku, miejscu zebrań wszystkich, zapewniającym możliwość wy-

gadania się, trwała ożywiona rozmowa. Każdy z siedzących wokół ognia

musiał koniecznie opowiedzieć o dokonanych przez siebie czynach i przed-

stawić własny punkt widzenia. Wszyscy trwali w uspokajającym przekonaniu, że od czerwonoskórych nic im nie grozi. Liczba zdobytych skalpów była

97

pokaźna, przygody skończyły się zwycięstwem, a żadna z ran nie wyglądała szczególnie groźnie. Do tego miejsce naszego pobytu wydawało się w pełni bezpieczne, dobrze zaopatrzone w prowiant i amunicję, zatem wrogowie mogli okupować wejście, jak długo im się podobało, albo sobie rozbić głowy o sterczące naokoło skały.

Nawet Old Firehand podzielał ten pogląd, jednakże Winnelou zdawał się być innego zdania. Rozciągnął się na trawie z dala od innych w pobliżu własnego konia i wyglądał na pogrążonego w głębokich rozmyślaniach.

- Oko mego czerwonego przyjaciela błyska ponuro, a czoło zmarszczyło się od trosk. Jakie myśli mieszkają w jego sercu? - spytałem przystępując do niego.
- Wódz Apaczów widzi śmierć wdzierającą się przez skalne wejście i zgubę zstępującą z gór. Kotlina zostanie zalana morzem ognia, a wody strumienia będą czerwone od krwi zabitych. Winnetou rozmawia z Wielkim Duchem. Oczy bladych twarzy zaślepiła nienawiść, a ich mądrość służy ze-mście. Paranoh przyjdzie i zdejmie skąpy myśliwych, ale Winnetou przygotował się do walki i zaintonuje nad ciałami wrogów pieśń śmierci.
- Jakże Oglala zdołają wdrzeć się do naszego obozu? Przecież nie potrafią wejść przez bramę.
- Mój biały brat wypowiada słowa, ale sam w nie nie wierzy. Czy jedna strzelba powstrzyma czerwonych wojowników, jeśli wtargną przez wąwóz?

Miał rację. Z niewielką liczbą wrogówjednemu pilnującemu przesmyku mogło się poszczęścić, ale nie z taką hordą, jaka stała naprzeciwko nas. Po-nieważ na razie próbował wdrzeć się zawsze tylko jeden człowiek, wystarczył jeden obrońca, ale gdy natrze cała masa, kilku z przodu zostanie zabitych, ale to nie przeszkodzi wdarciu się pozostałych.

Powiedziałem o tym Old Firehandowi, ale on odparł:

- Nawet jeśli się odważą, to łatwo uporamamy się z każdym z osobna, gdy będą przechodzić przez przesmyk.

Brzmiało to prawdopodobnie i musiałem się tym zadowolić, chociaż wiedziałem, że najmniejszy przypadek wystarczy), aby przekreślić te nadzieje.

Gdy zapadła noc, czujność została oczywiście podwojona, a chociaż na swoje wyraźne życzenie miałem stać na warcie dopiero o świcie, w por./e. kiedy Indianie atakują najchętniej, nie mogłem zaznać spokoju i na wszelki wypadek trwałem w czujnej gotowości.

98

Nad kotliną leżała cicha, spokojna noc. Pośrodku płonęło ognisko, rzucając drżące światło na otoczenie. Swallow, który mógł się poruszać swobodnie na tej zamkniętej ze wszystkich stron górą równiną, pasł się w jej tylnej, spoczywającej w głębokim cieniu części. Poszedłem zobaczyć, gdzie jest. i znalazłem go na samym brzegu kotliny, tuż pod piętrzącymi się skałami. Wymieniwszy z nim zwykle pieśczęty, już miałem się oddalić, gdy cichy stukot kazał mi nadstawić uszu.

Także koń podniósł głowę, a że nawet oddech mógł zdradzić naszą obecność. zatkałem mu co prędzej ręką rozszerzające się już podejrzeniem no-zdrza. Choć z góry nikt nie mógł nas zobaczyć, z dołu na tle rozjaśnionego światłem księżyca nieba mogłem rozpoznać każdy przedmiot, tak więc wytężonym wzrokiem szukałem przyczyny, która sprawiła obsunięcie się kamienia.

W pierwszych sekundach po jego upadku nic nie rzuciło mi się w oczy. W każdym razie ten ktoś równie dobrze jak ja mógł usłyszeć drobny łomot i chciał odczekać chwilę, aby się upewnić, czy nikt tego nie zauważył.

Owo przypuszczenie okazało się ze wszech miar słuszne. Po jakimś czasie zobaczyłem na tle nieba wiele postaci, które oderwały się od ciemnej grani i jedna po drugiej zaczęły schodzić powolnymi, ostrożnymi krokami w dół za pierwszym, zda się obznajomionym z miejscem, i w niecałe dwie minuty mogły osiągnąć dno kotliny.

Gdybym miał przy sobie sztucer, z łatwością strąciłbym go na dół i zaalarmował w ten sposób pozostałych. Był przewodnikiem i inni nie odważyli-by się nawet na jeden krok w tym niebezpiecznym terenie. Niestety miałem za pasem tylko rewolwer, który nie był przeznaczony do strzałów na taką odległość. Mogłem też podnieść krzyk, ale wtedy wróg zdążyłby zejść na dół, zanim nadeszła by pomoc, i sam znalazłbym się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Musiałbym wtedy uciekać i opuścić moje schronienie wśród krzaków, wystawiając się na cel strzelbom czerwonoskórych. Dlatego obrałem inną taktykę.

Paranoh, jako że to on kroczył na przedzie, a najwyraźniej nie po raz

pierwszy szedł tą drogą, znajdował się właśnie w pobliżu skalnej ściany,

99

którą musiał się spuścić na dół. Gdybym dotarł do niej przed nim, z łatwością dosięgłaby go moja

kula. dlatego po krótkim namyśle zacząłem wspiąć się do góry. Ukrywszy się za załomem skalnym, mogłem jak nic stawić im opór i zlikwidować jednego po drugim, w miarę jak będą nadchodzić.

Zaledwie zrobiłem pierwszy krok. gdy w wodnej bramie padł strzał, a po nim przyszły następne. Pojąłem natychmiast przebiegły plan Indian, którzy upozorowali napad przy wejściu, aby odwrócić naszą uwagę od grożącego nam gdzie indziej, właściwego niebezpieczeństwa. Z tym większym pośpiechem wspinałem się więc do góry i już byłem tak blisko skaty, że nieledwie mogłem dosięgnąć ją ręką, gdy zwał kamieni przede mną obsunął się i spadłem objając się o głazy tam, skąd przybyłem, tracąc na chwilę przytomność.

Kiedy otworzyłem na nowo oczy i udało mi się zebrać myśli, zobaczyłem i pierwszego z Indian zaledwie o parę kroków ode mnie i. choć rozbity i obolały, skoczyłem na równe nogi i wystrzelałem cały magazynek w kierunku ciemnych posatci, po czym wskoczyłem na grzbiet Swallowa i ruszyłem gałopem w kierunku ogniska. Nie wolno mi było wystawiać dzielnego wierzchowca na niebezpieczeństwo zostawiając go samemu sobie.

Oglądał. widząc, że zostali odkryci, wydali kilkakrotnie swój okrzyk bojowy i popędzili za mną, osiągnąwszy jeden za drugim dno kotliny.

Plac wokół ogniska znalazłem pusty. Myśliwi runęli do wejścia i dopiero, na odgłos moich strzałów zawrócili z powrotem. Przyjęli mnie gorączkowo wykrzykiwanymi pytaniami.

- Indianie! - krzyknąłem. - Do pieczar, szybko! s

Była to jedyna możliwość ratunku wobec przeważającej liczby Indian, j W pieczarach bylibyśmy bezpieczni i nie tylko że moglibyśmy ich powstrzymać, ale nawet wystrzelać do ostatniego człowieka. Dlatego krzyżąc rzuciłem się w kierunku „buduaru”, który służył mi za sypialnię, lecz było już za ;

późno.

Czerwonoskórzy deptali mi po piętach i choć jeszcze nie nadbiegli wszyscy ich pobratymcy, rzucali się, co nie było w ich zwyczaju, natychmiast na myśliwych, dla których ich niewytłumaczona obecność była takim zaskoczeniem, że dopiero wtedy pomyśleli o obronie, gdy broń wroga zaczęła siać spustoszenie.

Może jeszcze zdążyłbym do miejsca schronienia, gdyby nie to, że zobaczyłem Ellen, Old Firehanda i Willa Parkera zagrożonych przez Indian, ruszyłem więc z pomocą.

- Szybko, pod skałę! - wrzasnąłem i runąłem na koniu w sam środek czerwonoskórych, co na moment zbiło napastników z tropu i zyskaliśmy w ten sposób cenny czas, aby dopaść pionowej

skały, gdzie byliśmy zabezpieczeni od tyłu.

- Czy tak musi być, jeśli się nic mylę? - zawołał w naszym kierunku głos ze szczeliny w skale, która była akurat na tyle szeroka, że mógł się tam wcisnąć człowiek. - Sam Hawkens, stary traper, został zdradzony!

Przebiegły człowieczek był jedynym, który zachował przytomność umysłu, i w kilka sekund zaszył się w kryjówce. Niestety przekreśliliśmy jego wysiłki, obierając za swój cel miejsce, gdzie znalazł schronienie. Mimo to pośpiesznie wyciągnął rękę i chwycił Ellen za ramię.

- Mała miss może schronić się tu w gnieździe, tak myślę, jest jeszcze dla niej miejsce, jak mi się zdaje.

Naturalnie czerwonoskórzy rzucili się za nami i teraz napierali na nas z dziką energią. Na szczęście wszyscy myśliwi mieli przy sobie broń. Wprawdzie w bezpośredniej walce strzelby były bezużyteczne, ale za to tym większe spustoszenie siał wśród Indian tomahawk.

Tylko Hawkens i Ellen czynili użytek ze swej broni. On ładował, a ona, stojąc w szparze pomiędzy mną a Old Firehandem, oddawała strzały, którym towarzyszył błysk ognia.

To była dzika, okrutna walka, jaką z trudem odmalowałyby najśmielsza wyobraźnia. Na wpół zagasłe ognisko rzucało trochę drżącego, przyciemnionego światła na przednią część kotliny, gdzie walczące postacie przypominały demony, które wydostały się na powierzchnię ziemi. Poprzez wrzaski Indian przebijały się pojedyncze nawoływania traperów i ostre, krótkie dźwięki strzałów, a ziemia zdawała się drzeć pod ciężkimi, dudniącymi krokami nacierających na siebie.

Nie ulegało wątpliwości: byliśmy straceni. Liczba Oglala była tak znaczna, że nie mogliśmy marzyć o utrzymaniu się. Równie mało jak korzystnego dla nas zwrotu sytuacji, mogliśmy się spodziewać, że uda nam się przebić, dlatego każdy z nas żywił głębokie przekonanie, że wkrótce pożegna się z życiem. Ale nie chcieliśmy umierać daremnie i choć byliśmy przygotowani na los, jaki miał nas

spotkać, broniliśmy się ze wszystkich sił i z zimną zaciętością, która daje białym przewagę nad mieszkańcami amerykańskich stepów.

100

101

W środku krwawego kręgu pomyślałem o starych rodzicach, których zostawiłem w ojczyźnie i którzy od dłuższego czasu nie mieli znaku życia ode mnie. Czym prędzej odepchnąłem te myśli od siebie, gdyż chwila obecna wymagała nie tylko największego wysiłku, ale i wyjątkowej przytomności umysłu.

Przewidywałem, co się stanie, radziłem, ostrzegałem, a teraz musiałem pokutować za grzechy innych. Byłem skazany nieodwołalnie na śmierć, tak jak i ona, która zawładnęła wszystkimi moimi myślami i pragnieniami, a teraz broniła w tyle za mną z nieustraszoną męską odwagą własnego życia. Na obranej przez siebie błędnej drodze życia prędzej czy później spotkałby ją taki sam los. Opadła mnie złość, jakiej nie odczuwałem jeszcze nigdy, i go-rycz, a one tak podwoiły moje siły, że machałem jak opętany tomahawkiem, aż ze szczeliny rozległ się pełen uznania głos:

- Właśnie tak, sir, właśnie tak! Sam Hawkens i \ly

, pasujemy jeden do drugiego, tak myślę. Szkoda, /c przyjdzie nam zginąć! Moglibyśmy jeszcze wspólnie złović niejedną szczurzą skórę, jeśli się nie mylę!

Walczyliśmy cicho, była to milcząca, ale przez to jeszcze straszliwsza praca, dlatego słowa małego trapera zabrzmiały tak wyraźnie. Usłyszał je także Will Parker, który mimo odniesionych poprzedniego dnia obrażeń siał spustoszenie kolbą strzelby, i krzyknął

- Spójrz tutaj. Samie Hawkensie, ty' stary szopie, jeśli chcesz widzieć, jak to się robi, wyłaż z dziury i powiedz, czy greenhorn. cha cha cha, Will

Parker greenhornem, słyszysz, Samie Hawkensie, czy s,reenhorn się czegoś nauczył!

Niecałe dwa kroki po mojej prawej ręce stał Old Firehand. Choć do tej pory mi się zdawało, że jego sława jest nieco przesadzona, mogło zresztą być i tak, że wiek zrobił swoje, ale teraz jakby powróciła weń cała uparta mło-dzieńcza siła i sposób, w jaki obiema rękami rozprawiał się z

nacierającymi na niego czerwonoskórymi, wzbudził mój najwyższy podziw.

Spryskany krwią, opierał się o skalną ścianę. Z jego głowy zwisały zlepione krwią pasma długich, siwych włosów. W jednej ręce trzymał ciężki tomahawk, w drugiej ostry, lekko zakrzywiony nóż i z potężną siłą odpierał ataki. Był pokryty ranami bardziej niż ja, ale jeszcze nikt nie zdołał powalić go na ziemię i wciąż od nowa podnosiłem z uznaniem wzrok na jego wysoką, wyprostowaną postać.

Wtem w gromadzie Indian zakotłowało się. To Paranolli torował sobie drogę przez ciżbę, a ujrawszy Old Firehanda ryknął:

- Wreszcie cię mam! Wspomnij Ribannę i giń!

Minął mnie chcąc rzucić się na niego, ale w ostatniej chwili chwyciłem wzniesione do śmiertelnego ciosu wrogie ramię. Rozpoznając mnie odskończył do tyłu, tak że mój tomahawk przeciął powietrze.

- Ty też tu? - wrzasnął. - Muszę cię dostać żywego!

Zanim zdążyłem zamachnąć się na nowo tomahawkiem, podniósł pistolet. Huknął strzał, Old Firehand rozkrzyżował ramiona w powietrzu i rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół, po czym nie wydawszy dźwięku runął na ziemię.

Było mi tak, jak gdyby to mojej piersi dosięgła kula, takim bólem przeszły mnie upadek bohatera. Powaliłem na ziemię Indianina, z którym właśnie miałem do czynienia, i chciałem natrzeć na Paranoha, gdy zauważyłem ciemną postać, która ze zręcznością zmieniła przemknęła między nieprzyjaciółmi i dokładnie przed mordercą wyrzuciła w górę sprężyste ramiona.

- Gdzie jest ropucha Atabasków? Winnetou, wódz Apaczów, przyszedł pomścić śmierć swego białego brata!

- Ha! Pies z Pimo! Idź do diabła!

Więcej nie słyszałem. Owo zajście w takim stopniu przykuło moją uwagę, że zapomniałem o obronie. Jakiś wąż opasał mnie szyję, poczułem mocne pchnięcie i jednocześnie silne uderzenie w głowę, a potem straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, naokoło było ciemno i cicho. Na próżno zachodziłem w głowę, jak znalazłem się w tych ciemnościach. Palący ból w głowie przypominał mi o ciosie, jaki otrzymałem.

Poszczególne fragmenty wydarzenia zaczęły układać się w pełny obraz całości. Do wspomnianego bólu doszła jeszcze męka, jaką sprawiały rany i więzy, założone na ręce i nogi z wyjątkową skutecznością, tak że wrzynały mi się głęboko w ciało uniemożliwiając wszelkie ruchy.

Wtem usłyszałem obok siebie odgłos przypominający ludzkie chrząknięcie.

- Jest tam kto? - spytałem.

- Hm, naturalnie! Pytasz, człowieku, jakby Sam Hawkens był nikim, jeśli się nie mylę.

- To wy? Powiedźcie, na miłość boską, gdzie jesteśmy!

- Pod całkiem znośnym dachem, człowieku. Trzymają nas w schowku

102

103

ze skórami, tak myślę, które tak skrzętnie ukryliśmy. A nie powinni byli znaleźć żadnej, mówię, żadnej!

- A co z innymi?

- Nie najlepiej, sir. Old Firehand nie żyje. Dick Stone nie żyje. Will Parkcr nie żyje, to jednak był greenhorii. człowieku, hihhi, green/i orn, mówię, ale nie chciał wierzyć, jeśli się nie mylę. Bili Bulcher nie żyje, Harry Korner nie żyje. wszyscy, wszyscy zginęli, zostaliście tylko wy i Apacz, w malej miss jeszcze tli się życie, jak mi się zdaje, no i Sam Hawkens, hm, może jednak go nie całkiem zabili, hihhi!

- Wiecie na pewno, że Ellen żyje? - spytałem pośpiesznie.

- Myślicie, że taki stan wyga jak ja nie wie, co widzi, człowieku? Wrzucili ją do pieczary obok, i tego waszego czerwonego przyjaciela też. Pewnie chcecie tam iść. ale nie otrzymacie audiencji, jak mi się zdaje.

- A co z Winnetou?

- Dziura na dziurze, sir! Jeśli z tego wyjdzie, będzie wyglądał jak ten stary kaftan z tatą na łacie i cerą na cerze, w który tak pięknie zawinięto Sama Hawkensa.

- Na razie trudno myśleć o wyjściu. Ale jak dostał się żywy w ich ręce?



- Dokładnie tak jak wy i ja. Bronił się jak poganin, hm, zresztą nim jest, jeśli się nie mylę, hihhi. Ja wolałbym zginąć niż smażyć się przy palu, ale trudno, zwalili mnie z nóg i połamali wszystkie gnaty. Nie chcecie stąd, wyjść? Sam Hawkens ma na to straszną ochotę, jak mi się zdaje.

- Co zrobić z ochotą, skoro to niemożliwe?

- Niemożliwe? Hm, mówicie dokładnie tak samo jak Will Parker! Do-brzy ludzie z tych czerwonych, dobrzy, zabrali staremu szopowi wszystko, wszystko, pistolet, fajkę, hihhi. ale się zdziwią, gdy ją powąchają, śmierdzi jak skunks! Pewnie im się spodoba! I moją Liddy diabli wzięli, biedna Lid-dy! Co za szakaiją porwał! I kapelusz z peruką. Będą się dziwić skalpowi, hihhi, kosztował mnie dwa okazałe pęczki skórek bobrowych wtedy w Te-kamie, wiecie już, jak myślę. Ale nóż Samowi Hawkensowi zostawili. Tkwi w rękawie. Stan' niedźwiedź schował go tam, gdy zobaczył, że koniec z kwaterą w szczelinie, jak mi się zdaje.

- Macie nóż? Nie mogło się lepiej złożyć!

- Też tak myślę, sir. Musi trochę pomóc synowi mej matki.

- Dawajcie go! Zobaczymy, co się da zrobić.

104

Jeszcze nie zacząłem się przetaczać w jego stronę, kiedy odchyliła się skóra zasłaniająca wejście i do środka wszedł Paranoł z kilkoma Indiana-mi. Trzymał w ręce pochodnię, którą oświetlił nasze twarze. Nie zadałem sobie trudu, aby udać nieprzytomnego, ale też nie zaszczyliłem go ani jed-nym spojrzeniem.

- A więc mamy cię wreszcie! - warknął. - Byłem ci coś winien, ale teraz nie powinieneś się skarżyć. Znasz to?

Podsunał mi przed oczy skalp, ten sam, który zdarł mu Winnetou. Za-tem wiedział, że to ja go przebiłem. Apacz nie oświecił go pod tym wzglę-dem, tego byłem pewien, ponieważ wiedziałem, że na każde z postawionych mu pytań odpowie dumnym milczeniem. Może Finnetey zauważył mnie tam-tego wieczoru w blasku ogniska albo w momencie naszego starcia rzucił okiem na moją twarz. Oczywiście nie odpowiedziałem, lecz on nie zrażony mówił dalej:

- Dowiedcie się, wszyscy, jak to jest, kiedy komuś ściągają skórę przez uszy. Poczekajcie tylko trochę, aż zrobi się dzień. Wtedy będziecie się cie-szyć moją wdzięcznością.

- Nie cieszcie się na zapas, jak mi się zdaje - zauważył dźwięco Sam Hawkens, którego nic nie potrafiło nastraszyć. - Jestem ciekaw, którą skórę ściągniecie przez uszy Samowi Hawkensowi. Macie już przecież jedną w rękach, upiękzoną przez fryzjera. Jak ci się podoba jego robota, ty stary yambarico ?

-Możesz kpić sobie do woli. Starczy ci skóry- aby cię z niej oblupić, nie ma obawy - sprawdził nasze więzy i ciągnął: - czyżbyście sądzili, że Tom Finnetey nie zna waszej pułapki na myszy? Byłem wtej kotlinie, kiedy ten... ten pies Firehand, niech będzie przeklęta jego dusza, jeszcze nie przeczuwał jej istnienia, wiedziałem też, że ją zagarnęliście. On mi o tym powiedział!

Wyciągnął zza pasa nóż i podsunął drewniany trzonek przed oczy Samo-wi. Ten rzucił okiem na wyryte tam litery i wykrzyknął:

- Fred Owins! O, to był zbój wszech czasów. Chyba drogo sprzedał ten nóż, jak mi się zdaje.

- Myślał, że się wykupi zdradzeniem mi tajemnicy, ale się przeliczył, zabrałem mu życie i skórę, zupełnie tak, jak się stanie z wami, tyle że w odwrotnej kolejności: najpienv skóra, a potem życie.

- Rób, co chcesz! Sam Hawkens sporządził już testament, a tobie zapi-sał rzecz zwaną peruką, jeśli się nie mylę. Niech ci się dobrze nosi, hihhi!

105

Paranoh kopnął go ze złością i wyszedł ze swymi milczącymi towarzyszami. Przez chwilę leżeliśmy bez ruchu, nie odzywając się do siebie, a gdy poczuliśmy się bezpieczni, przetoczyliśmy się i leżeliśmy teraz ciasr obok siebie. Mimo że miałem mocno związane ręce, udało mi się Jedną wyciągnąć nóż z rękawa Sam i z jego pomocą przeciąć mu więzy na rękacn W chwilę później staliśmy już prosto, mając wolne ręce i nogi, i rozcierali śmy zdrewniałe pod więzami części ciała.

- Sam Hawkens nie jest wcale taki głupi, jak myślę - pochwalił są siebie mały mężczyzna. - Nieraz się bywało w opalach, ale tak źle jak dz nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Trzeba będzie dobrze pokręcić głową, ja wyjść z tego cało, jeśli się nie mylę, hihhi!

- Zobaczmy przede wszystkim, co dzieje się na zewnątrz.

- Tak, sir, to pierwsze, co trzeba zrobić.

- Musimy postarać się o broń. Wy macie nóż, ale ja jestem czysty.

- Coś się znajdzie, nie ma strachu!

Podkradliśmy się do wyjścia i rozsunęliśmy nieco służące za zasłon skóry. Właśnie kilku Indian wyciągnęło z sąsiedniej pieczary więźniów a od placu obozowego zbliżał się Parano. Było już prawie jasno, tak i\ mogliśmy objąć wzrokiem całą kotlinę. Niedaleko od wodnej bramy Swal^j Iow i zdobyty przez biednego Willa Parkera kasztan zaczęły się gry żć. naj-| wyraźniej nie tolerując jeden drugiego. Widok zwierzęcia, kazał mi natych-j miast porzucić myśl o ucieczce pieszo, a tylko taka miała szansę powodzeń nią. W niewielkiej odległości pasła się koścista, ale nad podziw wytrzymała szkap Winnetou, choć jej wygląd tego nie zapowiadał. Gdyby udało się wejść w posiadanie jakiejś broni i dotrzeć do wierzchowców, prawdopodobnie nie udałoby się uciec.

- Widzicie, sir? - spytał Hawkens chichocząc.

-Co?

- Tego starego tam po drugiej stronie, co tak przyjemnie przewraca się w trawie?

- Widzę,

- A ten przedmiot na kamieniu?

-Też.

- Hihhi, leży. jakby czekał na starego szopa! Jeśli naprawdę nazywa się Sam Hawkens, to musi być Liddy, a woreczek z kulami to ten człowiek też ma chyba przy sobie.

mogłem słyszeć, co mówił do dwojga więźniów. i minęło trochę czasu, zanim odszedł, ale ostatnie słowa, które wypowiedział podniesionym głosem, usłyszałem wyraźnie, i one rzuciły mi światło na treść całej jego przemowy.

- No i schwytałem cię, przeklęty Pimo! Pal wkrótce zostanie wbity, a ty

- zwrócił się do Ellen obrzucając ją osobliwym spojrzeniem - wystarczająco długo bawiłaś się w mężczyznę. Teraz zastąpisz Ribannę i będziesz squaw Finneteya!

Dał swym ludziom znak, aby zanieśli związanych na plac, na którym Indianie zgromadzili się wokół płonącego jasno ogniska, i odszedł dumnie wyprostowany.

Należało działać jak najszybciej, aby tych dwoje nie dostało się w sam środek gromady, jako że wtedy nie byłoby już mowy o dostaniu się do nich.

- Sam, można na was liczyć?

- Hm, nie wiem, skoro wy tego nie wiecie. Musicie spróbować, jak mi się zdaje.

- Weźmiecie tego z prawej, a ja tego z lewej. Potem szybko przetniemy więzy.

- A potem do Liddy, sir!

- Jesteście gotowi?

Skinął głową, a na jego twarzy malowała się wyraźna radość ze stojącego przed nim zadania.

- Naprzód!

Cichymi, ale zarazem szybkimi susami dopadliśmy niosących więźniów Indian, a choć z powodu wleczonego ciężaru musieli być do nas zwróceni twarzami, udało nam się podejść do nich tak, że niczego nie zauważyli.

Sam zaatakował od tyłu jednego tak zręcznym ciosem, że ten padł, nie wydawszy dźwięku, a ja, ponieważ ciągle jeszcze byłem bez broni, wyciągnąłem drugiemu zza pasa nóż, a potem tak silnie

przeciągnąłem mu ostrzem po gardle, że krzyk, jaki wydostał się z ciętej rany, przypominał gwizdzące bulgotanie, a on sam zwałił się na ziemię.

Kilka następnych cięć uwolniło Ellen i Winnetou z więzów. To wszystko nastąpiło tak szybko, że nikt z wrogów niczego nie zauważył.

107

- Zabierzcie im broń! - krzyknąłem wiedząc, że bez niej ucieczka jest nie do pomyślenia, po czym wyrwałem jednemu z zabitych woreczek z kula-mi i popędziłem za Winnetou, który oceniwszy prawidłowo sytuację, nie rzucił się do wyjścia, lecz skoczył prosto w środek leżących przy ognisku Indian.

Zawsze, kiedy idzie o życie, człowiekowi przybywa sił, więc i nam świa-domość tego, o co toczy się gra, dodała potrzebnej zwinności. Zanim napa-dnięci się zorientowali, mieliśmy już w rękach broń i przebijaliśmy się w kierunku wodnej bramy.

- Swallow, Swallow! - krzyknąłem.

W kilka sekund później siedziałem już na jego grzbiecie. Kątem oka doj-rzałem, że Winnetou dosiada swej klaczy, a Hawkens pierwszego z brzegu konia, jak mu się nawinął.

- Do mnie, na miłość boską, prędko! - ponaglałem Ellen, na próżno próbującą dosiąść kasztana Finneteya, który bil kopytami o ziemię jak szalo-ny.

Chwyciłem ją za rękę. wciągnąłem na grzbiet Swallowa i zwróciłem się do wodnej bramy, gdzie właśnie zniknął Sam. To była chwila najwyższego napięcia. Wściekłe wycie napełniło powietrze, koło nas zaczęły świstać kule i strzały, a jednocześnie rozległ się tętent i parskanie koni, których dosiedli ścigający nas czerwonoskórzy.

Jechałem ostatni i nie umiem powiedzieć, jak przez wąski, kręty prze-smyk udało mi się wydostać na zewnątrz, uciec prześladowcom. Hawkensa nie było nigdzie widać, Winnetou skręcił na prawo w dolinę, którą przyje-chaliśmy w dniu naszego przybycia, oglądając się ciągle na mnie, czy idę w jego ślady. Właśnie mieliśmy skręcić, kiedy z tyłu padł strzał i uczułem, że Ellen drgnęła. Została trafiona.

- Swallow, szybciej! - zaklinałem wierzchowca, zmuszając go do takiego samego szalonego pędu jak po wybuchu w New Venango.

Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem tuż za sobą Paranoha na kasztanie. Innych skrywał zakręt drogi. Choć zdołałem rzucić na niego tylko przelotne spojrzenie, dostrzegłem wściekłą zawziętość, z jaką próbował nas dogonić, więc tym bardziej ponaglałem Swallowa, od którego szybkości i wytrzymałości zależało wszystko. Nie chodziło mi o to, aby uniknąć walki z tym zdzi-czałym człowiekiem, ale ranna dziewczyna utrudniała mi wszelkie ruchy i nie pozostało nam nic innego, jak gnać przed siebie.

108

Jak burza pędziliśmy wzdłuż strumienia. Spod kopyt kobyły Winnetou sypały się iskry, a tam gdzie przejechał, niby kamienny grad osuwały się luźne kamienie. Swallow nic ustępował mi w szybkości, choć niósł podwój-ny ciężar, Paranoh ciągle deptał nam po piętach, wiedziałem o tym nie oglądając się, ponieważ nieustannie słyszałem w bezpośredniej bliskości tętent kopyt jego kasztana.

- Jesteś ranna, panno Ellen? - spytałem zgnębiony jak nigdy.

- Ratujcie siebie, sir! - wydyszała, zamiast odpowiedzieć na me pyta-nie.

Ciepła, życiodajna krew ściekała z rany na rękę, którą ją przytrzymywa-łem, zmęczoną głowę złożyła na mym ramieniu, a piękna różana barwa jej policzków coraz bardziej ustępowała miejsca bladości, co napełniło mnie przerażeniem.

- Ellen, przyznaj się, nie możesz już wytrzymać - w najwyższej trwo-dze zwróciłem się do niej po imieniu.

- Wytrzymam - odparła matowym głosem, a jej utkwione we mnie oczy miały trudny do opisania wyraz. - Chcę zostać tam, gdzie jestem, i wytrzymam, dopóki...

- Dopóki co? - spytałem drżąc z napięcia.

- Dopóki nie okupię śmiercią największego błędu mego życia.

- Nie! - krzyknąłem przytulając ją mocniej do siebie i zmuszając ko-nia do jeszcze szybszej jazdy. - Nie umrzesz! Nie wolno ci umrzeć! Zdoby-łem cię wśród rozlicznych niebezpieczeństw i już nie mogę żyć bez ciebie.

Otoczyła ramionami mą szyję i przywarła na moment wargami do mych ust.

- Jeśli mam żyć, to tylko dla ciebie.

Och, co za szczęście, co za błogość stają się udziałem człowieka, 'gdy nagle spłynie nań błogosławieństwo miłości!

Wspomnienie śmierci sprawiło, że choć bardzo starała się zachować odwagę, zadrżała na całym ciele. W jej duszy- umilkł głos zemsty, to wrogie uczucie wypaliło się do cna, zostało zapomniane wszystko, co do tej pory kształtowało jej sposób myślenia i wolę. Uważała teraz za szczęście, że ma odpokutować za to, czym zawiniła wobec własnej kobiecości, a ta pokuta miała mi dać niebo, do którego dążyłem w swych najgorętszych pragnieniach. Czyżbym miał je utracić wraz z uchodzącym z niej życiem? Nie, po tysiąc-kroć nie! Tak być nie mogło!

109

Odwrociłem się z mocnym postanowieniem, że zadam teraz decydujący cios. Już dawno opuściliśmy koryto strumienia i pędziliśmy brzegiem porastającego równinę lasu. Paranoh został nieco w tyle. tym samym więc okazało się naocznie, że Swallow przewyższa sprawnością jego kasztana. Z tyłu za białym wodzem, pojedynczo lub w małych grupach, pędzili Indianie. Najwyraźniej nie chcieli zaprzestać pościgu, choć zdobyliśmy sporą przewagę.

Gdy odwróciłem się znowu, ujrzałem, że Winnetou zeskoczył z siodła i skryty za koniem ładuje strzelbę. Wstrzymałem Swallowa w biegu, pomogłem Ellen zsunąć się powoli z jego grzbietu i złożyłem ją delikatnie na trawie. Nie starczyło mi czasu, aby też załadować broń, ponieważ Paranoh był zbyt blisko, wskoczyłem więc znowu na konia i sięgnąłem po tomahawk.

Prześladowca zauważył chyba nasze przygotowania, mimo to w zapaści szale runął na mnie wymachując toporem. Wtem gruchnął strzał Apacza, napastnik zgiął się wpół i, dosięgnięty' w tej samej chwili moim tomahawkiem, runął na ziemię z rozplataną głową.

Winnetou obrócił stopą martwe już ciało i rzekł:

- Żmija Atabasków nie będzie już syczeć i nazywać wodza Apaczów „psem z Pimo”. Niech mój brat odbierze swoją broń.

Rzeczywiście, Paranoh miał przy sobie mój nóż, tomahawk, rewolwer i sztucer. Zabrałem

pośpiesznie swą własność i pobiegłem do Ellen.

Z radością stwierdziłem, że rana nie jest groźna. Nie było czasu na założenie opatrunku, gdyż Indianie byli tak blisko, że mogły nas dosięgnąć ich kule. Winnetou właśnie rozprawiał się z jednym z nich, a my wsiedliśmy z powrotem na konia i puściliśmy się galopem.

Raptem po naszej lewej stronie błysnęły lufy karabinów. Z lasu wyjechał duży oddział żołnierzy, dokładnie w tym momencie, aby znaleźć się między nami i pościgiem, i ruszył kłusem przeciwko Indianom.

Był to oddział dragonów z Wilkes Fort, wysłany w te okolice na zwiad.

Ledwie Winnetou ujrzał wybawców, ściągnął wodze swojej klaczy, przemknął obok nich i wywijając tomahawkiem runął na Oglala, którzy zdeorientowani nie zdążyli jeszcze zawrócić. Ja tymczasem zsiadłem z konia, aby zająć się raną Ellen. Z purpurowym rumieńcem wstydu pozwoliła, abym obejrzał dokładnie zranione miejsce i założył prowizoryczny opatrunek. Teraz była w pełni kobietą. W uniesieniu wyczytałem z jej oczu miłość do mnie. Czowała się wprawdzie słaba, ale bardziej z przerażenia niż z utraty

110

krwi, i kiedy chciałem ją na powrót wziąć przed siebie na konia, potrząsnęła głową i podeszła do kasztana, którego wodze rzucił mi w przelocie Winne-tou. W chwilę później siedziała już w siodle.

- Utrzymasz się? - spytałem zaniepokojony.

\_ Muszę być silna, ponieważ nie możesz beze mnie żyć - odrzekła z uśmiechem szczęścia na twarzy i podnosząc rękę dodała: - Czerwono-skórzy uciekają. Naprzód!

Pozbawieni wodza, który wezwałby ich do oporu albo przy najmniej wprowadził jaki taki ład wśród uciekających, wracali pędem, z dragonami na plecach. tą samą drogą, którą przybyli, można było zatem przypuszczać, że schronią się w naszej kotlinie wśród gór.

Zawróciliśmy konie i omijając leżące na ziemi ciała zabitych, dopędziliśmy żołnierzy niedaleko



wodnej bramy. Chodziło o to, aby nie dopuścić czer-wonoskórych do skalnego korytarza. Dlatego zostawiłem Ellen na brzegu lasu, a sam popędziłem, poganiając Swallowa. na przełaj poprzez cierniste krzewy i chaszczę wzdłuż rozciągniętej linii niedawnych prześladowców i wkrótce znalazłem się u boku Winnetou, który bezlitośnie deptał po pię-tach uciekającym.

Właśnie skręcili w lewo do wodnej bramy i ten, który wysforował się naprzód, skierował konia do przesmyku, gdy padł strzał i Indianin zwałił się bez życia na ziemię. Zaraz potem huknął drugi strzał, pozbawiając następne-go strzemion. Przerażeni Indianie, widząc, że nie uda im się dostać do środka i myśląc, że są otoczeni ze wszystkich stron, rzucili się w kierunku koryta Mankizity i uciekali wzdłuż rzeki, ścigani przez dragonów.

Strzały, które tak niespodziewanie przysły nam w sukurs, czyniąc nasze zamierzenie zbędnym, zdumiały mnie tak samo jak Indian. Nie musiałem wszakże długo zachodzić w głowę, co to za mężny strzelec przyszedł nam z pomocą, bo gdy tylko ucichł tętent kopyt indiańskich wierzchowców, zza skalnego załomu ostrożnie wychyliła się splątana broda i potężny nos, nad którym błyszczała para maleńkich przebiegłych oczek, a ponieważ w pobliżu nie było już żadnej wrogiej istoty, za wysianym na zwiad organem węchu wysunęły się ufnie pozostałe części ciała

- O błogosłowieństwo mych oczu! Jaka strzelba was wystrzeliła, że zna-leżliście się znów tutaj, jeśli się nie mylę? - spytał mały człowieczek, tak samo zdumiony mym widokiem jak ja jego.

111

- Sam. to wy? Jak się tam dostaliście? Na własne oczy widziałem, jak jechaliście w inną stronę.

- Jechaliście? Dziękuję za taką jazdę! Ta bestia nie chciała mszyc się z miejsca, a jej stare kości lak się werznęły w pośladki starego szopa, ze jego kości omal się nie rozsypały, gdy chciał zmusić to głupie stworzenie do ga-lop. Dlatego podkradłem się tutaj, hihhi, w przekonaniu, że te czerwone psy popędzą za wami i twierdza będzie pusta, jak mi się wydaje. Ale się zdziwiłem, gdy ujrzałem ich wracających, tak myślę, hihhi! Ale skąd wzięli-ście tych żołnierzy, sir?

- Natknęli się na nas po drodze, Sani, i to w samą porę.

-Wierzę. A teraz wejdźcie do środka. Jeśli się nie mylę, leżą tam jeszcze wszyscy, tak jak ich zabito.

Winnetou pojechał przodem, a my ruszyliśmy za nim, prowadząc konie. Przybywszy do „twierdzy”, znaleźliśmy go w miejscu, w którym poprzedniego dnia walczyliśmy z taką zaciętością. U jego stóp leżało ciało człowieka, którego rozpoznaliśmy natychmiast. Był to OldFirehand.

Leżał na plecach i dokładnie było widać ranę, jaką w jego piersi wyrwała kula Paranoha. Oczy miał zamknięte, a zapadnięte policzki i mocno zaciśnięte usta wyrażały jeszcze męzną pogardę śmierci, która pozostała mu wierna do ostatniej sekundy tego bogatego w czyny życia. Było jednak coś, co sprawiło, że przebiegł nam dreszcz po plecach: naga, skrwawiona czaszka. Oskalpowano go. Gdzie teraz były jego piękne, długie, siwe włosy? Paranoh nie miał ich przy sobie. Ach, wisiały na palu razem z innymi skalpami jako zwycięskie trofeum. Ellen nie mogła znieść tego widoku i z głośnym łkaniem rzuciła się na ciało zmarłego.

Odstąpiliśmy do tyłu, pozostawiając ją ze swym bólem. To był jeden z najsmutniejszych widoków, jakie przyszło mi w życiu oglądać, i nawet w oku Winnetou, silnego, dumnego, nieustraszonego mężczyzny błysnęło coś przypominającego łzę, kiedy położywszy mi ciężko rękę na ramieniu rzekł:

- Duszą Apacza owładnęła ciemność, a jego sercu brakuje światła. Chciał-by złożyć głowę obok swego przyjaciela i umrzeć tak jak on. Niech mój biały brat uczyni szczęśliwą córkę Ribanny, Róży z Ouicourt.

Minęło wiele tygodni, zanim wróciliśmy we czwórkę w strony, gdzie pierwszy raz ujrzałem Ellen, i zobaczywszy ją pomyślałem o flak. Je-chała tak blisko mego boku na kasztanie Paranoha, że mogłem w każdej chwili położyć rękę na jej dłoni. Jakiś czas temu słyszeliśmy od paru westinaniów, że zięć Forstera, a więc brat Ellen, przeprowadził się z Omaha do New Venan-eo, aby doprowadzić do poprzedniego stanu strawioną przez ogień posiadłość dotkniętą nieszczęściem naftowego

króla.

Postanowiliśmy go odwiedzić już wtedy, kiedy w towarzystwie drago-nów opuszczaliśmy widownię naszej ostatniej przygody, a teraz jechaliśmy do niego porządnie wypocząć po wyczerpujących przejściach.

-Oto miejsce, gdzie się poznaliśmy, Ellen.

- Przyniosło nam to szczęście czy nieszczęście? - spytała rozpromieniona zaglądając mi w oczy.

- Szczęście. Wierzysz mi?

-Wierzę.

To było zaledwie parę słów, ale czerpiący z zasobów serca, dźwięczny głos zdradził mi więcej niż długa przemowa.

Winnetou. nie chcąc nam przeszkadzać, odjechał, ale nasz mały towarzysz zdawał się być mniej wyrozumiały, bo przywołał nas do rzeczywistości niecierpliwym okrzykiem:

- Gdybyż to stary szop wiedział, co za spotkanie tu się szykuje! Mała miss mogła powiedzieć wcześniej. Słońce zaszło i Sam Hawkens tęskni do

tego, czego tu nie ma, tak myślę! spis 1 \$w0dz india4ski \$inn-nu-woh 2 \$old firehand

Both Shatters

Preria wdzierła się półkolistym językiem w las, a na końcu tej „zatoki”, jak myśliwi nazywają takie miejsca, rozbiła obóz grupa traperów, do której należałem i ja, aby przez kilka dni wypocząć po trudach a przy okazji ..naro-bić” świeżego mięsa. Udało nam się też podejść do dużego stada bawołów i kiedy iimi byli zajęci przy dwóch zabitych i przyniesionych do obozu ciela-kach, ja wybrałem się na sawannę, ponieważ Swallow, mój dzielny mustang, nie potrzebował aż tyle wypoczynku co inne konie.

Wyruszyłem z samego rana, a teraz było już dobrze po południu i wła-śnie postanowiłem wracać, kiedy nagle zobaczyłem liczne ślady kopyt prze-cinające pod kątem ostrym ścieżkę, którą jechałem. Zsiadłem więc z konia i zacząłem je oglądać.

Były to dziwne ślady. Pośrodku widoczne były odciski podków dwóch koni. po obu stronach musiało jeszcze jechać po trzech jeźdźców, a więc razem sześciu, a siódmy zostawił i odciski podków, i

ślady stóp. Sądząc po tych ostatnich był to Indianin. Porównałem zgniecione źdźbła trawy poszczególnych śladów i doszedłem do wniosku, że te środkowe musiały być o jakąś godzinę starsze niż pozostałe, gdyż tam trawa już się prawie podniosła. Natychmiast stało się dla mnie jasne, że owa siódemka ściagała tamtych dwóch, gdyż jej ślady były jeszcze tak świeże, że nie mogły być pozostawione wcześniej niż przed półgodziną.

180

Ponieważ ślady prowadziły w kierunku, gdzie znajdował się nasz obóz, postanowiłem podążyć za nimi. Wymagała tego troska o moich, znajdowali-śmy się bowiem w pobliżu Yellowstone River, a więc na terenach, które zamieszkiwali źle usposobieni do białych Siuksowie, i nawet gdybyśmy mieli jeszcze z tuzin sprawnych par rąk, spotkanie z Indianami nie leżało w naszym interesie. Wskoczyłem zatem na grzbiet Swallowa i puściłem się kłusem, który na południowym zachodzie nazywany jest sobrepasso, a polega na tym, że koń podnosi wyżej przód niż zad, co sprawia, że ten rodzaj jazdy jest szybszy i płynniejszy niż zwykły kłus.

W ten sposób ujechałem spory kawałek drogi, gdy nagle zobaczyłem podwójne ślady stóp. Biegły one z boku i mieszały się potem ze śladem głównym, którego nie spuszczałem z oka. I znowu zsiadłem z konia, aby je zbadać.

Te ślady zostawili dwaj biali, to było pewne, ponieważ duże palce u nóg były zwrócone na zewnątrz, stwierdziłem też, że musieli to być mężczyźni różnego wzrostu, jako że jedne ślady były zdecydowanie dłuższe niż drugie. Z położenia źdźbeł trawy wywnioskowałem, że ci dwaj musieli iść tędy zaledwie przed paroma minutami. Wskoczyłem z powrotem na konia i ruszyłem za nimi galopem, patrząc baczenie raz na ziemię, aby nie zgubić śladu, a raz przed siebie, i wkrótce rozpoznałem w przedzie dwa szybko poruszające się punkty, które, gdy się zbliżyłem, okazały się ludzkimi postaciami.

Spojrząwszy w tył, zatrzymali się, oczekując mnie z przygotowanymi do strzału strzelbami. Kiedy znalazłem się już tak blisko, że mogłem ich dobrze widzieć, nie umiałem powstrzymać się od uśmiechu.

Byli to dwaj mężczyźni. Wyglądało to tak, jak gdyby natura postawiła obok siebie dwa absolutne przeciwieństwa. Jeden z nich był niski, ale o niespodziewanych proporcjach ciała. Jego gęsta zmierzwiona broda zakrywała mu twarz do tego stopnia, że widoczny był tylko mieniący się wszystkimi barwami nos i dwa maleńkie, błyszczące przebiegłością i sprytem oczka. Przesunięta na bok peruka, jakby nosił na swej okazałej czaszce, przez całe lata nie oglądała ani grzebienia, ani szczotki i wyglądała jak odwrócone do góry dnem, niedbale sklecone ptasie gniazdo. Spoczywało na niej coś, co kiedyś mogło być futrzaną czapką, ale teraz było już całkiem wyliniąte, a z wyglądu przypominało skurczony i pofałdowany nieźwiedzi żołądek.

Myśliwska kurtka, w której tkwił ten pocieszny człowieczek, została kiedyś

181

uszyta z myślą o znaczącej osobie i sięgała mu niemal do kostek, pozwalając oglądać jedynie

znoszone mokasyny.

Drugi oyl prawie o połowę wyższy niż jego towarzysz, a ręce i nogi miał tak długie i cienkie, że patrząc na niego człowiek nie mógł się opędzić od myśli, iż pierwszy, lepszy podmuch wiatru może je poplątać jak nici. Wszy-stko w nim było długie, chude i wąskie: czoło, nos, wargi, nie owłosiony podbródek, szyja, cały tułowi ręce i nogi. Przedmiot, którego dalekim przodkiem musiał być kapelusz, zsunął mu się na tył głowy, skórzany kaftan się-gał odrobinę poniżej kościstych bioder, a nieskończenie długie nogi tkwiły w dwóch wysokich futerałach, o których nie można było z całą pewnością powiedzieć, czy należy je nazywać pończochami, kamaszami, czy też butami po kolana.

Ich uzbrojenie było takie, jakie zwykli posiadać traperzy i oprócz strzelby grubego nie byłoby godne wzmianki. Za to owa strzelba bardziej przypominała wyłamany w lesie kij niż broń palną.

Drewniana kolba straciła dzięki licznym uszkodzeniom pierwotny kształt, lufa i zamek były zżarte przez rdzę i Europejczyk odważyby się oddać z niej strzał tylko po przedsięwzięciu wszelkich środków ostrożności. Ale to nie był pierwszy taki instrument do strzelania, jaki widziałem. Obcy nie ma pojęcia, jak się z czymś takim obchodzić, ale właściciel wie, jak z takiej zardzewiałej rury oddać mistrzowski strzał.

- Stój, mój panie - zawołał gruby - w jakim celu spacenjesz sobie tak po tych starych łąkach?
- Właśnie, spacenjesz? - powtórzył z naciskiem chudy, celując ze swej strzelby prosto w mój nos.
- Odłóżcie broń, pinowie - odrzekłem. - Nie mam zamiaru was pożreć.
- Gdyby wam przyszło do głowy nadgryźć obu Samów, to posmakowalibyście naszego ołowiu. Nie jesteście chyba sami tu na sawannie.
- Moi obozują tam górze, w zatoce, o jakieś pięć mil stąd. Polujemy tu trochę, a ja odjechałem kawałek dalej, aby nie wyjść z wprawy.
- To olbrzymia nieostrożność z waszej strony, sir, jak myślę. Nie wiecie, że tu, na tej starej łące, można spotkać czerwonoskórych?
- Tak, czerwonoskórych - potwierdził skinieniem głowy chudy.

182

- Od wielu tygodni nie widzieliśmy śladu Indianina.
- To dziś ujrzyecie ich dostatecznie dużo. Dwóch Samów ścigało siedmiu z Big Horn, a teraz węszy za nimi cała wataha Yanktonów.

- A więc wy jesteście tymi oboma jeźdźcami, których ślady dojrzałem na ziemi i za którymi jechałem? - spytałem zdumiony i zatroskany zarazem, jako, że Yanktoni stanowili najbardziej nieprzejednane i wojownicze plemię Siuksów. - Gdzie w takim razie macie wierzchowce i dlaczego wracacie po swych własnych śladach?

Oczy małego błysnęły kpina, ale i pewnym współczuciem.

- Cienki Sam uważa, że jesteście greenhornem, sir, ponieważ jeszcze nie wiecie, co robi prawdziwy westman, gdy chce zobaczyć, czy ktoś idzie jego śladem. Zatacza koło, przyczajają się, a gdy na swej drodze zobaczy wroga, to już wie, co w trawie piszczy, i ma prześladowcę przed sobą, a nie z tyłu, rozumiecie?

- Dziękuję za pouczenie, mister, ale nie było ono konieczne. Nie możecie mi powiedzieć, dlaczego zsiadliście z koni i podarowaliście je czerwono-skórym?

- Podarowaliśmy? Wyście chyba zwariowali, sir.

- Tak, zwariowali, sir - wysapał drugi.

- Ja, dlaczego?

- Dwóch Samów zatoczyło koło, zostawiając Yanktonów z tyłu, ale spętały swoje konie, aby te głupie psy indiańskie myślały, że rozbijają obóz i poszli nazbierać gałęzi na ognisko.

- Gałęzi na ognisko - powtórzyło długie echo.

- Ach! - wydałem okrzyk zaskoczenia. - To musiało być niedaleko stąd.

- Zaledwie parę chwil. Ilu was jest, sir?

- Dwunastu.

- Sami biali?

- Tak. Potrzebujecie naszych strzelb, panowie?

- Teraz nie, a gdy zjawi się tych siedmiu, to i tak będzie za późno.

Pojedziecie z nami czy boicie się?

- Czy wyglądam na takiego strachliwego?

- Hm, wasz wierzchowiec jest dobry, bardzo dobry - rzekł obrzucając zachwyconym spojrzeniem Swallowa - ale człowiek, sam człowiek mógł-by być lepszy, jak myślę. Siedzicie w siodle jak na paradzie, nie ma na was

J 183

ani jednej laty, a wasz pas i strzelba tak lśnią, jakby dopiero co wyszły ze sklepu. Jesteście chyba greenhornem, sir.

- Greenhornem, sir - powtórzył ten drugi.

Wiedziałem, co prawdziwy traper sądzi o wypucowanej broni i schludnej odzieży, i uśmiechnąłem się.

- Nie ma strachu, panowie! Słyszeliście o jakimś Jake'u Hawkinsie z St. Louis?

- Czy słyszeliśmy? To najlepszy rusznikarz w całych Stanach.

- A więc to od niego mam tę strzelbę. Jest to sztucer, który raz nabity może wystrzelić dwadzieścia pięć kul. Te dwa rewolwery to też on robił. A mężczyzna, który je nosi, jest Niemcem i nie odda dziś swego pierwszego strzału.

- To inna sprawa, sir, jak myślę. Długi Sam już kiedyś poznał takiego jednego z Niemiec, co to umiał trafić niedźwiedzia grizzly między ślepia. Chodź z nami, ale zsiądź z konia, ponieważ ci Indianie mają cholernie do-bry wzrok, a mężczyznę na koniu łatwiej dostrzec niż tego, który idzie pie-szo.

Zsiadłem z konia, wziąłem Swallowa za uzdę i spytałem:

- A teraz i wy powiedzcie, kim jesteście! Ja wam powiedziałem co nieco o sobie i muszę wiedzieć, komu mają służyć moje kule.

- Kim jesteśmy? Hm, to byłaby cholernie długa historia, ale nazywam się Sam i on też nazywa się Sam, dlatego jesteśmy przez innych nazywani Bracia Sam. Należymy do grupy Both Shatters i mamy kryjówkę tam, nad wodą.

Stałem jak wryty i ze zdumieniem przyglądałem się obu mężczyznom. Both Shatters to byli ojciec i syn, naj słynniejsi myśliwi między jeziorami na północy a Zatoką Meksykańską. Nikt nie znał ich prawdziwego nazwiska, nikt nie wiedział skąd pochodzą, ale każdy słyszał o ich niezwykłych przygodach. Byli nieprzejednanymi wrogami Indian, a chociaż nikt z obcych nie był w ich obozie, mówiło się, że jest tam tyle nuggetów i indiańskich skal-pów, że można nimi załadować cały wóz.

- Both Shatters? Czy to prawda?

- Naturalnie, sir. Jeśli się z nimi spotkacie, to chętnie opowiedzą wam o Samie Chudym i Samie Grubym, że trzymają się zawsze razem i zdarli już skórę z wielu indiańskich głów. Prawda, Chudy Samie, stary szopie?

184

Takiego odezwania chętnie używają myśliwi, przydając mu najróżniej-sze znaczenia.

Chudy Sam chrząknął, wyrażając tym swą aprobatę, a Gruby Sam ruszył tymczasem przed siebie, i szliśmy tak dziarsko po śladach. Po jakimś czasie zobaczyliśmy klin lasu wcinający się w prerię. Obaj traperzy poruszali się teraz ostrożniej. Porzucili ślad, który kierował się w kierunku leśnego języka, i przedzierali się zaroślami, szukając osłony gdzie się dało, w kierunku wysokopiennych akacji i sosen. Kiedy wreszcie do nich dotarliśmy. Gruby Sam zatrzymał się.

- Najgorsze mamy za sobą, sir, jak myślę. Czerwonoskórzy mogli się zacząć tam, gdzie bezpieczni od naszych kul wystrzelaliby nas jak zające. Ale te łotry są głupsze niż najlepszy Negr, muszą więc oddać skóry.

- Muszą oddać skóry! - potwierdził Chudy Sam idąc za swym towa-rzyszem, który przemykał się ostrożnie na przeciwległy kraniec języka.

Była to jedna ze wspomnianych już zatok. Przecinał ją na dwie części strumień o brzegach porośniętych gęstymi zaroślami, wypływający z naj-bardziej wysuniętej części zatoki i po zatoczeniu łuku ginący w przeciwle-głej ścianie lasu. Jedno spojrzenie mi wystarczyło, aby się upewnić, że podstęp dwóch przebiegłych traperów udał się w pełni.

Przeszli przez potok, przeszukali resztę lasu, po czym zawrócili po swo-ich śladach. Tymczasem nadciągnęli Yanktoni, zobaczyli spętane konie i natychmiast przeprawili się przez wodę, aby na drugim brzegu oczekiwać powrotu białych, których zgubili. Najpierw, aby nabrać pewności, dokła-



dnie obejrzeni miejsce, gdzie się zatrzymaliśmy, a potem rozłożyli się o nie-całe dwieście kroków dalej bez jakiegokolwiek osłony pod krzakami nad strumieniem. Ich konie skubały spokojnie w pobliżu trawę. Na szczęście wiatr wiał w naszą stronę, bo inaczej zwierzęta już dawno by nas zwietryły i zdradziły swym zachowaniem naszą obecność.

- Chudy Samie, ty stary szopie, widzisz tych miedzianych ludzi? Jeśli tęsknisz za naszymi końmi, to popatrz w tamten prześwit między drzewami. Nie tknęli ich. A teraz, sir, strzelby w górę. Weźmiecie tego pierwszego, ja drugiego. Chudy Sam trzeciego, a potem tomahawki do ręki i na nich! Ma-cie chyba tomahawk pod kurtką?

- Mam też dwa naboje w strzelbie, biorę więc pierwszego i czwartego.

- Dobrze, sir. Będą piekielnie zaskoczeni, gdy nadmuchamy im od innej strony niż ta, z której nas się spodziewają.

185

Gruchnęły cztery strzały, czterech Indian przewróciło się, a trzech pozostałych rzuciło się do koni. Pierwszemu udało się dopaść swego; wyrwał kołek z ziemi, wskoczył na jego grzbiet i zniknął. Rzuciłem się na drugiego, który właśnie miał wskoczyć na konia. Wyrwał tomahawk z pasa i zamachnął się, lecz w tym momencie upadł na ziemię, ugodzony moim nożem w samo serce. Obróciłem się i zobaczyłem obu myśliwych, leżących na ostatnim, który bronił się rozpaczliwie. Tutaj ma pomoc nie była potrzebna, ale pozostał jeszcze ten, który uciekł, a do tego nie wolno było dopuścić.

- Swallow!

Dzielny wierzchowiec skubał trawę pod drzewami. Na moje wołanie przybiegł natychmiast. Wskoczyłem mu na grzbiet i objechałem leśny język, skąd dojrzałem w pewnej odległości galopującego Indianina. A więc wracał tą samą drogą, którą tu przybył.

- Naprzód, Swallow!

Wystarczyło słowo, a mój mustang ruszył galopem; niemal leciał nad ziemią i od razu w pierwszych minutach okazało się, że przewyższa pod każdym względem konie czerwonoskórych. Odległość

między mną a uciekającym stale się zmniejszała, a wreszcie zbliżyłem się do niego na mniej niż dwadzieścia długości konia. Zauważył mnie i zmusił swojego wierzchowca do jeszcze większego pośpiechu.

- Prr, Swallow!

Mustang stanął i ani drgnął, gdy wyciągałem sztucer, czując, że będę strzelał. Huknął strzał i Indianin spadł z konia. Jego wierzchowiec popędził przed siebie spłoszony, a ja zbliżyłem się do jeźdźca. Kula trafiła go w tył głowy, zabijając na miejscu. Zsiadłem z konia i zabrałem mu nóż, toma-hawk i woreczek z lekami jako znaki zwycięstwa. Strzelbę zostawił z przeobrażenia nad strumieniem.

Kiedy znów znalazłem się w siodle i mimo woli rozglądałem się za zbiegłym koniem, popatrzyłem w kierunku, w którym wiodły ślady, i dojrzałem w oddali poruszającą się tuż nad ziemią czarną chmurę. Odpiąłem od pasa lornetkę, nastawiłem ostrość i przyjrzałem się podejrzanemu zjawisku. Byli to Indianie idący naszymi śladami, chyba Yanktoni, o których mówił Gruby Sam. Odwróciłem się i popędziłem z powrotem do „zatoki”, gdzie znalazłem obu Samów zajętych zdejmowaniem skalpów sześciu zabitym.

18(

- Macie go, sir? - spytał Gruby Sam.

- Tak, tu jest jego broń.

Odpowiedź przyszła mi z trudem, tak przerażający był wygląd tego czło-wieka. Podczas walki z dzikimi zgubił czapkę, perukę i widziałem w tej chwili pozbawioną włosów czaszkę, która porośnięta na nowo skórą mieniła się odstręczającymi barwami. Gruby Sam został kiedyś oskalpowany.

- Przyglądacie się, sir, mej czaszce, co? Wpadłem w ręce Yanktonom i musiałem się pożegnać ze skórą na głowie. Zostawili mnie potem jak zmarłego, łotry. Chudy Sam, ten stary szop, znalazł mnie i zabrał ze sobą. Musiałem piekielnie dużo wycierpieć, zanim przy szedłem do siebie, a potem pojechałem do fryzjera w Cheyenne po perukę. Kosztowała mnie wtedy cztery pęczki skórek bobrowych, ale została spleciona, stokrotnie spleciona, bo po-przysięgłem sobie, że te czerwone psy oddadzą za każde dziesięć mych włosów jeden skalp. Nazbierałem ich już cały stos. są tam, w kryjówce, a ten stos jeszcze się powiększy, jak myślę. Zdejmijcie swoje trzy skalpy, sir.

- Nie chcę, człowieku! Nie zostałem na razie oskalpowany i...
- Nie chcecie? - przerwał mi zdziwiony. - Udowodniliście, że nie jesteście greenhornem.
- Tak, nie jesteście greenhornem - pokiwał z uznaniem głową chudy Sam.
- I nie chcecie skalpów?
- Mam na ten temat inne zdanie niż wy. A teraz zabierajmy się stąd!

Ciągnie tu cała gromada Indian i za dziesięć minut mogą być w zatoce.

- Indian?

Mały człowieczek pobiegł na brzeg lasu ze zwinnością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał, i wyjrzał zza drzew na prerię. W mgnieniu oka był już powrotem, wsunął trzy zdobyczne skalpy za pas, chwycił swoją broń z ziemi i przeskoczył strumień.

- Miej się na baczności, chudy Samie, ty stary szopie! - krzyknął. - Zabierz tamte trzy skalpy i uciekaj, bo inaczej Yanktoni uszyją ci buty.

Ja też schwyciłem swoją strzelbę i pobiegłem za tamtymi. Kiedy rozgarnąłem krzaki po drugiej stronie potoku, obaj siedzieli już w siodłach.

Było nas za mało, aby stawić skuteczny opór, nie mogliśmy się też pokazać na otwartej prerii. Indian było na moje rozeznanie gdzieś koło setki. Tak

187

szybko, jak się dało, jechaliśmy brzegiem lasu, w szalonym pędzie mijając otwarte przestrzenie, i wpadliśmy wreszcie między zarośla, krzaki i drzewa porastające wbijający się w prerię język lasu. Konie obu Samów okazały się przyzwoitymi wierzchowcami, tylko Swallow nie mógł popisać się swoją szybkością, ponieważ nie chciałem ich wyprzedzić. Kiedy dojechaliśmy do drugiego strumienia. Gruby Sam zatrzymał konia.

- Chcesz wracać do swoich, sir?

- Chcesz wracać, sir? - zawtórował Chudy Sam.

- Rozumie się, mister Sam! Mam do nich niecałe dwie mile i nie chcę, żeby się o mnie martwili. Jedziecie ze mną?

- Nie. Jesteśmy w drodze do Both Shatters i za piętnaście minut będzie-my bezpieczni. Jeśli pojedziecie, sir, to wy i cała wasza grupa znajdziecie się w niebezpieczeństwie, jak myślę. Nasze ślady znikną, ale wasze zostaną i Indianie z pewnością je odkryją. Jedź z nami! Wprawdzie nie wolno nam sprowadzać do kryjówki obcych, ale zasłużyliście na zrobienie wyjątku. Zde-cydujcie się szybko, sir!

- Jadę z wami.

Ta decyzja została podjęta cokolwiek za szybko, ale była usprawiedli-wiona. Czyż miałem pozwolić przejść koło nosa takiej wspaniałej okazji do poznania obu Shatterów? A poza tym rzeczywiście sprowadziłbym na mych towarzyszy niebezpieczeństwo, gdyby mój ślad zaprowadził Indian do obozu. Jadąc korytem potoku można było przynajmniej częściowo zatrzeć śla-dy, a z kryjówki miałem nadzieję znaleźć jakąś drogę, która by mnie zapro-wadziła do obozu, nie narażając ich przy tym na niebezpieczeństwo.

Skierowaliśmy konie do strumienia i ruszyliśmy pod prąd jego łoży-skiem. Obejrawszy się jeszcze raz, zauważyłem, że w miejscu, z którego wyszliśmy na brzeg, gałęzie się poruszają i wydawało mi się, że widzę mię-dzy nimi ciemną twarz.

- Mister Sam, jedźcie inną drogą i nie zdradzajcie waszej kryjówki.

Indianie są już tutaj.

- To niemożliwe, sir. Mieliśmy za dużą przewagę. Jedźcie szybko za nami. Przywidziało się wam i tyle!

Jechałem więc za nimi, ale trzymałem broń gotową do strzału i rozglą-dałem się niespokojnie dokoła, ale że nie zobaczyłem nic podejrzanego, uspokoilem się myśląc, że tamta twarz była jedynie wytworem mej bujnej wyobraźni.

minutę, zbliżając się jednocześnie do wody, a zarośla porastające jego brzegi były tak gęste, że nie pozostawiały najmniejszego wolnego skrawka ziemi, na który moglibyśmy wyjść. Jechali-śmy tak / kwadrans w górę strumienia, gdy nagle panującą wokół ciszę zakłócił czyjś głos, domagający się odpowiedzi, lecz pytający pozostał nie-widoczny.

- Kto to?

-Dwóch Samów, stan szopie! - odkrzyknął Gruby Sam. torując sobie kolbą strzelby drogę wśród splątanych krzaków. - Otwieraj, Jimie Polter!

Olbrzymi krzak, maskujący tylko, jak się teraz dowiedziałem, wejście, został przesunięty na prawo i mogliśmy wyjść z końmi na brzeg.

- Witaj. Samie, witaj! Cóż to. jakiś obcy?

- Wszystkiego się dowiesz, Jim. ale później. Zamaskuj na nowo wej-ście, Yanktoni są w zatoce i możemy mieć ich skalpy, jak myślę.

Mężczyzna w mgnieniu oka przywrócił zaroślom poprzedni wygląd, a my pojechaliśmy dalej. Przed nami leżała jedna z tych małych polan, jakie zwykle określać się mianem „wietrznej przełęcz”, które powstają w ten sposób, że powalona przez wiatr w czasie burzy grupa wysokich drzew po-ciąga za sobą rosnące naokoło drzewa niższe, tworząc w środku gęstego lasu miejsce, gdzie przy pomocy siekiery i ognia można łatwo urządzić kry-jówkę. skład żywności czy schowek skór zwierzęcych, i myśliwi chętnie z nich korzystają.

Pośrodku placu płonęło „białe” ognisko, wokół którego zebrało się wie-lu prawdziwych traperów. Brzegi polany były nie do przebycia, do czego przyczyniła się ludzka ręka. a w jej najdalszym punkcie dostrzegłem małą chatę, przed którą stali dwaj mężczyźni nie spuszczający nas z oczu.

- To Both Shalters, sir - wyjaśnił Gruby Sam. - Chodźcie, najpierw musimy im złożyć raport.

- Złożyć raport - powtórzył Chudy Sam, który w ten sposób podkre-ślał, że z Grubym Samem stanowią jedno.

Obaj mężczyźni postąpili parę kroków w naszym kierunku. Może opo-wieści o nich były i

przesadzone, ale na własne oczy widziałem, że zawie-rzyło im około setki innych.

Ojciec był olbrzymiego wzrostu. Siwe włosy opadały mu aż na musku-

larne ramiona, przenikliwego spojrzenia niebieskich oczu nie zmącił jeszcze

189

wiek, a wiatr i niepogoda, śnieg i deszcze, upał i mróz wyrzeźbity jego zde-cydowane rysy, świadcząc o sile, jakiej nie osłabiły ani czas, ani trudy życia.

Syn był prawie tak samo wysoki jak ojciec. Miał gęste czarne włosy zwinięte w węzeł, jak to robią Indianie, jego pełna, lecz zarazem wyrazista twarz spalona była słońcem, a przy tym ciemna jako, że jego rysy zdradzały, iż jest Metysem. Opięta kurtka myśliwska uwydatniała szeroką pierś, a każ-dy z jego ruchów był szybki, zręczny i świadczy} o sile. jak w przypadku jaguara, który widzi przed sobą wroga.

Początek rozmowy był inny, niż tego oczekiwałem. Spojrzenie starszego z Shatterów powędrowało ode mnie do mego konia.

- To przecież Swallow! - zawołał zdumiony. - Tak, to naprawdę Swal-Iow! Jak weszliście w posiadanie tego konia, sir?

Jego oczy wpatrywały się we mnie, jak gdyby chcąc mnie spalić widnie-jącym w nich podejrzeniem.

- Otrzymałem go od Winnetou, wodza Apaczów, z którym przebywa-łem jakiś czas nad Rio Suanca,

- I dal wam swego najlepszego konia? Musieliście mu wyświadczyć jakąś wielką przysługę.

- Został napadnięty przez Atabasków i miał skończyć na palu. Wtedy nadjechałem ja - reszt) możecie się domyślić. Jeździłem potem z nim tu i tam, znalazłem w nim wspaniałego nauczyciela, a na pożegnanie otrzyma-łem od niego Swallowa.

- Nie znam was, sir, a to, co tu nam opowiadacie, może być wymyślone.

Winnetou nigdy nie zaproponował mi konia, a o sprzedaniu go nie chciał nawet słyszeć, bo nie ma on sobie równych, jak sawanna długa i szeroka, zatem ten, kto się na nim pojawił przed Josiasem Shatterem, jest w jego oczach mordercą Apacza. Potraficie się oczyścić z tego podejrzenia?

Odstąpiłem krok do tyłu i sięgnąłem po nóż.

- Sir, wypowiedzcie jeszcze raz to słowo, a będziecie mieli okazję po-równać ostrze mojej klingi z waszym nożem howie\ Jakże tu, w Yellowsto-ne, mam wam dostarczyć dowodu, że tego konia podarowano mi przed ro-kiem nad Rio Suanca?

Jego oczy zdały się przewiercać mnie aż do mej duszy.

- Jest na to dowód. Jeśli Winnetou rzeczywiście was tak kochał, to z pewnością otworzyły się przed wami jego milczące wargi. Znacie jego największego wroga?

190

- Macie na myśli Szatungę, wodza Yanktonów, który zamordował mu siostrę, bo nie chciała zostać jego xquaw, lecz wybrała białego myśliwego?

- A kim był ten biały myśliwy?

- Nazywał się Josias Parker, a pochodził z Kentucky.

- Przeszliście zwycięsko próbę, sir. Witajcie! Ale jak doszło do waszego spotkania z Dwoma Samami?

- Pozwólcie, że wam to opowiem później, cornel\* - wtrącił się Gruby Sam. - Powiem wam za to wcześniej coś ważniejszego Yanktoni napadli na nas w pobliżu Big Horn i uszliśmy tylko my: ja i Chudy Sam, stan' szop, a potem szli naszym śladem i dotarli aż do zatoki, gdzie czekali na nasze kule

- Czekali na kule - skinął głową jego długi towarzysz.

- Do diabła! Zabiliście ich! Ale o tym opowiecie później, teraz najważ-niejsze jest nasze bezpieczeństwo

Przyłożył dłoń do ust i wydał z siebie dźwięk podobny do gdakania kury preriowej. W parę sekund później stało już obok nas dziewięciu silnych, wytrzymałych mężczyzn.

- Słuchajcie, chłopcy. Yanktoni są w zatoce. Każdy z was wie, co ma w takim wypadku robić. Wymordowali naszych ludzi w kanionie, resztę opowiedzą wam Samowie. Billu Hawkens, popraw pas i zakradnij się do zatoki. Muszę wiedzieć, jak się tam mają sprawy. Podwójcie straż przy bra-mie i zmieńcie ogień na czerwony. Ale wy, sir, chodźcie tu i rozgośćcie się. Potrzebujecie wypoczynku i jeszcze czegoś innego.

Inni pozostali na zewnątrz, a ja wszedłem za nim do chaty. Było tam tylko jedno pomieszczenie, którego ściany miały osobliwe, budzące grozę tapety': od góry do dołu obwieszono je indiańskimi skalpami.

- Siądźcie tu za stołem, sir, i częstujcie się według upodobania. Ja tym-czasem odbędę rozmowę z Dwoma Saniami, i zaraz potem wrócę do was.

Kiedy wyszedł, zacząłem rozglądać się uważnie po pomieszczeniu.

Obok skalpów był tam cały arsenał broni potrzebnej na prerii. Zacząłem liczyć skalpy: dziesięć, dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści, przestałem liczyć i odwróciłem się. Widziałem w tym wstrząsający przykład niszczącego ciosu, jakim dobija się skazaną na zagładę, leżącą

\* Przekształcone słowo colonel, pułkownik.

191

w agonalnych drgawkach ludzką rasę. Zdjęła mnie taka zgroza, że nie mo-głem jeść. choć byłem głodny jak wilk.

Po pewnym czasie wrócił Josias Shatter. ·

- Dwaj Samowie opowiedzieli mi, co się wydarzyło. Dziękuję wam, sir, za pomoc, jakiej im udzieliliście. Nikt by tego nie powiedział, ale to moi najlepsi myśliwi.



Usiadł w pobliżu mnie na łóżku.

- Nic nie jedliście?

- Nie mogłem - odrzekłem, rzucając mimo woli spojrzenie na „tape-tę”.

- Pah\ Ten, kto wybiera się na Zachód, musi przede wszystkim zostać nad Missisipi uczucie. Jestem Josias Parker z Kentucky, o którym wspomnieliście przedtem. Nie chcę wam opowiadać długiej historii mego życia, bo każdy może tu lakać przeżyć na własnej skórze. Szantunga wbił mi żywcem na pal brata i spalił, porwał żonę i dwoje dzieci, oskalpował i ciała rzucił kojotom, a mnie samego ściga i prześladowa aż do dzisiejszego dnia. Dlatego przysięgam jemu i jego plemieniu zagładę i śmierć. Yanktoni byli silni i potężni, a teraz idźcie i spytajcie, ile głów jeszcze liczą! Both Shatters dotrzymali słowa. Dziś odważył się napaść na moją kryjówkę, ale on i jego czerwoni mordercy znajdą tu śmierć. Spójrzcie!

Podszedł do tylnej ściany i otworzył znajdujące się w niej drzwi. Prowadziły one w głąb dziewiczego lasu. Wszedł na zewnątrz i pociągnął za sznur z bawolej skóry: główne wejście zostało zamknięte mocną zasuwą. Potem wziął z białego w ścianę kołka lont i wkręcił go w wywiercony w podłodze chaty mały otwór.

- Pojmujecie, sir?

Skinałem niemo głową. Miano zwabić wroga do chaty i tam go zamknąć, a kiedy właściciel ucieknie tylnym wyjściem, wysadzić chatę w powietrze. Zbryzgana krwią ziemia nie jest odpowiednią glebą, na której mógłby wyrosnąć kwiat współczucia.

- W Big Horn ukryte jest złoto. Odkryłem kanion z nuggetami wielki-mi jak gołębnie jaja. Połowa ludzi zajmowała się zbieraniem tego całego bogactwa, abyśmy po śmierci Szatungi mieli z czego żyć na Wschodzie. Jestem bogaty, mam tu w pobliżu zakopane złoto. Wytropił moich ludzi, napadł ich i wymordował, a ci dwaj, co szczęśliwie uszli...

W tym momencie na zewnątrz rozległo się gadanie kury preriowej, a zaraz potem padł strzał. Shatter zerwał się, podbiegł do okna i otworzył je dzięki jakiemuś niewidzialnego dla mych oczu urządzeniu. Padło jeszcze kilka strzałów.

Ja także podbiegłem do wejścia i znalazłem się tam w samą porę, aby zobaczyć chmarę Indian, którzy przeprawiwszy się przez strumień usiłovali wdrzeć się na polanę. A więc twarz, o której myślałem, że mi się przywi-działa, była jednak prawdziwa. Szli ostrożnie naszym tropem i odkryli ta-jemne wejście, a biednego Billa Hawkensa musieli złapać po drodze i „zga-sić”.

- Oho. to idzie za szybko! - krzyknął zaskoczony traper porywając z półki hubkę. Lont w podłodze zaczął się tlić w mgnieniu oka. Potem otwo-rzył tylne drzwi.

- Prędko, sir, pomóżcie mi ratować broń!

Gdy na dworze myśliwi naprędce szukali osłony śląc w kierunku naciera-jących Indian dobrze wymierzone salwy ognia, my w najwyższym pośpie-chu zdejmowaliśmy broń ze ścian i pędem wynosiliśmy ją do lasu składając pod wzniesionym na palach daszkiem.

Krótki zmierzch przeszedł szybko w wieczór. Ognisko, z pocz-ątku, zwy-czajem białych podsycane wielkimi polanami i buchające wysokim płomie-niem, teraz tliło się przy ziemi, podtrzymywane jedynie wsuwanymi regular-nie gałęziami. Tak robią czerwonoskórzy, nie chcąc, aby zdradził ich dym i strzelające w górę języki ognia. Indianie nie widzieli w ciemności ukry-tych tu i tam białych i byli wy stawieni na ich kule, sami nie mając możliwo-ści oddania pewnego strzału.

Wtem na polanie rozbrzmiał głęboki głos ich wodza. Na jego rozkaz wy-rwali zza pasa tomahawki i z wyciem rzucili się na traperów ukrytych za porozrzucanymi naokoło pniami.

- Do mnie, chłopcy! - krzyknął Josias Shatter.

Myśliwi wyskoczyli z ukrycia i ścigani przez Indian wpadli do chaty.

- Dalej, uciekajcie w las! - rozkazał, wstrzymując potężnymi ciosami tomahawka napierających Indian.

Przekonałem się na własne oczy, dlaczego tak go nazwano. Shatter to

„siejący zniszczenie”. Ciął nie ostrzem, lecz rękojęcią swej straszliwej bro-  
ni, a każdy jego cios sprawiał, że czaszka rozpadała na kawałki. Biali

193

wybiegli przez tylne drzwi, jego syn także. Pośpieszyłem za nimi, a wtedy  
Josias zamknął drzwi na dwa potężne rygle. Zaglądał przez parę sekund  
przez dziurę w ścianie do pomieszczenia, gdzie kłębili się czerwonoskórzy,  
a potem pociągnął za sznur i przednie drzwi również zostały zamknięte  
z głuchym łoskotem.

- Chata jest pełna. Naprzód, chłopcy, nad strumień!

Pobiegł przodem, a my popędziliśmy za nim. Kto wystrzelał już cały magazynek, brał nabitą broń ze  
sterty wyniesionej przez nas przed chwilą z chaty. W stronę obrzeża polany biegła wąska ścieżka,  
kończąca się nad brzegiem potoku, gdzie skrywały ją gęste krzaki. W parę chwil potem we-  
szliśmy do wody naprzeciw nie strzeżonego już wejścia do kryjówki.

Wtedy nastąpiła detonacja, od której pod naszymi stopami zadrżała zie-  
mia: tam gdzie przedtem stała chata, z ziemi wyrastał potężny słup ognia  
w kształcie lejka, a naokoło widniały porwane wybuchem w górę, a teraz  
leżące naokoło szczątki.

Indianie zebrali się przed chatą, chcąc uwolnić swych zamkniętych tam kompanów. Większość ich  
zginęła, a ledwie opadły na ziemię większe ka-  
wałki drewna, Josias zawołał:

- Bierzcie się za pozostałych! Najpierw strzelajcie, a dopiero potem

sięgnijcie po tomahawki i noże!

Huknęła śmiercionośna salwa, niemal oszalali z przerażenia Indianie prawie nie stawiając oporu padali pod potężnymi ciosami.

- Podosyćcie ogień, chłopcy - rozkazał pułkownik.

Jego rozwiane białe włosy przypominały siano, oczy błyszczały żądzą walki, a kogo dosięgną! jego tomahawk, był zgubiony. Syn stał u jego boku, dając dowody, że jest godnym swego nazwiska: jego tomahawk dopadł nie mniejszej liczby wrogów.

- Ho-ho-hi! - rozlegał się raz po raz zagrzewający do walki okrzyk

nieprzyjacielskiego wodza. Masowa zagłada własnych ludzi wprawiła go w prawdziwy szal. Chciał się rzucić na Josiasa, ale wcześniej musiał przebiec obok mnie. Chwyciłem go za ozdobione piórami, związane z tyłu włosy i odciągnąłem na bok, sposobiąc się do zadania ciosu.

- Stójcie, sir! To Szatunga! Należy do mnie! - zawołał pułkownik, chwytając Indianina w żelazny uchwyt swych ramion.

194

Teraz nastąpiło coś w rodzaju straszliwych zapasów. Obaj mężczyźni stali jak wrośnięci w ziemię, nie padł żaden cios, uderzenie, nie nastąpiło śmiercionośne pchnięcie, z niesłychanym natężeniem pracowały jedynie muskuły. Wiadomo było, że ten, który straci równowagę, będzie stracony.

Wszyscy mieliśmy na karku przeciwników: ale Gruby Sam przyskoczył do nich i wrzasnął:

- Trzymaj go mocno, pułkowniku! Musi mi teraz zapłacić za moją pe-rukę!

Odrzucił tomahawk, wyszarpnął nóż howie. chwycił lewą ręką Szatungę za włosy, a prawą ciął trzykrotnie z błyskawiczną szybkością - silne pociągnięcie i już trzymał w ręku włosy z kawałem skóry oskalpowanego żywcem. Ten z nieartykułowanym krzykiem osunął się na ziemię.

Z gardeł Indian wydobyło się przerażające wycie. Gdy ujrzeli, że ich wódz pada, zebrawszy resztki sił rzucili się do ucieczki. Ruszyliśmy się za nimi w pogoń. Rozpoczęło się dzikie polowanie. Czerwonoskórzy uciekali w górę strumienia. Był tak wąski, że mogło biec obok siebie jego korytem zaledwie dwóch mężczyzn. Tu nie było czasu na zachowanie ostrożności i jakiegokolwiek względy. Pędziliśmy naprzód strzelając, a kto się potknął, zostawał w wodzie. gdy tymczasem inni przeskakiwali przez niego.

Wtem z przodu gruchnął strzał, potem drugi i trzeci. Wycie Indian podniosło się na nowo.

- Naprzód! Nie wiem, co się dzieje, ale musieli natrafić na opór. Oto-czymy ich!

Z przodu ciągle padały strzały: najpierw gromkie, ze strzelby, potem cichsze, z rewolweru, a w końcu zaczęła siać spustoszenie pracująca bezgłośnie, lecz nieustępliwie stal.

- Spokojnie, chłopcy - huknął przed nami jakiś basowy głos. - Są w kleszczach! Nie mają żadnych szans!

Znałem ten głos. Należał do starego ustawiacza sideł, którego moja grupa wybrała na przywódcę.

- Willu Rawley - krzyknąłem do niego - nie wypuść żadnego z nich!

-A, to nasz sir z Niemiec, którego szukamy! Chodźcie, chłopcy, musi-my się do niego przedrzeć!

Po kilku minutach stal przede mną potrząsając przyjacielsko moimi dłońmi.

- Do diabła, sir. martwiliśmy się o was. Potem była robota w zatoce, a teraz tutaj. Gdzie się schowaliście?

- Potem wam opowiem, mister Rowley! Teraz jest co innego do roboty.

Także pozostali myśliwi przystępowali do mnie, dając wyraz radości z naszego nieoczekiwanego spotkania. Indianie zostali pokonani i tylko nie-którym z nich udało się przedrzeć przez gęste zarośla i uciec. Sprawdzili-śmy przede wszystkim, czy wszyscy leżący w strumieniu czerwonoskórzy są martwi, a potem wróciliśmy do kryjówki opatrzyć rany, bo choć potyczka skończyła się naszym zwycięstwem, to nie było takiego, który by nie ucierpiał.

Tym razem ujrzeliśmy „białe” ognisko. Płomienie strzelały wysoko, wydobywając z mroku miejsce napadu i zniszczenia. Josias powitał serdecznie gości, którzy pojawili się w tak odpowiednim czasie. To troska o mnie kazała im dosiąść koni i wyruszyć w prerię. Tam napotkali konia zabitego przeze mnie Indianina, szli jego tropem, a potem natknęli się na liczne ślady Yank-tonów. One to przyprawiły ich nad strumień, do miejsca, gdzie Indianie pozostawili w ukryciu konie. Właśnie szukali przejścia, gdy nastąpiła eksplozja i siup ognia pokazał im drogę, gdzie być może potrzebowano ich pomocy.

Ja także opowiedziałem o tym, co zaszło w ostatnich godzinach, a pułkownik tymczasem zabandażował mi własnoręcznie ranę, jaką otrzymałem od pchnięcia nożem w ramię.

- Teraz wierzę całym sercem, sir, że mieliście Winnetou za mistrza - zauważył, gdy skończyłem.  
- Opowiem mu o was, kiedy się z nim zobaczę. Wypełniłem przysięgę i teraz wracam na Wschód, ale najpierw chcę przejść przez góry i powiedzieć wodzowi Apaczów, co spotkało mordercę jego siostry.

Usłyszawszy ostatnie słowa. Dwóch Samów przystąpiło do niego.

- Weźcie nas ze sobą, cornel\ - poprosił Gruby. - Muszę zobaczyć Winnetou. Dam wam za to skalp Szatungi.

- Nie chcę więcej słyszeć o skalpach. Sam. Moje żelazo przedziurawiło jego czarne serce. Skórę możesz sobie zatrzymać. Jedź ze mną, jeśli chcesz.

- Dziękuję, sir! A Chudy Sam, stary szop?

- Niech jedzie. Przecież jesteście nierozłączni.

- To prawda, cornel. Nie pożałujecie. Po drodze będzie jeszcze piekielnie dużo czerwonoskórych i jak myślę, robotę będą miały strzelby i obu Shatterów, i obu Samów.

- Będą miały! - potwierdził Chudy Sam ze zdradzającą zadowolenie miną, że może zostać przy swoim pułkowniku.

## Selfmademan

Kiedyś na Zachodzie żyło się lepiej, o wiele lepiej niż teraz, mówię wam i powinniście mi wierzyć. Czerwonoskórzy zapuszczali się wtedy dalej niż dzisiaj i należało mieć oczy szeroko otwarte, bo można się było ułożyć jakie-goś pięknego wieczoru do snu i obudzić rano w niebie bez skalpu. To zresztą wcale nie było takie złe. Człowiek potrafił dać sobie radę z czterema albo i więcej Indianami jednocześnie, ale kręcili się tam także biali, a byli tak złośliwi i przebiegli, że mogli zaszkodzić bardziej niż wszyscy Indianie ra-zem wzięci między Missisipi i wielkim morzem.

Szczególnie wiele mówiło się o takim jednym, a był to wcielony diabeł. Sława tego zuchwalca rozniosła się nawet po krajach Starego Kontynentu, słyszałem, że pisały o nim wszystkie gazety. Wy też go znacie ze słyszenia i gdy wymienię wam jego nazwisko, już będziecie w domu. To Kanada Bili, nawiększy łotr i oszust w Stanach. Jest z pochodzenia angielskim Cyganem i nazywa się właściwie William Jones. Przywędrował kiedyś do Kanady i zajął się zwykłym handlem końmi, ale wkrótce doszedł do wniosku, że na kartach zarobi jeszcze więcej. Wyuczył się gry, którą tam w Niemczech nazywają Kummelblattchen, a gdzie indziej trzy karty, i grał w nią na północy w brytyjskich koloniach, przy czym doszedł do takiego mistrzostwa, że odważył się przejść przez granicę i wypróbować swe umiejętności wśród Janke-sów.

## 237

Niebawem wiedziała już o nim cała północ, jako że potrafił ograć naj-sprytniejszych dżentelmenów do ostatniego centa. Potem spróbował szczęścia na Zachodzie, dopuszczając się wszelkich możliwych wybryków, które z dziesięć razy zaprowadziłyby go na szubienicę, gdyby wszystko odbywało się zgodnie z prawem. Ja także miałem z nim do czynienia, a przy okazji poznałem słynnego człowieka, który, no cóż, domyślicie się sami, kogo mam na myśli, zresztą wstęp do ciekawego opowiadania nie może być zbyt długi, bo inaczej słuchacze zawołają „stop” i odejdą, zanim zaczniesz na dobre.

A więc byłem wtedy jeszcze całkiem „zielony”, ale miałem solidne pięści, bystre, szeroko otwarte oczy, tryskałem niepoohamowaną energią i wiedziałem, po co noszę strzelbę na ramieniu, a mój nóż

bowie już niejednego trafił między żebra, choć gość się nie spodziewał, że mu spuszcze krew. Polowałem w górnym biegu rzeki Arkansas na bobry, gdzie zastawiałem całkiem niezłe sidła. Potem sprzedałem skórki przedstawicielom jakiejś kompanii i postanowiłem wrócić między ludzi. Musiałem kupić trochę rzeczy, jako że moje wyposażenie w tym czasie pozostawiało wiele do życzenia.

Mój zamiar wiązał się z pewnymi trudnościami, ponieważ okolica przez którą miałem przejść, była cholernie niebezpieczna. Komańcze, Choctawowie, Seminole i Creekowie walczyli tu ze sobą na śmierć i życie, ale każdego białego uważali za wspólnego wroga. Trzeba było zatem uważać. Moja droga wiodła przez tereny, na których toczyły się walki, poza tym byłem zupełnie sam, zdany wyłącznie na własną czujność i wytrzymałość. Nie miałem nawet konia, ludzie z kompanii wyludzili go ode mnie, dlatego mogłem liczyć jedynie na własne nogi.

Zatrzymałem się niedaleko Smoky Hill i według mych wyliczeń byłem już w pobliżu Arkansas. Natrafiłem na liczne wodospady, zlewające swe wody w stronę rzeki, i wszelkiego rodzaju zwierzynę, jaką można spotkać tylko nad brzegami wielkich rzek.

Właśnie przedzierałem się przez puszcę rozglądając się za odpowiednim miejscem, gdzie mógłbym przenocować, kiedy usłyszałem głęboki męski głos, odbijający się echem w gęstwinie. Sądząc po mowie, był to biały, zatem nie miałem się czego obawiać i przedarłem się przez zarosła w poblizim miejscu, gdzie się znajdował. Jak myślicie, co zobaczyłem?

Na zwalonym pniu drzewa, leżącym pośrodku małej polany, stał mężczyzna, wymachiwał w powietrzu rękami i przemawiał do drzew hikorowych i sykomor, które stały w takim porządku, jakiego nie sposób

238

zaprowadzić na żadnym zgromadzeniu. Mam swoje zdanie w każdej sprawie i nie robię sobie wiele z tego, co do mnie mówią, ale ten człowiek miał taki głos i sposób wysławiania się, że przeszedł mi śmiech, którym miałem wybuchnąć, bo wydał mi się tak piekielnie komiczny, gdy wygłaszał kazanie do chrząszczy i moskitów.

Było, jak już powiedziałem, dość ciemno, nie widziałem zatem dokładnie jego twarzy, ale dostrzegłem, że jest wysoki i silny, krzepki i zręczny jak prawdziwy Jankes. Potem stwierdziłem, że miał wydatny, spiczasty nos i szerokie, zdecydowane usta, kwadratowy podbródek, a mimo błyszczących szczerzością oczu i prostoduszności, jaką dało się wyczytać z jego rysów, potrafił być chyba przebiegły, gdy uznał to za konieczne.

Obok pnia, na którym stał, leżała potężna siekiera i dobra strzelba oraz kilka innych rzeczy przydatnych w tych okolicach. Mężczyzna najwyraźniej ćwiczył się w mowie i wydał mi się typem człowieka, który dzięki walce i pracy, skłaniany ku temu wewnętrzną potrzebą, chce własnymi siłami



osią-gnąć coś więcej, niż mu oferuje Zachód.

„Mówicie: musimy tak pracować nad czarnymi, że nawet wtedy, gdy zostaną okrzyknięci wolnymi ludźmi, z czystego lęku pozostaną przy nas” - perorował. - „To co rasa europejska, niemieccy Jankesi gadają o chrze-ścijańskiej miłości, jest czystą bzdurą! Miłość powinna rządzić! Miłość? Pah! Tu musi rządzić bat! Tak mówicie, ponieważ wasze serca stwardniały i obróci-ły się w kamień, myśląc egoistycznie tylko o własnym zysku. Ale ja wam powtarzam: nadejdzie czas, kiedy...”

Urwał gdyż mnie zauważył. W następnej sekundzie zeskoczył z pnia, chwycił strzelbę i mierząc we mnie krzyknął:

- Stójcie, człowieku! Ani kroku dalej! Kim jesteście?

- Pah! Odłóżcie tę pukawkę na bok, bo nie mam ochoty was pożreć ani otrzymać garści ołowiu w brzuch.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, które widocznie musiało go prze-konać o moich pokojowych zamiarach, ponieważ odłożył broń i skinął głó-wą.

- W takim razie chodźcie tu i powiedzcie, kto z was taki.

- Nazywam się Tim Summerland, sir, jak długo żyję, i nie widzę powo-du, dla którego miałbym się wstydzić mego nazwiska. A jak wasza god-ność?

239

- Jestem Lincoln, Abraham Lincoln. Mam tu przy brzegu tratwę i chcę nią popłynąć na południe. Co was zagnało w te strony?

- Wiele i nic. Opróżniłem kilka sudeł i sprzedałem skórki, a teraz wy-bieram się w dół rzeki, tam gdzie i wy zmierzacie. Moglibyście mnie podrzucić kawałek?

- Chętnie, jeśli tylko jesteście dobrym kompanem, którego towarzy-stwo nie przynosi wstydu, Timie Summerland. Właśnie skończyłem ociosy-wać dłużyce, za którą na Południu dobrze mi zapłacą, a człowiek, który miał ze mną płynąć, ulotnił się, będziecie więc mile widziani na mojej tratwie, jeśli tylko przyłożycie od czasu do czasu ręki do wiosła.

- To się rozumie samo przez się, mister Lincoln. Jak daleko zamierza-cie płynąć w dół rzeki?

- Dopóki nie sprzedam dłużycy. Ale powiedzcie, czy macie zwyczaj robić użytek ze strzelby, którą nosicie na ramieniu? Tu nie jest zbyt bez-piecznie, a dwóch to mało przeciwko tuzinowi czerwonoskórych, którzy kręcą się nad wodą całymi gromadami.

- Niech was o to głowa nie boli, sir. Wydajecie się odważnym człowiekiem, bo inaczej nie wykrzykiwalibyście tak beztrosko w lesie, ale Tim Sum-merland też nie jest wyciosany ze złego drzewa, możecie być tego pewni. Dlaczego wygłaszaliście kazanie, sir?

- Ach, to nieważne! W samotności przychodzą człowiekowi do głowy takie myśli, że inni mogliby odnieść z nich pożytek. Dlatego wyobrażam sobie, że mam ich naprzeciw siebie, i mówię im, co myślę. Może kiedyś dojdzie do tego, że wygłoszę prawdziwe kazanie, zamiast rzucać słowa na wiatr. A teraz chodźmy nad rzekę. Tam na brzegu jest bezpieczniej i wygodniej. Wszystko jest już gotowe i jeśli tylko dzień wstanie pogodny, wyruszamy.

Stwierdziłem ku memu zdumieniu, że do rzeki było zaledwie kilkaset kroków. Przy brzegu unosiła się na wodzie fachowo zbita tratwa załadowana sporą liczbą ociosanych młodych pni, za które Abraham mógł wziąć ładny pieniądz. Był tam też niemały zapas ustrzelonej zwierzyny futerkowej i ptactwa, tak by podczas podróży nie być zmuszonym do polowania.

Zjedliśmy jak przystało kolację, a potem położyliśmy się z fajkami nad wodą i opowiadaliśmy sobie wszystko, co dobrego i złego zdarzyło się nam podczas rozlicznych wędrówek.

240

Abraham Lincoln był w porządku. Sam wiele przeszedł w życiu, ale z uwagą słuchał tego, co przytrafiło się komu innemu. Potem wypowiadał własne poglądy i one to sprawiły, że poczułem przed nim respekt. Kiedy powiedzieliśmy sobie „dobranoc”, wiedziałem już, że znalazłem się w czci-godnym towarzystwie i nie mam powodu wstydić się mego żeglarza.

O świcie zaczęła się nasza podróż. Przebiegała całkiem spokojnie, cho-ciaż od czasu do czasu w naszą stronę wystrzelono jakąś strzałę albo nad naszymi głowami zagwizdała niecelna kula. Na środku rzeki nie musieliśmy się obawiać czerwonoskórych, a gdy wieczorem przybijaliśmy do brzegu, robiliśmy to zawsze w miejscu, po którym spodziewaliśmy się, że będzie bezpieczne.

W ten sposób dotarliśmy w pobliże Fort Gibson. Było południe. Właśnie zamierzaliśmy zejść na ląd, aby doprowadzić do porządku naszą broń, gdy ujrzeliśmy przed sobą osadę i zdziwiliśmy się niemało, nie widząc wartow-ników ani żywej duszy wokoło. Nawet z kominów nie wydobywał się dym, przypuszczaliśmy zatem, że musiało tu zajść coś niezwykłego.

Dla ostrożności nie przybiliśmy do przystani, lecz popłynęliśmy jeszcze kawałek w dół rzeki, tak jakbyśmy chcieli minąć osadę, i dopiero za zakrę-tem skierowaliśmy się do brzegu.

Wtedy Lincoln wziął strzelbę i nóż do ręki, po czym zszedł na ląd.

- Rozejrzę się tu trochę, Timie Summerland, a ty zostaw długą linę od kotwicy, abyś natychmiast mógł ją przeciąć, gdybyś zauważył coś podejrzanego.

Z tymi słowami zniknął wśród leżących wysoko nadbrzeżnych pastwisk.

Musicie wiedzieć, że podczas podróży tratwą zaczęliśmy sobie mówić „ty”. Jeszcze dziś jestem z tego dumny i nie oddałbym tego za żaden urząd czy zaszczyt.

Zrobiłem, jak rozkazał. Na szczęście nie było powodu, aby uciekać z tratwą na środek rzeki. Trwało długo, zanim Lincoln pojawił się znowu, a jego twarz miała na wpół zagniewany, a na wpół przebiegły wyraz.

- Tim, jest tu dla nas dużo roboty. Teraz możesz dowieść, że jest z ciebie dobry westman.

- Jestem gotów. Co takiego znalazłeś?

- Komańcze napadli na fort i wymordowali wszystkich jego mieszkańców. Teraz są na jakiejś wyprawie, zostawili tylko straż w liczbie dwunastu

241

mężczyzn, lecz ci natrafili na brandy i leżą teraz bez czucia na ziemi. Wszedłem pomiędzy nich, ale żaden nawet się nie poruszył. Chodź, jest tam dobry ładunek dla nas.

To był zuchwały zamiar, lecz ja nie miałem ochoty mu go odradzać. W kilka chwil potem byliśmy już w forcie. Najwyraźniej zaskoczeni zniemacka obrońcy leżeli gdzie popadło, ograbieni ze wszystkiego, a przy tym oczywiście pozbawieni skalpów.

Weszliśmy do dużej sali, gdzie zapewne odbywały się zebrania, i tam znaleźliśmy Indian, którzy uraczywszy się do woli „wodą ognistą” leżeli teraz pokodem w przypominającym śmierć stanie wokół przewróconej beczki, z której wylała się reszta zawartości.

- Związać ich! - rozkazał krótko Abraham.

W mgnieniu oka ze skórzanej odzieży czerwonoskórych sporządziliśmy tyle rzemieni, ile nam było trzeba, i w niecałe pół godziny cała dwunastka wylądowała na naszej tratwie, gdzie tak mocno przywiązaliśmy ich do pni, że nie mieli szans na ucieczkę. Na razie byli jeszcze tak pijani, że żaden nie zauważył, co się z nim stało.

Potem wróciliśmy jeszcze raz do fortu, aby uratować resztę znajdujących się tam przedmiotów. Musieliśmy się przy tym śpieszyć, jako że Indianie mogli wrócić lada chwila, a wtedy bylibyśmy zgubieni.

Rzuciło nam się w oczy, że zabici zostali ograbieni, ale nigdzie nie znaleźliśmy żadnego z należących do nich przedmiotów. Ich także przenieśliśmy na tratwę, zamierzając później pogrzebać, kiedy minie już niebezpieczeństwo. Właśnie mieliśmy odbić od brzegu, gdy padły dwa strzały. Były wymierzone w nas, lecz źle wycelowane, gdyż jedna z kul gwizdnęła mi koło ucha, a druga urwała Abrahamowi kawałek rękawa kurtki z bawolej skóry.

W okamgnieniu wyskoczyliśmy z powrotem na ląd i popędziliśmy przez pastwiska do fortu, skąd padły strzały. Leżał tam na ziemi porzucony worek, lecz zostawiliśmy go nie oglądając, gdyż przed nami trzeszczały łama-ne gałęzie i musieliśmy dopaść człowieka, który chciał nas pozbawić życia.

Dotarłszy na skraj zarośli ujrzeliśmy, jak ucieka w stronę fortu, aby schronić się za budynkami. Gdy tylko padły strzały, natychmiast chwyciliśmy za strzelby, a teraz podnieśliśmy je w tym samym czasie i w następnej sekundzie trafiony upadł na ziemię.

242

Podbiegliśmy do niego. Został trafiony w pierś i bez wątpienia już nie żył.

- Znasz tego człowieka, Timie Summerland? - spytał Lincoln obracając ciało stopą.

- Nigdy go nie widziałem.

- W takim razie przyjrzyj mu się dokładnie. Zabiliśmy słynnego próżniaka. To Kanada Bili.

- Kanada Bili? Czy to możliwe? Czego on tu szukał? Myślałem, że jest tam w dole, nad Red River, a przynajmniej tak mówiono.

- Bywał wszędzie, a także i tutaj, jak widzisz. Kto wie, jaką odegrał rolę w napadzie? Stoi teraz przed Tym, przed Którym odpowie za swoje czyny.

Schylił się i zaczął przeszukiwać jego odzież. Nie było w nim śladu życia, a jego kieszenie okazały się kompletnie puste.

- Chodź, Tim. Zostawimy go, bo nie jest wart, abyśmy z jego powodu wystawiali się dłużej na niebezpieczeństwo.

Wróciliśmy do worka. Okazał się ciężki. Gdy rozwiąaliśmy go na tra-twie, znaleźliśmy w nim oprócz kasy fortu: kilka zegarków, łańcuszków i pierścionków, a także sporo kosztownych drobiazgów, jakie mają zwyczaj nosić oficerowie. Teraz już nie mieliśmy wątpliwości, jaką rolę odegrał w czasie napadu Kanada Bili. Chciał ujść z łupem i nasza tratwa wydała mu się doskonałym środkiem transportu. Resztę miało wyjaśnić przesłuchanie schwytanych Indian, których przebudzenia oczekiwaliśmy z wielką niecierpliwością, choć z innych powodów ich obecny stan był dla nas wygodniej-szy.

Odbiliśmy od brzegu i wkrótce znaleźliśmy się w środku niosącego nas szybko do przodu, wartkiego nurtu. Abraham Lincoln stał na przedzie tra-twy, wypatrując węży, aligatorów i Indian, w tamtych stronach trzech naj-większych wrogów żeglarzy. Nie przypuszczałem wtedy, że wkrótce stanie się najważniejszą osobą na tratwie „Stany Zjednoczone” i przeprowadzi nas pewnie przez najzłośliwszy z prądów rzek, w jakich kiedykolwiek się pły-wało.

\* \* \*

243

Kiedy między dwiema opowieściami mija parę lat, to można też w sa-mym opowiadaniu zrobić przerwę. W życiu nie wszystko idzie gładko i niekie-dy wiatry rzucają westmana Taż tu, raz tam, robiąc mu na złość.

Doświadczyłem tego sam na sobie. Przybyłem kiedyś do Vicksburga, gdzie zamierzałem dobrze wypocząć. Pshaw\ Traperska krew nie zgadza się na żaden wypoczynek, z wyjątkiem tego, jaki przynosi ostatnia kula. ostrze wrogiego noża czy ołów. Minął tydzień, a czas zaczął mi się niemiłosiernie dłużyć. Opanowała mnie chęć, aby znów gdzieś wyruszyć, tak więc spacerowałem jak dzień długi wzdłuż rzeki, wypatrując czegoś, co nadałoby odpo-wiedni kierunek mej decyzji.

Stoję sobie któregoś dnia na quai, czy jak tam to nazywają, radując się ludzkim tłumem kłębiącym się w okolicy przystani, dokąd przyplływają i skąd wypływają parowce, gdy nagle widzę twarz, mówię wam, twarz, której nigdy nie zapomniałem, chociaż minęło już prawie dwadzieścia lat od mo-mentu, kiedy ostatni raz miałem ją przed sobą.

- Betty, Betty Kroner! - wykrzyknąłem przeciskając się w jej kierun-ku. - Błogosławieństwo mych oczu, tyś to czy nie ty?

- Tim! - zawołała składając ręce ze zdziwienia i zachwytu. - Tim Summerland! Co za szczęście, że cię spotykam!

- Tak, to prawdziwe szczęście, Betty, piekielnie wielkie szczęście! Pa-miętasz jeszcze tamte czasy7, gdy pragnąłem cię pojąć za żonę, a ty nie chcia-łaś, lecz wolałaś Finka Panshiawa? To były przekłete... piękne czasy, chcia-łem powiedzieć, Betty! Wyjechałaś z Panshiawem, aleja cię nie zapomnia-łem, i pamiętam po dziś dzień. Do diabła, to ma związek z tym, co nazywają miłością, osobliwa sprawa! Jak ci się wiedzie i co cię przyгнаło do Vicksbur-ga?

Jej oczy naraz zwilgotniały, mówię wam, błysnęły w nich łzy, tak że prze-ciągnąłem ręką po czole, bo muszę wam powiedzieć, że widziałem wiele, ale płaczącej Betty Kroner - nigdy!

- Ach, Tim, źle mi się wiodło - odparła wśród łez - a teraz przyszło to najgorsze!

- Na Boga, to niemożliwe! - wykrzyknąłem. -Kto jest temu winien, Betty? Przyrowadź go tu do mnie, a ja tak ścisnę mu szyję, że będzie musiał biec z pięćdziesiąt mil za swą duszą, zanim zrozumie, że już jej nie odzyska!

244

- Jak mam ci powiedzieć, kto to, skoro sama nie wiem?

- Więc opowiadaj! Albo chodźmy do sklepu po drugiej stronie, tam usiądziemy i porozmawiamy nie przeszkadzając nikomu. Poszła ze mną i rozpoczęła swą opowieść.

- Panshław nie żyje już od dawna, moja najmłodsza córka, Ellen, ma osiem lat. Kochałam ją najbardziej ze wszystkich, a teraz i ją straciłam!

- Straciłaś?! Do diabła! Mówisz, że straciłaś dzieci. Betty?

- Tak, wszystkie czworo - załkała rozpaczliwie. - Wyjechałam z Pan-shiawem do Nowego Orleanu, gdzie przebywałam jeszcze parę tygodni temu. Wtedy napisała do mnie szwagierka z Północy, abym przyjechała do niej z dziećmi. Zesłam tu na ląd, bo musiałam zrobić zakupy, a gdy wróciłam na statek, dzieci już nie było. Nie dowiedziałam się niczego ponad to, że zabrał jej jakiś dobrze ubrany mężczyzna, twierdząc, że ma je zaprowadzić do matki.

- Na mój nóż Bowie, co za piekielna historia! Co teraz zrobimy?

- Nie wiem, Tim. Byłam na policji, lecz nic to nie dało. Biegałam po mieście wzdłuż i wszerz, dzień i noc - daremnie. A teraz pieniądze mi się skończyły, bo wydałam sporo na przejazd, i jestem w obcym mieście, gdzie nie ma nikogo, kto by mi pomógł i doradził.

- Do diabła, Betty, to nieprawda! Czyżbyś miała Tima Summerlanda za nic, zupełnie za nic?

- Wybacz, Tim, ale przecież nie wiem, czy nie jesteś na mnie zły za tamto i czy znasz tu kogoś, kto mógłby mi pomóc.

- Ja miałbym być zły na ciebie? Temu, kto by ci to wmawiał, rozwalę głowę tak, że będzie mu przypominała starą mapę! A moje znajomości? Coś ci powiem, Betty: Tim Summerland nie ma żadnych znajomości, ale ma pieniądze, dużo pieniędzy, i chętnie wydaje po to, aby odnaleźć twoje dzie-ci.

Sprawa była zresztą bardziej skomplikowana, niż myślicie. Betty była mianowicie wyzwoloną Murzynką i miała sporo ciemnej krwi w żyłach, o czym świadczył nie tylko kolor skóry, ale także paznokcie. Jej dzieci mia-ły zatem te same znaki szczególne i jeśli jakiś szubrawiec zabrał je ze statku i sprzedał jako niewolników, to nie byłoby łatwo ich odnaleźć, nawet gdyby się wiedziało, kim on jest.

245

Przede wszystkim zaprowadziłem ją do właściciela pensjonatu, gdzie się zatrzymałem. Jego żona przyjęła ją bardzo uprzejmie. Tam Betty opisała mi ze szczegółami, minuta po minucie, co zaszło, i wtedy wyruszyłem na po-szukiwanie śladów człowieka, którego jeszcze wtedy nie znałem.

Mój całodzienny trud okazałby się daremny, gdybym przypadkiem nie zaszedł do baru w hotelu „Washington”.

Siedzieli tam piekielnie szacowni dżentelmeni i patrzyli złym okiem na starego Tima Summerlanda, że odważył się wejść do takiej dystygowanej spelunki. Ale że on jest lepszym człowiekiem niż wielu tamtych, co to za-dzierają nosa, robiąc nim dziury w niebie, nie dał się onieśmielić.

Wtem do środka wchodzi ktoś, kto bardziej przypomina dżentelmena niż oni wszyscy, obrzuca zebranych spojrzeniem, jakby chciał odstrzelić im głó-wy od tułowi, i już odwraca się, żeby wyjść, gdy nagle dostrzega mnie. W jego oczach pojawia się błysk, podchodzi do mnie i wyciąga rękę na powitanie.

- Tim Summerland, stary przyjacielu, jakie wiatry przywiały cię w to miejsce?

- Lincoln! Abraham Lincoln! Z krwi i kości!

- To ty, ty Tim, dokładnie jak wtedy, gdy przywiązywaliśmy dwunastu Indian z Fort Gibson do tratwy. Chodź do mojego pokoju. Opowiesz o wszy-stkim.

Pomyślcie sobie, ten człowiek w czasie, kiedy go nie widziałem, został kapitanem i nawet prawnikiem, adwokatem, jak nazywa się takiego w starym kraju, a wszystko to bez szkół, tylko dzięki własnej pracy. Teraz miał coś do załatwienia w tej okolicy i dlatego mieszkał w hotelu, a chciał odpłynąć następnym parowcem. Nie byłbym sobą, gdybym mu od razu nie opowie-dział o Betty. Wysłuchał mnie uważnie, ale nic nie powiedział, kiwał tylko głową, tak jakby to wszystko było mu już znane.

- W porządku, Tim - powiedział potem - trafiłeś na właściwego czło-wieka i odzyskasz dzieci, jeśli zechcesz.

- Czy zechcę? Zastrzelę każdego, kto będzie mówił inaczej, i obiegnę pięćdziesiąt razy ziemię, jeśli tylko będę wiedział, że je znajdę!

- Dobrze, bardzo dobrze! Jak w takim razie wyglądał mężczyzna, który zszedł z nimi z pokładu?

246

- Jak każdy inny. Miał spodnie w kratkę, szarą kurtkę, żółtą panamę na głowie, nos, dwie nogi i...

- I kuśtykał, kuśtykał, prawda, Tim?

- Na Boga, steward mówił coś takiego, ale nie wiedział dokładnie! Znasz tego łotra, Abrahamie?

- Odrobinę. Muszę ci mianowicie powiedzieć, że zostałem upoważnio-ny do szukania człowieka, którego pewien sąd chciałby chętnie widzieć przed sobą. Przemieszcza się ze stanu do stanu i nikt nie może go znaleźć, ale ja już depczę mu po piętach. Wydaje się, że między Yicksburgiem a Missouri uprawia niezły kidnapping, porywa ludziom dzieci i sprzedaje je w połu-dniowych stanach, gdzie za ten towar płacą ładną cenę. Chcę ukrócić to j ego rzemiosło. Chcesz iść ze mną?

- Jasne. Kiedy wyruszamy?

- Natychmiast.



- W porządku, jestem gotów. A Betty?

- Zostanie tutaj. Zajrzymy jeszcze do niej i zostawimy trochę pieniędzy, żeby do naszego powrotu nie cierpiała biedy.

- Lincoln, niech mnie pożre aligator, jeśli kiedykolwiek zapomnę, że...

- Już dobrze, Tim! Jestem całkowicie zdany na siebie, bo ludzie z Południa, usłyszawszy o sprawie, z jaką przybywam, odniosą się do mnie wrogo. Kto wie, czy nie znajdę się w opałach, dlatego będzie mi miło mieć przy sobie kogoś, na kogo można liczyć.

- Well done, zatem wyruszamy razem, zupełnie tak jak wtedy, gdy Kanadzie Billowi daliśmy posmakować naszego ołowiu, a potem tak pięknie załatwiliśmy czerwonoskórych w Kidron.

- Jeśli chodzi o Kanadę Billa, to muszę ci powiedzieć, że nierzadko przebywał właśnie w tej okolicy. Ponoć ma nad Red River jakieś wielkie bagna i zakatował tam pejczem dla własnej przyjemności wielu czarnych. Z kartami też umie się obchodzić jak dawniej i całkiem niedawno wygrał w St. Louis dwadzieścia tysięcy dolarów. Albo się tam nad Arkansas pomyliłem, sądząc, że go zabiliśmy, a jemu nic się nie stało, albo nasze kule okazały się dla niego niewystarczające. A teraz jedź i pij, bo niebawem się zbieramy!

Mówię wam, ludzie, to było cudowne spotkanie i naprawdę się nim ucieszyłem. Lincoln stał się dżentelmenem, jakich spotyka się jedynie w książkach, i było po nim widać, że zajdzie jeszcze wyżej. Ku memu zdumieniu

wyciągnął z kufra stare ubranie traperskie i w chwilę potem stał przede mną takim, jakim go spotkałem kiedyś w lesie.

- Teraz jestem gotów, Tim. Nie ma potrzeby rozgłaszać całemu światu, kim się jest i co się zamierza. Kufer pošlemy do twojej Betty, niech go za-trzyma na znak, że wrócimy.

W godzinę później płynęliśmy parowcem. Wyszukaliśmy sobie miejsce na pokładzie, jak prostym westmanom przystało, i ulokowaliśmy się możliwie wygodnie.

Podróż trwała cztery dni. Nie pytałem, gdzie wysiądziemy, nie interesowałem się także tym, co Lincoln robi i zamierza. Wiedziałem, że mi wszystko powie we właściwym czasie. Zwracał baczna uwagę na każdego, kto wsiadał na statek, choć nie zauważył tego nikt inny, tylko ja.

Potem, gdzieś w okolicy Gamecity, jakaś łódź dostaczyła na pokład męż-czyznę z dwojgiem dzieci. Już na pierwszy rzut oka było widać, że mają w żyłach murzyńską krew. Wydawało się, że bardzo się go boją, ponieważ po-zostały w kącie, do którego ich zaprowadził.

- To nasz człowiek - szepnął Abraham.

Rzeczywiście utykał nieco, lecz miał na sobie inną odzież, niż wcześniej opisano. Pozostał na pokładzie do wieczora, a potem wsiadł z dziećmi do łodzi, która zda się czekała na niego na środku rzeki.

- A niech to lichy! - westchnął Lincoln. - Ma się na baczności i je-szcze gotów nam ujść. Zobaczmy, co się da zrobić.

Podszedł do kapitana i zamienił z nim parę słów. W niedługim czasie spuszczo na wodę łódź, napędzaną sześcioma wiosłami, a my zeskoczyli-śmy do niej i popłynęliśmy we mgle. Ludzie przy wiosłach chcieli jak naj-prędzej wrócić na pokład parowca, starali się więc jak mogli. Ci ze ściganej łodzi nie zauważyli nas, choć przybiliśmy do brzegu niemal w tym samym czasie. Wylądowaliśmy w dalszym miejscu niż oni, bacząc, aby nie stracić ich z oczu.

Droga wiodła obok plantacji leżącej niedaleko rzeki. Kiedy mężczyzna dotarł do części, gdzie mieszkali Murzyni, gwizdnął i zaraz pojawił się do-zorca z pejczem w dłoni. Było ich tam zresztą kilku.

- Masz tu dwoje nowych. Daj im jeść i pozwól im pobawić się z innymi, aby nie ryczały, ale jeśli nie da się ich uspokoić, to przejedź im rzemieniem po plecach.

Nasz nieznajomy wszedł do domu mieszkalnego. Dostaliśmy się tam okrężną drogą, starając się, aby nikt nas nie zauważył. Na werandzie nie było nikogo, w salonie też, ale z otwartego okna na parterze padało światło. Przemknęliśmy się tam. Przy stole siedziało trzech mężczyzn, między nimi nowo przybyły. Drugi mógł być plantatorem, a trzeci, jak mi Bóg miły, to był Kanada Bili, w najdrobniejszym szczególe taki sam, jakim go widzia-łem u swoich stóp tam w górze rzeki Arkansas.

- Ile przywieźliście dzisiaj, Villmers? - spytał właśnie on.
- Dwoje. To była ciężka praca, prawie taka jak z tamtą czwórką, którą przywiozłem wam z Vicksburga. Są już posłuszne?
- Nie ma strachu, głód i pejcz potrafią zrobić swoje. Thanny już się postara, aby na nich nie stracić. Jutro wybieram się nad Red River. Jeśli tych dwoje przypadnie mi do gustu, to odkupię je od was i zabiorę ze sobą.

Lincoln pociągnął mnie w ciemne miejsce.

- Zrozumiałeś, Tim?
- Chyba tak.
- To jest prawdziwy Kanada Bili.
- Najprawdziwszy.
- Nasze strzały nie odebrały mu życia i Indianie wyleczyli go ziołami.
- I ja tak myślę. Może dowiemy się dziś od niego, co tych dwunastu wtedy w Kidron tak uparcie przemilczało. Dobrze, że dostali po kuli.
- Nie sądzę, że się czegoś dowiemy, sytuacja nie jest korzystna. Tirnie Summeriand, teraz będę potrzebował twojej pomocy.
- Odpowiada mi to.
- Mam tu nakaz aresztowania, lecz nie na wiele mi on posłuży.
- Pewnie tak. Na Billa?
- Nie, na tego, który każe się tu nazywać Willmersem.
- Ach tak!
- Porywa dzieci Mulatom.
- I sprzedaje je dalej?
- Właśnie tak. Thanny ma ich cały skład. Bili przybył tu, aby coś kupić.

- Jeśli mnie słuch nie mylił, to tak.

- Jak je wydostaniemy? Dobrowolnie ich nie oddadzą. Nie złączną się prawa i mego rozkazu, na pomoc też nie możemy liczyć...

249

- Hm, a co by było, gdybyśmy się tak próbowali obejść bez pomocy, Abrahamie? Mam piekielnie dobrą strzelbę, a reszta też nie wygląda tak źle.

- Myślałem już o tym i jeśli o mnie chodzi, jestem gotów. Nie ma innej drogi. Ale jeśli się nie powiedzie, będziemy zgubieni i dlatego chcę cię...

- Silence, stary prawniku! Idę z tobą i na tym koniec. Betty musi odzyskać swe dzieci. Nie boję się tych handlarzy żywym towarem!

- Tak powinno być! Jeszcze tego nie było, z pewnością nie, ale my obydwaj staniemy się do jutra panami tej plantacji. O ósmej rano przepływa tędy zmierną w górę rzeki parowiec „Wilson”. Dowiedziałem się, że kapitan nazywa się Haller i jest Niemcem. Komuś takiemu można zaufać; jego gościnność nas ochroni, dopóki będziemy na jego pokładzie. Znam Niemców, to ludzie honoru w każdym calu i nie chcą słyszeć o niewolnictwie. Przygotuj nóż, aby był pod ręką, weź strzelbę i chodź!

Dotarliśmy nie zauważeni, a zatem bez przeszkód na werandę i do salonu. Od tamtych trzech dzieliły nas już tylko drzwi. Lincoln otworzył je kopniakiem i wszedł do środka.

- Good evening, panowie! Podszedł do okna, spuścił żaluzje i zamknął okiennice, ja tymczasem zostałem przy zamkniętych natychmiast drzwiach mierząc do nich ze strzelby. Mężczyźni zerwali się, ale zaskoczenie odebrało im mowę.

- Siadajcie, dotrzymam wam towarzystwa.

Trzymając nabity rewolwer w ręku, przysunął sobie bujak i usiadł na nim.

- Do diabła, mister, czego pan tu szuka? - warknął Kanada Bili.

On pierwszy oprzytomniał i sięgnął ręką do pasa.

- Nóż niech tam zostanie. Bili! Daję słowo, że odstrzelę wam rękę, jeśli jej stamtąd natychmiast nie cofniecie! Widząc, że to nie żarty. Bili posłuchał.

- Pytacie, czego tu szukam? Hm, chciałbym się dowiedzieć, jak to się stało, że jesteście żywi, bo przecież powaliła was moja kula w Fort Gibson. Moja tratwa i worek były chyba warte tych dwóch strzałów, które miały nas obydwu wyprawić na tamten świat. Jak widzicie, musimy wyrównać rachun-ki!

- Wiwat, mam was! - zawołał Bili podrywając się radośnie. - Jeste-ście mi winni odpowiedź, gdyż...

- Dobrze. Siadajcie, Bili, bo inaczej posmakujecie mojej kuli! A więc zgodziliście się, żeby...

250

- Zgodziłem się? Na nic się nie zgodziłem! W ogóle nie wiem, co ma-cie na myśli. Wiem tylko, że jesteście przeklętym detektywem, którego ode-ślę do domu z kwitkiem!

- Nie jestem detektywem, a przynajmniej nie dla was. Bili, a do domu wrócę, jak będę miał ochotę. Sprawa między nami jest prywatnej natury. Zatem powiem wam, panowie: ten mężczyzna przy drzwiach odbierze wam broń, bo pewnie ją macie przy sobie. Nie stawiajcie oporu, bo tego, który będzie robił groźne miny, natychmiast zastrzelę!

- Najpierw coś powiem - odezwał się Thanny, który do tej pory mil-czał przerażony. - Jestem właścicielem tego domu, a ten, kto mnie w nim napada, jest rabusiem. Zawołam mych ludzi, żeby go schwytali!

- Nawet powinniście to uczynić, ale jeszcze nie teraz. Podejdź tu, Timie Summerland, weź nóż i pokaż im, jak tnie.

- W porządku, stary przyjacielu! Kto tylko się ruszy, posmakuje jego ostrza. Pokażcie no, co tam macie.

Nabrali dla nas respektu i posłuchali. Jedynie Bili i Yillmers mieli przy sobie broń. Bili nóż, a ten drugi nóż i rewolwer. Odebrałem im to wszystko i wróciłem na swój posterunek koło drzwi.

- Tak, to był wstęp - uśmiechnął się Lincoln. - Teraz przejdziemy do rzeczy. Każdemu z was powiem, co mam mu do powiedzenia, a inni mają w tym czasie milczeć, bo inaczej moja kula wchodzi się do rozmowy! Will-mers, znam was. Nazywacie się właściwie Jonas Forbisch i przez następne kilka dni będziecie mi towarzyszyć.

Mężczyzna zbladł.

- To kłamstwo! Mówicie nieprawdę! Nazywam się...

- Stop! Z wami już skończyłem. Powiecie jeszcze jedno słowo, a będzie po was! Bank amerykański zobaczy znowu swego urzędnika, który umiał tak szybko zniknąć, już ja się o to postaram, możecie być pewni! A teraz wy, Bili. Zadam wam pytanie, a wy odpowiecie „tak” lub „nie”. Powiecie jeszcze jedno słowo albo będziecie zwlekali z odpowiedzią dłużej niż minutę, za-strzelę was. Nazywam się Lincoln, Abraham Lincoln. Zakonotujcie to sobie!

- Czego chcecie?

- Czy oddacie mi dobrowolnie kupione od Forbischa zrabowane dzieci, jeśli wam przyrzeknę, że nie będę już wspominał o Fort Gibson?

- Tak - zabrzmiało po chwili. - Tak, jeśli...

251

- Milcz, bo strzelam! Nigdy nie żartuję. Otrzymacie zpowotem sumę, jaką za nie zapłaciliście, jeśli jeszcze znajduje się przy Forbischu. A teraz wy, czcigodny panie Thanny. Odpowiedz na me pytania zgodnie z prawdą, bo inaczej przy najmniejszym oporze położę was trupem. Jeśli mnie posłuchacie, włos wam z głowy nie spadnie. Czy ci dwaj ludzie mieszkają w waszym domu?

-Tak.

- Macie tu w swoim obozie towar od Yillmersa?

-Tak.

- Nie będę oceniał waszego sposobu handlowania, ale jeśli naprawicie wszystkie szkody, to nie wam się nie stanie. Zaprowadzicie mnie teraz do pokoju Forbisha. ale jeśli powiecie do kogoś słowo albo dacie znak, będziecie zgubieni. Tim, zatroszcz się o to, aby tu wszystko po moim powrocie było tak samo, jak zostawiam w tej chwili.

- Rozumie się samo przez się.

Nie było to łatwe zadanie i nieobecność Abrahama wydawała mi się co-kolwiek za długa. Minęła bowiem prawie godzina, zanim wrócił. Przyszedł sam, a dowody znalezione w pokoju urzędnika stawiały nas w szczęśliwej sytuacji. Plantator obiecał nie mieszać się w nasze sprawy, jeśli zostawimy go w spokoju i nie będziemy molestować, a Lincoln w swej mądrości okazał mi zaufanie.

Z pozostałymi dwoma mieliśmy jeszcze trochę roboty, ale została szczęśliwie zakończona, ponieważ plantator rzeczywiście dotrzymał słowa, nie okazywał nam wrogości i nie wchodził w drogę.

Następnego ranka opuściliśmy farmę z Forbischem w więzach i tuzinem dzieci, a szczęśliwe zakończenie całej historii zawdzięczaliśmy jedynie osobowości Abrahama, Kapitan Haller wziął nas na pokład. Co prawda po drodze mieliśmy jeszcze małą przeprawę z naszym więźniem, ale to była drobność wobec tego, na co się wazyliśmy poprzednio, i dotarliśmy szczęśliwie do Meksburga.

Możecie wyobrazić sobie radość Betty, gdy ujrzała dzieci! Inne już po drodze zostały oddane rodzicom. Zostałem w Vicksburgu i... no cóż, historia z Finkiem Pansławem, którego wołała ode mnie, została zapomniana, Betty ma teraz drugiego męża, a jest on lepszy niż ten pierwszy i nazywa się Tim Summerland.

252

Lincoln natomiast pojechał z urzędnikiem na Wschód. Już g<sup>®</sup> nigdy po-tem nie widziałem, lecz wiele o nim słyszałem. Zna go wszyscy i zna cały świat. Zastrzelił go Booth, niech go diabeł porwie, ale on mimo to żyje tam w Stanach, ponieważ to, co uczynił, posłuży całym stuleciom. Takie O Abrahama kraj nie będzie miał już nigdy. Kiedy tak teraz siedzę i myślę o nim, ciągle jeszcze dźwięczy mi w uszach: „Ty, ty, Tim, zupełnie jak wtedy”. Tak, to był wyjątkowy człowiek, selfmademan, i nie spotkasz drugiego takiego, miał dobre serce, był twardy jak hikorowe drzewo, a przy tym dobroduszny jak... jak... jakimi potrafią być tylko Niemcy. Niech Bóg mu nagrodzi!

Zemsta Ehriego

Na szesnastym stopniu szerokości południowej i dwieście dwudziestym szóstym długości wschodniej od Ferro, a dwieście szesnastym od Paryża leży archipelag odkryty w 1606 roku przez Quirosa. Po raz pierwszy zbadał go gruntownie w 1769 roku słynny Cook i na cześć Królewskiego Towarzystwa Nauk w Londynie nazwał Wyspami Towarzystwa.

Szeroki pas wodny rozdziela go na dwie grupy wysp: nawietrzną i zawietrzną. Do pierwszej z nich należy Tahiti albo Otaheiti, o największym znaczeniu dla całego archipelagu, Maitea, zwana także Osnabruc, i Eimeo albo Moórea. Wyspy zawietrzne to Huahine, Raiatea, Tahaa, Bora Bora i Maurua albo Maupiti.

Cały ten archipelag jest pochodzenia wulkanicznego, ale maleńkie, nie-mal mikroskopijne stworzenia, „budowniczości morza”, rośliny-zwierzęta, otaczają każdą oddzielną wyspę ostrym, poszarpanym pierścieniem rafy, na którym z biegiem czasu powstaje nowy ląd, ale jednocześnie czynią nader niebezpieczną żeglugę pomiędzy wyspami.

Ziemia owych wysp jest żyzna i urodzajna. Wzgórza porośnięte są gęstymi lasami, a nadbrzeżne równiny nawodnione licznymi potokami, tak że roślinność jest tu wyjątkowo bujna. Rośnie tu w wielkiej ilości trzcina cukrowa i bambus, drzewa chlebowe, palmy, banany, płatany, bataly, zboże, yamy i inne charakterystyczne dla Południa rośliny.

265

Mieszkańcy są pochodzenia malajsko-polinezyjskiego, o skórze ciemnej miedzi, przy czym kobiety są z reguły nieco jaśniejsze, silni, a przy tym proporcjonalnie zbudowani, towarzyscy, gościnni i dobrodusznicy. Żyją w związkach monogamicznych. choć trzymają kobiety w pewnym odosobnieniu, kochają muzykę, taniec i fechtunek.

Z początku ciążyli oni ku religii politeistycznej, gdzie ofiara z życia człowieka nie była niczym niezwykłym. Miejscowi szamani, lekarze i wieszcz-biarze wywierali na nich wielki wpływ, któremu przeciwdziałała założona już przy końcu osiemnastego wieku angielska misja. Później i Francja wysłała tu swych misjonarzy, aby „biednych pogan”, wiodących zresztą zadowolone, szczęśliwe życie, uchronić od wiecznego potępienia i pozyskać dla nieba. Dotychczasowi poganie przeobrazili się zatem w chrześcijan, ale trudno powiedzieć, czy wyszło im to na zdrowie. Jest to pytanie, które wyznawca Chrystusa najchętniej pozostawia bez odpowiedzi.

Cywilizacja ma w sobie coś z barbarzyństwa, światło swój cień, miłość - egoizm, a z miejsca wiecznej szczęśliwości można, jak uczy przypowieść o biednym człowieku i Łazarzu, zajrzeć do piekła. Miłość Chrystusa, łaska i przebaczenie zostały przez nieprzejednanych zelotów poniesione na końcach mieczy w świat, służąc za sztandar dla wyrachowanej żądzy zdobywania coraz to nowych terenów. Całe rasy i narody zniknęły albo dogorywają w przedśmiertnych drgawkach, historia przyszłości straciła przez to ważne siły i momenty, a dobry pasterz, „z narażeniem życia szukający zagubionej owieczki”, która zresztą nigdy nie należała do jego stada, pokazuje plecy licznym złym chorobom, szukającym ofiar w swoich stajniach.

Kiedy odkryto Wyspy Towarzystwa, znaleziono tam dziecięco naiwnych, pozbawionych życzeń i żyjących w rajskiej niewinności ludzi, którym hojna natura dawała wszystko, w nadmiarze zaspokajając ich potrzeby. Obcych



przyjmowano z radosną gościnnością, byli czczeni niemal jak bogowie i dostawali wszystko, czego zapragnęły ich serca. Wróciwszy potem do ojczyzny opowiedzieli o tym, a tamtejsze pragnienie podobnych przyjemności i chęć pomnożenia szczęśliwości wyspiarzy przez zanieśenie im słowa Bożego łączyły się z dążeniem do narzucenia wyspom politycznej zależności. Wypo-  
sazono okręty, zabrano broń, egzemplarze Biblii, duchownych - i wyruszo-  
no na archipelag. Zaczęło się nawracanie, broń i przywleczone tu choroby  
siały spustoszenie, zakazano składania ofiar z ludzi, choć wcześniej Pan

266

Bachus i Pani Wenus zbierali tu hekatombę ofiar, tak że wkrótce „biedni poganie” stali się pokornymi „owieczkami”, pomiędzy którymi tylko z rzadka pojawiał się jakiś uparty baran, najwyraźniej o „złych skłonnościach”, choć wcale nie zależało mu na tym, aby znaleźć się tam, gdzie jest „płacz i zgrzytanie zębów”. Dobra, wrażliwa istota ludzka nie jest nigdy tak skłonna do nienawiści jak wtedy, gdy na siłę chce się ją uszczęśliwić. Owo przyjazne dążenie kosztowało już wiele krwi, pozbawiając miliony - któż je zliczy - charakteru, ojczyzny, życia i własności.

\* \* \*

Tahiti, „perła mórz połuniowych”, leżała pod wspianą błękitną kopułą nieba, słońce rozświetlało swym blaskiem taflę morza i porośnięte lasami pasmo gór Orohena, skrzyło się w strumieniach i małych kaskadach spływających z malowniczo wyrzeźbionych skał, ale jego żar nie dosięgał ukrytej w cieniu palm wioski i niezliczonych drzew owocowych, owiewanych rześką chłodną bryzą.

W łagodnym powietrzu kołysały się korony palm kokosowych i szeleściły liście bananowców, roztaczając upojny zapach opadały przekwitnięte kwiaty pomarańczy, mimo iż gałązki drzew pokrywały już obficie złotożółte owoce. Był to jeden z owych cudownych, czarodziejskich dni, odznaczających się takim bogactwem i wspianąłością, jakie można spotkać jedynie w tropikach, w swej rajskiej piękności tak młody i świeży, jakby dopiero co wyszedł spod ręki Stwórcy. Na zewnątrz o rafę koralową rozbijały się fale przyływu w swej głębokiej, odwiecznej pieśni. Czasy się zmieniły, a wraz z nimi ludzkie; tylko bezkresne, stale zmieniające się morze pozostało takie, jak było;

jak przed tysiącami lat rozbijało się kryształową masą o ostre rafy; błyszczą-ce głowy fal wznosiły się i opadały, jak gdyby tysiące najad patrzyło w górę, śledząc ich okryte pianą szmaragdowe wierzchołki. Tutaj skazany na po-wolną zagładę lud liczył ostatnie minuty swej niezależności.

Na brzegu rozciągało się Papeete, największa miejscowość Tahiti, a na jej uliczkach kłębił się barwny tłum tubylców w białych, niebieskich, czerwonych, pasiastych albo w kwiecistych długich szatach. Jak pięknie

267

przystojne dziewczęta ozdobiły wijące się jedwabiste czarne włosy śnieżno-białymi kwiatami maranty! A jak wytworne, a przy tym dumne były ruchy miejscowych elegantów, którzy kokieteryjnie zawiązali wokół bioder barw-ne pareu lub udrapowali faldziste marra, a na ramiona narzucili tebuta\ Mieli długie, błyszczące od tłuszczu włosy splecione białą tapa i czerwony-mi wstążkami, co pasowało do ich brązowych twarzy.

Naraz wszyscy rzucili się w kierunku brzegu. Zbliżało się kanoe z wyde-tym od wiatru żaglem, tak że siedzący w nim człowiek potrzebował wiosł tylko dla utrzymania obranego kursu.

Kanoe było jednym z będących tu w powszechnym użytku rodzajów ło-dzi, wyciosanym z jednego pnia i o zaokrąglonym dnie. Dlatego żegluje się nim szybciej, ale też jest bardziej wywrotne, jeśli nie chronią go przed tym tak zwane odsadnie. Składają się one z dwóch zamontowanych w poprzek mocnych żerdzi, które uniemożliwiają wywrócenie, a nawet przechylenie się łódki, dlatego zaopatrzone w nie kanoe pływają pewnie nawet przy wzbu-rzonym morzu. Łodzią bez odsadni da się poruszać jedynie z wielką ostroż-nością, bo przy zaokrąglonym dnie i najmniejszej zmianie pozycji ciała że-glującego można nie tylko mimo woli zażyć kąpieli, ale nawet przyplacić ją życiem, ponieważ wody oblewające te wyspy roją się od rekinów, należą-cych do najbardziej żarłocznego gatunku rozbójników morskich.

Młody mężczyzna umiał jak wszyscy wypiarze, obchodzić się z łodzią, zatem w pobliżu brzegu zwinął żagiel, aby wiatr nie rzucił go na ostre skały wybrzeża. Z pomocą wiosła wymijał zdradliwe rafy, ale najwyraźniej to za-jęcie nie było męczące, gdyż jego uwagę zdawała się przyciągać niezwykła liczba przyozdobionych, gotowych do wypłynięcia łodzi, jakie spoczywały obok siebie na brzegu. Między nimi bowiem znajdowała się jedna, przystro-jona proporczykiem, kwiatami i liśćmi, wyróżniająca się spośród innych, a bardzo dobrze mu znana. W niej odprowadzał go Potomba, ojciec pięknej dziewczyny z Eimeo, wyspy leżącej na zachód od Tahiti, gdy wiózł ją do swego domu pod palmami w Papeete.

Znał też starego pomarszczonego Potaia, który czekał w łodzi kucając jak kiedyś. Czy to nie wyglądało na wesołą podróż z okazji ślubu? I dlacze-go łódź Potomby wyróżniała się spośród innych, skoro miał tylko jedną córkę?

Mężczyzna ujął mocniej wiosło i po kilku chwilach pod jego kanoę za-zgrzytał piasek. Przymocował łądz liną do jednego z wbitych tu w tym celu pali i przeskoczył do łodzi, gdzie czekał stary służący.

- Potai, skąd się wzięłeś na tahitańskiej plaży? - spytał.

Starzec podniósł oczy i w jego wzroku pojawiło się coś nieopisanego.

- Niech Atua, od którego pochodzi wszelkie dobro, będzie z tobą, Ano-ui! Idź do domu i spytaj, dlaczego tu jestem.

- Sam mi tego nie powiesz?

- Nie mogę, Anoui! Moje serce dużo o tobie myślało podczas tych wielu tygodni, kiedy byłeś na wyspach Tubuai. Oro, bóg wszelkiego zła, zstąpił na Eimeo i opętał Potombę, wielkiego księcia, że ten odrzucił wiarę ojców i modli się teraz do Boga, którego głosi stary, błądny mitonare.

Mitonare oznacza misjonarza i tym słowem prosty lud wysp określa wszystko, co wiąże się z religią chrześcijańską, a więc na przykład kościół, kapłan, ołtarz, kazanie, święty, pobożny.

- Czyż to możliwe, Potai? - spytał młody mężczyzna tak przerażony, że mimo brązowej skóry można było zauważyć, że mu krew odpłynęła z policzków. - Och, gdybym został w domu! Wiedziałem, że ten obcy krę-tacz wszedł do jego domu, aby ukraść mi wiarę naszych ojców, ale Tubuai znęciło mnie dużym zyskiem i prowadzony tam handel przyniósł mi dużo pieniędzy. Porozmawiam z nim, przywiode go na powrót do prawdy głoszonej przez naszych kapłanów, a Manina mi w tym pomoże.

- Manina, twoja żona?

- Tak. Kocha mnie nad życie, poszła za mną do Papeete i wylała morze łez, jak odpływałem. Och, moja słodka Manino, znów mnie dziś zobaczysz i wspólnie wyrwiemy Potombę z rąk mitonare. Lecz powiedz, co tu robisz?

- Słowa są zbyt ciężkie, więc moje usta będą milczeć.

- Potai, twoja twarz jest mroczna, a oko błyszczy łzą. Kochasz mnie i twój wygląd zwiastuje mi

nieszczęście. To ma związek z Manina. Co z moją żoną?

- Nie powiem, myślę tylko o Mahori, twoim rywalu.

- Mahori?

Wymówił to jedno słowo i jednym skokiem znalazł się na lądzie. Nie zważał na gromadę ludzi odprowadzających go współczującymi spojrzeniami, mijał bez słowa wszystkich, którzy podchodzili do niego chcąc zamienić

269

parę słów. Biegi tak wzdłuż całego Papeete, aż wreszcie dotarł do budynku, który wyróżniał się wielkością i rozległością należących do niego plantacji.

W tym domu spędził młodość, tutaj był świadkiem czci, jaką oddawano jego ojcu, królowi Tahiti, obserwował rozpad dotychczasowych świętych związków, który odebrał jego ojcu władzę, znaczenie - i kosztował życie. Szlachta straciła swą pozycję, musiał się zająć z bratem handlem z pobliskimi wyspami i zdobył bogactwo, ale postradał możliwość oddziaływania na losy innych jako ehri, książę. Był wtedy tak szczęśliwy, otrzymał za żonę najpiękniejszą i najlepszą dziewczynę, chociaż Mahori, możny syn szama-na, przeszedł na chrześcijaństwo i stał się mitonare, aby tylko zdobyć wpływ na jej ojca, a wraz z nim jej rękę.

Wszedł do domu i znalazł brata siedzącego z ponurą miną w kącie.

- Ombi, co się stało? - wydyszał bez tchu.

- Anoui, to ty? To Anua cię przysłał, abyś uwolnił mą duszę od męki, która legła na niej ciężarem! Jesteś dostatecznie silny, aby wysłuchać ztej wiadomości?

- Jestem. Co z Maniną? Dlaczego nie przyszła się przywitać?

-Nie ma jej tutaj.

- Nie ma... jej... tutaj? - Anoui z trudem wykrztusił te brzemiennie w treść słowa. - Nie ma tu pani mego serca? W takim razie gdzie jest?

- Zabrał ją Potomba i oddał za żonę temu odstępcy. Mahoń. Dzisiaj jest ślub i na brzegu czekają łodzie mające zabrać narzeczonego na Eimeo.

Anoui nie rzekł słowa, lecz podszedł do otworu, który służył za okno. Musiał zaczerpnąć powietrza, bo inaczej czuł, że się udusi. Jego pierś falo-wała konwulsyjnie, a z pobladłych warg wydobywał się chrapliwy oddech.

Stał tam długo, długo, a wreszcie powoli się odwrócił.

- Ombi, czy poszła za nim z ochotą?

- Nie. Zabrał ją, gdy mnie tu nie było, używając podstępu. Teraz jest u niego i on ma nad nią władzę. Anoui odetchnął z ulgą.

- Obca nauka sieje w sercach nienawiść, niezgodę i fałsz, a one wzra-stają ponad naszą wiarą jak chwast nad pożyteczną rośliną. Odejdę z kraju mych ojców i nigdy nie wrócę.

- Nigdy nie wrócisz? Twoimi ustami przemawia zwątpienie.

270

- Nie. Maniną mnie kocha, jestem o to spokojny. Ale czy wolno mi zostać, skoro...

Urwał w pół zdania, ale brat zrozumiał błysk w oku i szybki ruch ręki mówiącego.

- Anoui, jesteś ehrim, w twych żyłach płynie księżęca krew. Porwano ci żonę, a winni temu są ci dwaj mitonare. Rób, co ci dyktuje serce, a Ombi, twój brat, stanie wiernie u twego boku.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Jeszcze następnej nocy będę musiał ucie-kać. Popłynę na wyspy Tubuai, skąd dopiero co wróciłem. Zatroszcz się o wszystko, co mi będzie do tego potrzebne, i nie zdradź miejsca mej ucieczki.

- Będę milczał i zrobię, o co prosisz. Atua opuścił „perłę mórz połu-dniowych”; udam się tam, gdzie wiem, że cię odnajdę.

- Zatem foremna, żegnaj. Niech o północy duże kanoe z zapasem żyw-ności znajdzie się za przylądkiem Loga.

Zdjął ze ściany ostry obosieczny sztylet i wsunął za pas.

- Joranna, Ombi! Jestem ehri i Maniną pozostanie moja!

- Joranna, Anoui! Niech bóg wszelkiego dobra będzie z tobą. niech słońce prowadzi cię w dzień, a gwiazdy w nocy, niech twych dróg nigdy nie okryje ciemność!

Anoi wyszedł i unikając ludzi dotarł do miejsca, gdzie nikt go nie mógł widzieć. Ślubna flotylla, która przywiozła pana młodego, właśnie odpływa-ła na Eimeo. Rzucił się na piasek, okrył wielkimi liśćmi bananowca i cze-kał.

Dopiero kiedy łodzie zniknęły z pola widzenia, podniósł się i podszedł do swego kanoe. Spuściwszy je na wodę wyminął przybrzeżne raiy i posta-wił żagiel. Płynął na wyspę Eimeo, do leżącej tam miejscowości Tamai. która znajduje się niedaleko Opoauho-bai. Tam mieszkał Potomba, zdrajca, który złamał słowo, porywacz kobiet, tam też odbywało się huczne wesele, jako że ojciec narzeczonej był księciem, a pan młody pochodził z tych stron i był pierwszym mitonare biorącym ślub w nowym obrzędku.

W tylnej części budynku siedziała ubrana do ślubu Maniną. Służące opu-ściły ją na jej rozkaz i teraz, gdy została sama, z jej oczu na poblądłe policzki popłynęły długo powstrzymywane łzy. Już kiedyś siedziała tu jako panna młoda, ale jaka szczęśliwa była wtedy, a jak niewypowiedzianie nieszczęśli-wa jest dziś! Gdzie jej ozdoby? Była szczupła i zgrabna, pełna młodzieńczej

271

świeżości, choć drżała na całym ciele, czego powodem było ciepienie serca. Jej piękne ciemne oczy zasnuła mgła łez, ostro zarysowane luki brwi ścia-gnęły się, a wargi zacisnęły mocno. Na jej szyi i ramionach nie było ozdób, wzgardziła przyniesioną przez znienawidzonego mitonare suknią, lecz wło-żyła miękkie, złotobrunatne pareu sięgające jej zaledwie do kolan i ukazu-jące nieskazitelnie piękne, kształtne nogi. Krótka narzutka z tego samego materiału osłaniała jej ramiona i piersi, a kruczoczarne włosy spływały ka-skadą na plecy, nie przybrane jednym kwiatem, jednym pędem maranty. Ona sama była kwiatem, w którego kielichu lśniła rosa, wyrwanym z miej-sca, gdzie kwitł i pachniał najpiękniej.

Raptem za bambusową ścianą usłyszała lekki szmer.

- Manina! - zawołał ktoś cicho.

Znała ten głos. Ale czy to mógł być on? Słyszała przecież, że nieprędko wróci.

- Anoui! - jęknęła.

- Nie mów głośno, Manino! - ostrzegł ją zza ściany. - Oro, bóg wszelkiego zła, unosi się ze swymi duchami nad domostwem, dlatego mu-sisz być ostrożna.

- Kiedy cię ujrzę, Anoui? - spytała zalekniona.

- Okrywają mnie liście banana. Słońce mego serca, kochasz mnie je-szcze?

- Tysiąc razy więcej niż samo życie!

- A mimo to chcesz odejść z tym odszczepieńcem?

- Nie, nie! Mam tu sztylet, który odnajdzie me serce, gdy tylko Mahori mnie dotknie, wierz mi, Anoui!

- Znam cię i wierzę. Chcesz nadal być moją żoną?

- Bardzo, ale to niemożliwe.

- Możliwe. Idź z nim przed tego obcego kapłana, a ja wtedy przyjdę i przemówię do niego. Jeśli me słowa nie pomogą, to zrobię co innego. Uwa-żaj teraz dobrze: gdy będą wieźć cię do Papeete, usłyszysz w pewnej chwili swe imię, a wtedy przeskoczysz do mego kanoe. Chcesz tego?

-Tak.

- A więc nie bój się słów tego białego mitonare. Nie uzna naszego związ-ku, bo pobłogosławił go tutejszy kapłan, ale i jego zaklęcia jak nic znikną w morzu. Bądź zdrowa, Manino, /oranna, joranna, ma najukochańsza żono!

Na zewnątrz zaszeleściły liście, Anoui odszedł.

Flotylla przybyła do Tamai. Pan młody zszedł na plażę i został pozdrowiony przez Potombę. Goście rozłożyli się pod palmami, racząc się mleczkiem kokosowym, pieczonymi batatami i smakowitymi owocami, których w obfitości dostarcza tutejsza przyroda.

Wtem rozbrzmiały bębny i dźwięki fletów. Zaczęła się ceremonia. Pod drzewami wawrzynowymi stał przyozdobiony kwiatami ołtarz, przy którym biały mitonare, angielski misjonarz, oczekiwał panny młodej. Vlahori wszedł do domu i przywiódł ją ze sobą.

Nagle poprzez krąg stojących wokoło ołtarza gości przedarł się młody mężczyzna i przystąpił do Potomby.

- Bądź pozdrowiony, Potombo, ojcu mej żony! Wróciła do ciebie, gdy mnie nie było, i teraz przybyłem, aby ją zabrać.

- Precz ode mnie, poganinie! - brzmiała odpowiedź. - Nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia!

Anoui nie dał się wyprowadzić z równowagi, położył tyBco rękę na ramieniu swej żony i zwrócił się do kapłana:

- Mitonare, ta kobieta poprzysięgła mi wierność na czaszki naszych przodków. Kapłan mego ludu spytał mnie: Eita anei oe a faaruei ta oe yatrina, czy nigdy nie opuścisz swej żony, a ja odpowiedziałem: Eita, nie. Potomba dał nam swe błogosławieństwo. Czy masz zatem prawo nas rozdzielać?

Misjonarz wznosił oczy do nieba.

- Święty Kościół, wszechmocna Matka, może odbierać swą córkę i dawać, komu chce. Odejdź stąd, niewierny, bo inaczej dopadnie cię złość dziecka

Bożego

- Chodź. Manino! - powiedział Anoui ujmując ją mocniej za rękę.



Wtedy Mahori uderzył go pięścią w twarz, a inni przyskoczyli, obezwładnili go i odciągnęli na bok. Anoui nie rzekł słowa, lecz w pobliżu plaży wyrwał się im i wskoczył do swego kanoe.

- Powiedzcie Mahori, że odbiorę mu swoją żonę - krzyknął wypływając na pełne morze.

Wyszedł na brzeg z drugiej strony wyspy, w miejscowości Alfareaita, gdzie kupił dużą ilość większych i mniejszych ryb. Kiedy doszedł do wniosku, że nadszedł stosowny czas, wsiadł z powrotem do kanoe i wypłynął na morze,

273

skąd mógł obserwować wodny szlak dzielący obie wyspy. Zapadła noc, zrobiło się ciemno, ale fale naokoło kanoe przypominały przejrzysty płynny kryształ. Uwiązał sporą rybę na kawałku postronka i spuścił ją do wody. Już po krótkim czasie uczul mocne szarpnięcie: to rekin połknął przynętę. Po chwili mężczyzna wyrzucił drugą rybę, potem trzecią i czwartą. Wkrótce wokół jego łodzi zebrało się z pół tuzina rekinów.

- Bądźcie pozdrowieni, słudzy ehriego. Zemszczę się, a wy będziecie mieć ucztę!

Płynął szybko wabiąc do siebie żarłoczne potwory, dopóki nie zobaczył światła na dziobie łodzi, które świadczyło, że flotylla się zbliża, wioząc nowo poślubionych do domu.

Skierował się powoli w jej stronę, a za nim cała gromada rekinów. Na samym przedzie płynęła łódź Mahori. Kuczał dzierżąc w rękach ster, a Ma-nina siedziała na dziobie. Naraz dojrzał przed sobą kanoe zagradzające mu drogę i podniósł się.

- Stój, kto tam? - krzyknął.

- Anoui, aby ci odplacić za dzisiejszy cios.

Jednocześnie jego kanoe ustawiło się wzdłuż łodzi Mahori, potem nastąpiły dwa szybkie cięcia ostrym toporkiem i poprzeczne belki odstawni runęły w wodę. Teraz Mahori przy najmniejszym ruchu był bezpowrotnie zgubiony.

- Skacz, Manino! -krzyknął Anoui.

W okamgnieniu jego żona znalazła się przy nim. Łódź Mahori, pozabawiona odstawni, przewróciła się, a on sam wpadł z krzykiem do wody, gdzie natychmiast zajęły się nim rekiny.

Jeszcze zanim inne łodzie dotarły do tego miejsca, Anoui postawił żagiel i skierował się w swym dobrym, mocnym kanoe w okolice przylądka Loga. OmbiJego brat, również opuścił po pewnym czasie Tahiti, i jak mówią, udał się na archipelag Tubuai. Potomba umarł w niedługi czas potem. Bardzo kochał swe jedyne dziecko i w ostatnich słowach przed śmiercią przeklął białego mitonare, któremu zawdzięczał utratę córki.

spis \$

\$both shatters 2

\$selfmademan 3

zemsta \$efhriego

# Spis treści

[ly](#)